

Muza z zaścianka



HONORÉ BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

Muza z zaścianka

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Pośród licznych epitetów, jakimi starano się określić twórczość Balzaka, znajduje się przydomek *historyka Francji*, a także i *geografa Francji*. Historykiem Francji był Balzac niewątpliwie. Usadowiony w swoim obserwatorium — izdebce artysty — na przełomie dwóch wieków, dwóch społeczeństw, wyczuwający intuicją w fali współczesnego życia zarówno szczątki przeszłości jak zadatki przyszłości, jest Balzac wielkim malarzem historii społecznej i obyczajowej Francji, od schyłków dawnej Monarchii po sam koniec rządów Ludwika Filipa. Postacie Balzaka, mimo że tętniące tak potężnym jak mało u którego pisarza życiem indywidualnym, są równocześnie przedstawicielami grup, formacji społecznych oraz etapów spełniającej się ewolucji. Dość przytoczyć trzy pokolenia perfumiarzy, streszczające pięćdziesięcioletnią historię mieszczaństwa: Ragon — Birotteau — Crevel. Balzac, niezaspokojony jeszcze drobiazgową charakterystyką swoich postaci i ich stosunków, stara się w ekspozycji każdego utworu osadzić każdą z nich głęboko korzeniami w przeszłości: stąd owe szczegółowe rodowody, które jedynie powierzchownemu czytelnikowi Balzaka mogą się wydać zbędne.

Ale i miano *geografa Francji* nie jest retorycznym frazesem. Poza Paryżem, stanowiącym centralny punkt jego olbrzymiej epopei i opisanym ulica po ulicy, dom po domu, z drobiazgowością przyrodnika, z syntetycznym spojrzeniem myśliciela i uміłowaniem antykwarza, akcja romansów Balzaka obiega niemal krąg całej Francji, przenosi się to do Issoudun, to do Sancerre, Angoulême, Alençon, Guenic etc. i znaczy się szeregiem opisów wiążących poniekąd psychologicznie charakter tła z treścią wypadków. A gdyby nawet te opisy, te podmalowania były niekiedy nieco drobiazgowo, nieco nużące dla dzisiejszej naszej nerwowej niecierpliwości, chciejmy sobie w zamian uprzytomnić, jak doniosłe w rozwoju literatury współczesnej było to powołanie *rzeczy martwych*, otoczenia, przeszłości do współaktorstwa w wielkiej Komедii ludzkiej. Przypomnijmy sobie powieść przedbalzakowską w jej najcelniejszych egzemplarzach. Gdzie toczy się akcja *Adolfa*? Kolejno w Niemczech, w Czechach, w Polsce, w rzeczywistości jednak nigdzie, w przestrzeni, a raczej w tych kulisach, które służyły za ramę abstrakcyjnym klasycznemu dramatu. Czym zajmuje się, czym żyje sam Adolf? Kocha lub nie kocha. Co stanowi źródło jego środków materialnych? Ojciec pełniący funkcje owej sakiewki dawnych romansów, której napełnianie co rano „złotem” należało do funkcji służącego. Co widzimy z Paryża lub z owej „Ameryki” w *Manon Lescaut*? Rys, który podkreślam, to bynajmniej nie krytyka tych dwu pięknych i głębokich książek; to tylko próba uzmysłowienia, jak olbrzymim krokiem naprzód staje się dzieło Balzaka w *instrumentacji* tej symfonii ludzkiej, jaką jest literatura. Następcy jego, przyswoiwszy sobie całą jego zdobycz, zręczniejszym nieraz piórem pousuwali wybujałości opisów, przewyżczyli ciężkość faktury; ale Balzac rąbał drogę w dziewiczym lesie, nie miał czasu na gracowanie ścieżek.

Te liczne opisy miast i miasteczek francuskich składają się na galerię życia prowincji w jego najróżniejszych odcieniach: od poważnych w swej strupieszalej wielkości resztek feudalizmu, aż do beznadziejnej płaskości drobnego mieszczaństwa; wszystkie jednak te obrazy mają jedną wspólną cechę, cechę przygnębiającej martwoty i smutku. Dawny porządek społeczny, zakreślając szersze granice aspiracjom, sprawiał, iż najczęściej

synowie wstępowali w ścieżki ojców; każde środowisko żyło własnym, wcale pełnym życiem. Nowe, zdemokratyzowane społeczeństwo, ugruntowane przez Napoleona, który powołał wszelki talent, bez różnicy hierarchii i urodzenia, do budowy nowej Francji, wabi, niby potężny magnes ciągnący opilki żelaza, w stronę Paryża wszystko, co jest bujniejszego, rzutkiego, tęgiego w całym kraju. Stąd dwa obrazy, których kontrast wyzyskuje Balzac w tyłu utworach: Paryż przelewający się od talentu, fantazji i *nadczłowieczeństwa*, i prowincja, wyszana, wyjałowiona, szara, zamieszkała wyłącznie prawie przez niezdolnych do wyrwania się z niej ciurów. Ten zasadniczy charakter maluje się w utworach Balzaka w całej gamie odcieni, wciąż wzmacniając wrażenie, nie powtarzając się nigdy. Wystarczy zestawić powieść *Dwaj poeci* z tą *Muzą z zaścianka*: ile pokrewieństwa w sytuacji obu postaci kobiecych, a jaka precyzja w zróżniczkowaniu typu, środowiska, rasy, czyniąca z każdej z nich coś zupełnie odmiennego. Tylko najwięksi mistrze zdolni są do takich majstersztyków.

Prowincja, ten tak ulubiony temat późniejszych satyryków i powieściopisarzy, jest niemal wynalazkiem Balzaka. Spotykamy wprawdzie u tego wielkiego realisty, jakim był Moliere, zaznaczony w kilku słowach, ale jakże wyrazisty obrazek:

Do rodzinnego miasta męża w koczobryku
Nowiutkim zajedziecie; tam poznasz bez liku
Jego wujów, kuzynów, a gdy przyjdzie kolej,
Pośród wielkiego świata zasiądziesz powoli.
Będziecie odwiedzali w niedzielę i święta
To panią burmistrzową, to pana rejenta,
Gdzie na kanapie zajmiesz miejsce honorowe.
W karnawale, co uciech! Wciąż rozkosze nowe:
Bał, orkiestra złożona z kobzy, klarynetu,
Czasem mała uczona, marionetki, gdzie tu
Znaleźć czas na rozkoszy tyle...
(*TartuŃe*¹, II, 3).

...ba, znajdziemy nawet u tegoż Moliera wizerunek prowincji w *Hrabinie d'Escarbagnas*, ale ta realistyczna żyła raczej gubi się w dalszym ciągu XVII i w XVIII wieku, ustępując miejsca psychologicznej abstrakcji, której dążeniem jest oczyścić *wieczne* elementy uczuć z *przypadkowości* zjawisk. Stąd, jak wspominałem, akcja np. *Manon Lescaut* zawiązuje się na prowincji, toczy się w Paryżu, kończy w Ameryce, a mogłaby się tak samo rozgrywać na księżycu. Porównajmy z tym rysy psychologiczne, jakimi pobyt w tejsze Ameryce żłobi się w charakterze Filipa Bridau (*Kawalerskie gospodarstwo*), lub ową iście chemiczną reakcję, jaką przeniesienie z prowincji do Paryża powoduje w psychice Lucjana de Rubempré i pani de Bargeton (*Stracone złudzenia*).

Wspomniałem *Adolfa*. Zestawienie tym ciekawsze tutaj, ile że druga część tej małej, a tak bogatej w treść książeczki, *Muzy z zaścianka*, jest świadomą wariacją na temat² tegoż *Adolfa*: tym ściślej możemy tedy śledzić różnice techniki i znaczenie *ramy*, w jakiej Balzac mocno osadza osoby i akcję toczącego się dramatu. Lękam się, iż do znudzenia może podkreślam fakt, że wszystko niemal bez wyjątku, co nam się wydaje naturalnym *stanem posiadania* nowoczesnej powieści, jest wynalazkiem i zdobyczą Balzaka. Po co zresztą sięgać do dawnych wzorów? wystarczy przeczytać jakąś wybitną powieść z epoki współczesnej Balzakowi, np. *Pannę de Maupin* Gautiera albo *Lelię* George Sand.

Przy wielu drobniejszych zwłaszcza powieściach Balzaka doznaję uczucia podziwu: w jaki sposób potrafi on na tak małej przestrzeni pomieścić takie bogactwo treści i jeszcze pozwolić sobie na ten zbytek, aby... być rozwlekłym! I tak, w tej książeczce: akcja podejmująca na nowo temat *Adolfa* zaczyna się pod koniec utworu, a jest mimo to traktowana równie szeroko, jak drobiazgowo i wyczerpująco. Pierwsza połowa książki zawiera

¹*TartuŃe* — Świętoszek; tytuł komedii Moliera i nazwisko jej głównego bohatera zostały w ten sposób przetłumaczone na polski. [przypis edytorski]

²*jest świadomą wariacją na temat (...)* — „Mam nadzieję, że w końcowej części *Muzy* publiczność ujrzy temat *Adolfa* ujęty od strony realnej”, pisze Balzac w korespondencji z Ewą Hańską (*Lettres à l'étrangère*, II, 126). [przypis tłumacza]

daleko w głąb idącą biografię obojga de La Baudraye oraz ich pożycia, kilkadziesiąt zaś stron środka wypełniają opowiadania o zazdrosnych mężach, które istotnie znalazły się tu prawem kaduka, tak luźno są związane z treścią; wreszcie scena — paradna sama w sobie! — czytania romansu *Olimpia*, w który zawinięta była korekta dziennikarza. Ta scena wydaje mi się szczególnie interesująca, a oto czemu:

Podobnie jak wiele osób nie rozumie i nie docenia znaczenia Balzaka dziś, tak samo więcej ich jeszcze było za życia pisarza. Czytano go, rzecz prosta, chciwie, rozrywano dla felietonów, dodawano stale do jego nazwiska epitet, o który się wściekał, „najpłodniejszego z naszych romansopisarzy”; ale gdyby kto był powiedział przeciętnemu czytelnikowi, że ze wszystkich głośnych w owej epoce nazwisk największym, najbardziej spiżowym pozostanie nazwisko Balzaka, ten byłby może równie zdziwiony, jak Ludwik XIV, kiedy, zapytawszy Racine’a, kto był największym pisarzem za jego panowania, usłyszał, że — Molier³. Jak na Molierze ciążyła za życia „niższość” komedii w hierarchii *rodzajów*, tak Balzaka prześladowała niższość powieści. Gdyby był pisał — komedie, okrzyknięto by go geniuszem. Poczucie tego uprzedzenia było poniekąd przyczyną, iż Balzac przez całe życie, wbrew naturze swego talentu siłił się opanować scenę.

Iluż dziś jeszcze jest ludzi tak poważnie myślących, iż „z zasady nie czytują powieści”, albo też, czyniąc to, mają uczucie, iż zstępują z wyżyn swej powagi! Znałem inteligentnego człowieka (był z zawodu aktorem), z tych właśnie którzy „z zasady nie czytają powieści”, tylko „rzeczy kształcące”, kształcił się bowiem wytrwale całe życie. Zastawszy go raz z książką w ręku, spojrziałem na okładkę; oczywiście rzecz poważna, kształcąca: Piotr Chmielowski, *Nasi powieściopisarze...* Koniec tego człowieka był, nawiasem wspomnę, godny współczucia; zaczął czytać Thiersa *Historię Konsulatu i Cesarstwa* w 70 tomach, że zaś należał do tych ludzi zasad, którzy czytają gruntownie i skoro raz coś zaczną, muszą doczytać do końca, już się biedak spod tego konsulatu i cesarstwa nie podźwignął. Żyje jeszcze.

Ale wróćmy do sceny z korektą. W epoce, gdy Balzac tworzył swoje arcydzieła, ta sama publiczność która przejmowała się *Ojcem Goriot* lub *Kawalerskim gospodarstwem*, chłonęła równocześnie z zachwytem *Montechrysta* Dumasa oraz *Tajemnice Paryża* Sue, nie zawsze oceniając przepaść, jaka dzieli te książki. Mam wrażenie, że Balzac, zniecierpliwiony tym koleżeństwem w poczytności i uznaniu, uczynił sobie zabawkę z tego, aby od niechcenia zaznaczyć, jak łatwo byłoby mu machać lewą ręką „zajmujące” romanse *à la Sue* i na czym polega różnica między powieścią a — powieścią.

Tego, iż mógłby być z łatwością rywalem autora *Olimpii* czyli *Tajemnic Rzymu*, dowiódł zresztą Balzac — nie przymnażając tym sobie chwały — w niejednym z własnych utworów. I on miał swoich „kardynałów Borborigano” i bez mała swoje klatki żelazne, wyjeżdżające za pociśnięciem guzika z podziemi. Niezmiernie ciekawym rysem indywidualności Balzaka jest owo zmaganie się w nim dwóch przeciwnych pierwiastków: *zmysłu rzeczywistości* o takim horyzoncie i głębi jak chyba u żadnego pisarza — oraz, z drugiej strony, pędu do ekstrawagancji wyobraźni, nieustępujących najwybijalszym orgiom drugorzędnego romantyzmu. Na ogół można powiedzieć, iż twórczość Balzaka znamionuje proces dość częsty u wybitnych organizacji pisarskich: w dziełach, w których wznoszą się najwyżej i które są miarą pełni talentu, występują te właściwości, które ich różnią od danej epoki; z chwilą gdy — z jakichkolwiek powodów — inspiracja słabnie, pisarz osuwa się po linii mniejszego oporu w konwencję współczesnej mody lub w parodię samego siebie. A, jak wspomniałem nieraz, warunki tworzenia Balzaka były takie, iż nie zawsze wyobraźnia jego mogła odczekać chwili, w której po wydaniu dzieła spęcznieje świeżym sokiem. Tam, gdzie poczucie rzeczywistości łączy się harmonijnie z pędem do romantycznego wyolbrzymiania, powstają najwspanialsze kreacje Balzaka, jak np. niezrównany Vautrin w *Ojcu Goriot*. Niniejsza powieść o Dinie Piédefer, przyczynek do obrazu świata literackiego, tak szeroko odmalowanego w *Straconych złudzeniach*, należy do utworów zakreślonych na skromniejszą miarę, ale tym cennych, że na wskroś osobistych: mamy tu czystego Balzaka najlepszej próby, z całą jego werwą, bystrością, analizą psychologicz-

³gdyby kto był powiedział przeciętnemu czytelnikowi (...) Molier — Charakterystycznym jest, że ani Moliera, ani Balzaka nie uznali współcześni godnymi zasiadania w Akademii Francuskiej. [przypis tłumacza]

ną, nieskażonego — jak w tyłu wybitnych jego dziełach — naleciałościami wątpliwej proweniencji.

Te wycieczki w sferę satyry literackiej stanowią osobliwy wdzięk *Muzy z zaścianka*. Do nich należy i historia poematu o *Pakicie z Sewilli*; biografia nieistniejącego autora oraz hiszpańskie zabarwienie poematu przywodzą na pamięć *Teatr Klary Gazul*, tę głośną w owej epoce i udaną mistyfikację Merimée'go; zarazem utwór ten zawiera elementy niewinnej zresztą satyry na ów „koloryt lokalny” romantyków, którzy, zaczynając od Alfreda de Musset, na wyścigi opiewali płomienne córki Andaluzji i Wschodu, nie opuszczając zresztą ukochanych bulwarów Paryża.

Mam nadzieję, że ta żywa i zabawna powieść pogłębi jeszcze upodobanie, jakie polscy czytelnicy zaczynają na nowo znajdować w zapomnianych już u nas romansach Balzaka. Do zobaczenia — przy następnym.

Kraków, w styczniu 1919

MUZA Z ZAŚCIANKA

W prowincji Berry, nad brzegiem Loary, znajduje się miasto, które dzięki swemu położeniu niechybnie ściąga oko podróżnego. Sancerre jest najwynioślejszym punktem łańcucha pagórków; Loara oblewa grunty rozpościerające się u stóp tych wzgórz, zostawiając osad żółtego mułu, który je użyźnia, o ile nie zasypią ich na zawsze groźne lawice piasku, właściwe również Wiśle, tej Loarze Północy. Góra, na której szczycie skupiło się miasto, wznosi się w dość znacznej odległości od rzeki, czemu zawdzięcza życie mały port św. Tybalda. Tam ładuje się wino, wyładowuje klepki do beczek, słowem, wszystkie produkty dolnej i górnej Loary. W epoce, która służy za tło temu opowiadaniu, rzucono przez rzekę dwa mosty. Podróżni przybywający z Paryża nie potrzebowali się już przeprawiać z Cosne do św. Tybalda na promie: czyż to nie mówi jasno, że działo się to już po *chassé-croisé* roku 1830; Orleani bowiem wspierali wszędzie interesy materialne, ale mniej więcej tak, jak mężowie, którzy robią podarki żonom za pieniądze z ich posagu.

Wyjawszy część Sancerre na samym wzgórzu, ulice są mniej lub więcej spadziste; całe miasto otoczone jest szanccem, poza którym ciągnie się pas winnic. Winnice stanowią główny przemysł i najznacniejszy handel kraju posiadającego kilka gatunków wysokiego wina, o szlachetnym *bukiecie*. Wino to tak podobne jest w smaku do burgunda, iż przeciętny paryżanin może się omylić. Sancerre znajduje tedy w traktierniach paryskich szybki zbyt, konieczny zresztą dla win, które nie trzymają się ponad siedem do ośmiu lat. Powyżej miasta rozsiadło się kilka wsi, Fontenay, Saint-Satur, charakterem pogodne, przypominające winnice Neuchâtel w Szwajcarii. Miasto zachowało coś staroświeckiego; wąskie ulice brukowane są kamykami z Loary. Spotyka się jeszcze stare domy. Wieża, ten szczątek epoki wojen i feudalizmu, przypomina jedno z najstraszniejszych oblężeń z czasu walk religijnych, podczas którego kalwini nasi o wiele przewyższyli okrucieństwem kameronistów Walter-Scotta. Sancerre, bogate świetną przeszłością, niegdyś ważna placówka wojskowa, jest poniekąd skazane na wymarcie, ponieważ handel skupił się na prawym brzegu Loary. Ten pobieżny rzut oka dowodzi, że upadek Sancerre będzie postępował, mimo dwóch mostów łączących je z Cosne. Sancerre, duma lewego brzegu, ma zaledwie trzy tysiące pięćset dusz, gdy Cosne liczy dziś przeszło sześć tysięcy. Od pół wieku rola tych dwu miast położonych naprzeciw siebie zmieniła się doszczętnie. Mimo to, przewaga położenia jest po stronie historycznego grodu, gdzie na wszystkie strony oko syci się czarownym widokiem, gdzie powietrze jest cudownie czyste, roślinność wspaniała, mieszkańcy zaś, w harmonii z lubą przyrodą, są uprzejmi, towarzyscy, wolni od purytanizmu, mimo że dwie trzecie ludności trwa przy nauce Kalwina. W podobnym stanie rzeczy, o ile dają się we znaki utrapienia małomiasteczkowego obyczaju, ucisk tej natrętnej kontroli, która czyni z życia prywatnego życie niemal publiczne, w zamian za to, patriotyzm lokalny (który nie zastąpi jednak nigdy ducha rodzinnego) rozwija się w wysokim stopniu. Toteż Sancerre bardzo jest dumne, iż było kolebką jednej z chwał nowoczesnej medycyny,

Horacego Bianchon, oraz drugorzędnego literata, Stefana Lousteau⁴, jednego z najbardziej wziętych felietonistów. Okręg Sancerre, podrażniony oligarchią dziesiątka wielkich właścicieli, potentatów wyborczych, próbował strząsnąć jarzmo kliki, która uczyniła zeń swoją placówkę. To sprzysiężenie kilku podrażnionych ambicji spaliło na panewce, a to z powodu zazdrości, jaką budziło w spiskowcach możliwe wyniesienie jednego z nich. Skoro rezultat ujawnił zasadniczy szkopuł przedsięwzięcia, chciano mu zaradzić, biorąc przy najbliższych wyborach na rzecznika okręgu jednego z dwóch ludzi przedstawiających chlubnie Sancerre w Paryżu.

Myśl ta była czymś nadzwyczaj postępowym dla prowincji, gdzie od 1830 obdarzanie mandatem zaściankowych znakomitości rozpowszechniło się tak bardzo, iż mężowie stanu stają się w Izbie coraz rzadsi. Jakoż projektowi temu o dość wątpliwej realizacji dała życie najwybitniejsza kobieta w okolicy, *dux femina facti*, i to w myśli mającej za tło interes osobisty. Pomysł ten tkwi tyłoma korzeniami w przeszłości tej kobiety i wiąże się tak ściśle z jej przyszłością, iż trudno byłoby go zrozumieć bez żywego i zwięzłego opowiedzenia jej poprzednich losów. Sancerre chlubiło się wówczas kobietą wyższą, długo niezrozumianą, ale która około roku 1836 cieszyła się wcale ładnym prowincjonalnym rozgłosem. Epoka ta była też momentem, w którym nazwiska dwóch sancerczyków dosięgły w Paryżu, każde w swojej sferze, najwyższego szczytu, jedno sławy, drugie mody. Stefan Lousteau, współpracownik kilku pism, redagował felieton w dzienniku liczącym osiem tysięcy abonentów; Bianchon zaś, już prymariusz szpitala, oficer Legii Honorowej i członek Instytutu, otrzymał właśnie katedrę. Gdyby to słowo nie zawierało dla wielu osób odcienia ironii, można by rzec, iż George Sand stworzyła *sandyzm*; tak dalece prawdą jest, iż w świecie moralnym dobre prawie zawsze podszyte jest złem. Ten sentymentalny trąd skaził wiele kobiet, które bez swoich pretensji do geniuszu byłyby urocze. Owóż głównym następstwem sławy George Sand było odkrycie, iż Francja posiada olbrzymią ilość kobiet wyższych, dość szlachetnych, aby pozostawiać aż dotąd wolne pole wnuczce Maurycego Saskiego⁵. *Wyższa kobieta* z Sancerre mieszkała w Baudraye, siedzibie miejskiej i wiejskiej zarazem, położonej o dziesięć minut od miasta, we wsi lub, jeśli chcecie, na przedmieściu Saint-Satur. Dzisiejsi La Baudraye — przeobrażenie takie zaszło w wielu szlacheckich domach — wcisnęli się w miejsce owych La Baudraye, których imię błyszczący w wojnach krzyżowych i spleta się z wielkimi wydarzeniami prowincji Berry. To wymaga wyjaśnienia.

Za Ludwika XIV pewien ławnik nazwiskiem Milaud, którego przodkowie byli żartymi kalwinami, nawrócił się po odwołaniu edyktu nantejskiego. Aby zachęcić ten ruch w jednej z ostoń kalwinizmu, król powołał tego Milauda na wysokie stanowisko w zarządzie wód i lasów, nadał mu herb i tytuł de La Baudraye, obdarowując go lennem prawdziwych i starych La Baudraye. Spadkobiercy słynnego kapitana La Baudraye wpadli, niestety, w pułapkę zastawioną heretykom za pomocą edyktów tolerancyjnych i skończyli na szubienicy: postępowanie niegodne wielkiego króla. Pod Ludwikiem XV Milaud de La Baudraye z prostego giermka został rycerzem i miał na tyle wpływów, aby umieścić syna jako korneta w kompanii muszkietierów. Kornet padł pod Fontenoy, zostawiając syna, któremu Ludwik XVI nadał później dekret generalnego dzierżawcy przez pamięć poległego na polu bitwy korneta.

Ten finansista, galant zajęty szaradami, madrygałami, *bukietami Chlorydy* żył w wielkim świecie, obracał się w kółku księcia de Nivernois i czuł się w obowiązku pociągnąć ze szlachtą na wygnanie; ale był na tyle przezorny, iż uniósł z sobą kapitały. Toteż bogaty emigrant wspomógł wówczas niejedyn dom magnacki. Zmęczony tułaczką, a może pożyczaniem, wrócił w 1800 do Sancerre i odkupił La Baudraye. Odruch ten miłości własnej i próżności szlacheckiej zrozumiały był u wnuka ławnika, ale za konsulatu, miał on o tyle mniej przyszłości, iż eks-dzierżawca generalny mało liczył na swego spadkobiercę co do utrwalenia rodu La Baudraye. Jan Atanazy Polidor Milaud de La Baudraye,

⁴*Bianchon (...) Lousteau* — Bianchon, lekarz, jeden z umiłowanych typów Balzaka, występuje epizodycznie w całym szeregu jego powieści; tak samo Stefan Lousteau, dziennikarz, w którym współcześni dopatrywali się wielu rysów głośnego krytyka Juliusza Janin, ale który, jak tego dowodzi wyraźna wzmianka samego Balzaka w korespondencji z panią Hańską, raczej wzorowany jest na Juliuszu Sandeau (por. *Ojciec Goriot*, *Córka Ewy*, *Stracone złudzenia* etc.). [przypis tłumacza]

⁵*wnuczka Maurycego Saskiego* — George Sand. [przypis tłumacza]

jedynе dziecko finansisty, więcej niż wątłe od urodzenia, był widomym owocem krwi wcześniej wyczerpanej przez nadmierne użycie właściwe ludziom bogatym, którzy żenią się na progu przedwczesnej starości i tym w końcu doprowadzają wyższe klasy do zwyrodnienia. Podczas emigracji pani de La Baudraye, panienka bez majątku, poślubiona dla swego szlachectwa, miała tę cierpliwość, aby wychować żółte i chuderlawe dziecko, dla którego żywiła ową namiętną miłość, jaką matki znajdują w sercu dla cherlaków. Śmierć tej kobiety, z domu de Castéran la Tour, przyczyniła się znacznie do powrotu pana de La Baudraye do Francji. Ten Lukullus z pokolenia Milaudów umarł, zapisując synowi swoje lenno bez jego praw pańskich, ale zdobne herbami i chorągiewkami, dalej tysiąc luidorów, sumę dość znaczną w 1802, i wiarygodności u najdostojniejszych emigrantów, zamknięte w teczce z własnymi poezjami, pod tym godłem: *Vanitas vanitatum et omnia vanitas!* Jeżeli młody La Baudraye się uchował, zawdzięczał to klasztornej regularności życia, owej oszczędności ruchu, którą Fontenelle głosi jako religię ludzi wątych, a zwłaszcza powietrzu Sancerre, wpływowi tego cudownego położenia, którego panorama obejmuje czterdzieści mil doliny Loary. Od 1802 do 1815 mały La Baudraye powiększył swoje eks-lenno o kilka folwarków, i oddawał się zapamiętałe hodowli wina. W początkach Restauracji wydała mu się tak chwiejna, iż nie miał odwagi jechać do Paryża upominać się o wiarygodności; ale po śmierci Napoleona próbował zmienić poezje ojca w brzęcząca walutę, nie zrozumiał bowiem głębokiej filozofii wyrażonej tą mieszaniną obliwów i szarad. Winiarz stracił tyle czasu, nim się dostał przed oblicze książąt de Navarreins i tym podobnych (to jego wyrażenie), iż wrócił do Sancerre wezwany przez swoje ukochane wino, nie uzyskawszy nic, prócz gotowości do usług. Restauracja wróciła szlachcie dosyć blasku, aby La Baudraye zapragnął dać sens swej ambicji, zapewniając sobie potomka. Ten rezultat małżeństwa wydawał mu się dość problematyczny; inaczej nie byłby się tak ociągał; ale pod koniec 1823, widząc się jeszcze na nogach w czterdziestym trzecim roku — wiek, którego żaden lekarz, astrolog ani akuszerka nie śmieliby mu wróżyć — zapalał nadzieją znalezienia nagrody swej wytrwałej cnoty. Jednakże wybór jego ujawnił, zważywszy wątłą przyrodę nowożeńca, taki brak przezorności, iż niepodobna było miejscowym złym językom nie dopatrywać się w tym głębokiego wyrachowania.

W tej epoce Jego Eminencja arcybiskup z Bourges nawrócił właśnie na katolicyzm młodą osobę należącą do jednej z tych mieszczańskich rodzin, które były głównymi podporami kalwinizmu i które dzięki swemu podrzędnemu stanowisku lub dzięki „porozumieniu z niebem”⁶ uniknęły prześladowań Ludwika XIV. Wyszedłszy w XVI w. z rękodzielników, Piédeferowie — których nazwisku dał początek jeden z owych dziwacznych przydomków, jakie sobie przybierali żołnierze Reformy — stali się z czasem uczciwymi sukiennikami. Za Ludwika XVI Abraham Piédefer tak lichy pokierował swoje interesy, iż w 1786, umierając, zostawił dwoje dzieci w stanie bliskim nędzy. Jeden z chłopców, Tobiasz Piédefer, puścił się do Indii, zdając skromne dziedzictwo starszemu bratu. Podczas Rewolucji, Mojżesz Piédefer skupował *dobra narodowe*, burzył opactwa i kościoły wzorem swoich przodków i ożenił się, rzecz osobliwa, z katoliczką, córką członka konwentu, który zginął na rusztowaniu. Ten ambitny Piédefer umarł w 1819, zostawiając żonie majątek nadwzręczony spekulacjami rolniczymi i dwunastoletnią córeczkę zdumiewającej piękności. Wychowana w kalwinizmie, dziewczynka otrzymała imię Diny, zgodnie z zasadą, wedle której hugonoci czerpią swoje imiona w Biblii, aby nie mieć nic wspólnego ze świętymi rzymskiego Kościoła. Panna Dina Piédefer, umieszczona przez matkę w najlepszym pensjonacie w Bourges u panien de Chamarolles, zyskała tam sławę zarówno dzięki swoim przymiotom, co dzięki piękności; ale spostrzegła równocześnie, iż zasuwają ją w cień młode panny „urodzone”, bogate, mające później w świecie odgrywać daleko świetniejszą rolę niż mała mieszcza, której matka czekała na rezultaty mężowskiej likwidacji. Zdolałszy się wynieść chwilowo nad młode towarzyszkę, Dina zapragnęła także w życiu znaleźć się z nimi na równej stopie. Wpadła tedy na pomysł wyrzeczenia się kalwinizmu w nadziei, iż kardynał otoczy opieką swą duchową zdobycz i zajmie się jej przyszłością. Możecie już stąd osądzić rozumek panny Diny, która w siedemnastym roku nawracała się wyłącznie przez ambicję. Arcybiskup przepojony ideą, że Dina Piédefer stanie się zdobą

Religia, Pozycja społeczna

⁶„porozumienie z niebem” — Znany cytat z *Tartuffe’a* Moliera (*Il-y-a avec le ciel des accommodements*). [przypis tłumacza]

świata, próbował ją wyswatać. Wszystkie rodziny, do których prątał się zwracał, przelękły się dziewczyny z wzięciem księżniczki, która uchodziła za najzdolniejszą wychowanicę panien de Chamarolles i która podczas teatralnych nieco uroczystości rozdawania nagród odgrywała zawsze pierwszą rolę. To pewna, iż tysiąc talarów renty, jakie mogło przynosić La Hautoy — niepodzielna własność matki i córki — było drobiazgiem w porównaniu do wydatków, do jakich pociągnęłyby męża osobiste przymioty tak świetnej żony.

Skoro mały Polidor de La Baudraye dowiedział się tych szczegółów, o których rozprawiano szeroko w całym departamencie, udał się do Bourges w chwili, gdy pani Piédefér, dewotka na wielki kamień, była, zarówno jak jej córka, mniej więcej gotowa przyjąć, jak to mówią, pierwszego z brzegu psa. Jeżeli kardynał był bardzo szczęśliwy, że trafił na pana de La Baudraye, pan de La Baudraye był jeszcze szczęśliwszy, iż otrzymuje żonę z rąk kardynała. Spryciarz zażądał od Jego Eminencji stanowczej obietnicy poparcia u prezydenta ministrów co do zrealizowania wiarygodności książąt de Navarreins i *tym podobnych*, a to drogą zajęcia odszkodowań. Sposób ten wydał się zręcznemu ministrowi z *pałacyku Marsan* nieco ostry: uwiadomił winiarza, że zajmie się nim w swoim czasie i miejscu. Można sobie wyobrazić, jaki hałas wywołało w Sancerre i okolicy szalone małżeństwo pana de La Baudraye.

— To się tłumaczy — mówił prezydent Boirouge — podobno człeczyna uczuł się bardzo niemile dotknięty, słysząc, jak piękny Milaud, podprokurator z Nevers, mówił do pana de Clagny, pokazując mu wieżyczki La Baudraye: „Dojrzewa dla mnie!”. „Ależ”, odpowiedział nasz prokurator, „toć może się jeszcze ożenić i mieć dzieci”. „Doktor mu nie pozwala!”. Możecie sobie wyobrazić nienawiść, jaką taki wyskrobek jak La Baudraye musiał powziąć do tego kolosa Milaud.

Istniała w Nevers mieszczańska gałąź Milaudów, którzy uprawiając handel nożowniczy, wzbogacili się dostatecznie, aby przedstawiciel tej linii mógł się chwycić kariery w służbie państwowej.

Może będzie dobrze oczyścić tę opowieść, w której czynniki moralne odgrywają dużą rolę, z niskich interesów materialnych, którymi zaprzętał się wyłącznie pan de La Baudraye: opowiemy tedy zwięźle wyniki jego zabiegów w Paryżu. To zresztą wytłumaczy wiele tajemniczych szczegółów historii współczesnej oraz podziemne trudności, jakie napotykali na terenie politycznym ministrowie za Restauracji. Przyrzeczenia ministerialne okazały się tak zwodnicze, iż pan de La Baudraye udał się do Paryża w chwili, gdy posiedzenia Izby powołały tam kardynała. Oto jak książę de Navarreins, pierwszy wierzyciel zaczepiony przez pana de La Baudraye, wywinął się ze sprawy. Pewnego ranka w hotelu de Mayence, gdzie ulokował się nasz prowincjał, zjawił się konfident ministerialny, który zęby zjadł na likwidacjach. Wytworna ta osobistość przybyła w wytwornym kabrioletcie i odziana jak najwytworniej, zmuszona była drapać się aż pod numer 37, to znaczy na trzecie piętro, do pokoiku, gdzie winiarz pitrasił na kominku szklanekę kawy.

— Czy z panem Milaud de La Baudraye mam zaszczyt...

— Tak — odparł mały człowieczek, zawijając się w szlafrok.

Obejrawszy przez lornetkę ten kazirodczy produkt starej narzutki *chiné* pani Piédefér oraz sukni nieboszczki pani de La Baudraye, pośrednik uznał człowieka, szlafrok i mały gliniany garneczek, w którym gotowało się mleko w cynowej rynce za zjawisko tak charakterystyczne, iż wszelkie finezje wydały mu się zbyteczne.

— Założę się, drogi panie — rzekł obcesowo — że jada pan obiady po czterdzieści su u Urbana w *Palais-Royal*.

— Czemuż to?...

— Och, przypominam sobie, że pana tam widziałem — odparł z całą powagą paryżanin. — Wszyscy wierzyciele książąt tam jadają. Wiadomo panu, iż zaledwie można uzyskać dziesięć za sto za obliży największych panów... Nie dałbym ani pięć za sto za obliży nieboszczyka księcia Orleanu, a nawet... — zniżył głos — za obliży Jegomości...

— Przychodzi pan odkupić moje prawa... — rzekł winiarz, sądząc, iż odgadł przynależność.

— Odkupić! — odparł — Za kogo mnie pan bierze? Jestem des Lupeaulx, referendarz stanu, generalny sekretarz ministerium i przychodzę ofiarować panu układ.

— Jaki?

— Nie jest panu obce, drogi panie, położenie pańskiego dłużnika...

— Moich dłużników...

— Więc dobrze, zna pan położenie swoich dłużników, cieszą się łaską króla, ale są goli, a zmuszeni do reprezentacji... Nie są panu tajne trudności polityki, której zadaniem jest odbudować arystokrację wobec potężnego wzrostu trzeciego stanu. Myślą króla, którego Francja sądzi bardzo niesprawiedliwie, jest stworzyć za pomocą Izby Parów instytucję narodową, analogiczną do tej, którą posiada Anglia. Aby urzeczywistnić tę wielką myśl, trzeba nam lat i milionów... Szlachectwo obowiązuje. Księżę de Navarreins, który, jak panu wiadomo, jest pierwszym Ochmistrem Dworu, nie przeczy swego długu, ale nie może... (Bądź pan rozsądny... Oceń położenie polityczne. Wychodzimy z otchłani rewolucji. I pan jesteś szlachcicem!)... zatem, nie może płacić...

— Mój panie...

— Pan jest nagły — rzekł des Lupeaulx — posłuchaj pan... nie może zapłacić pieniędźmi; otóż, jako człowiek mający głowę na karku, zrealizuj pan swoją należność w faworach... ministerialnych lub królewskich...

— Jak to! Mój ojciec wyłożył w 1793 sto tysięcy...

— Drogi panie, niech się pan nie zacieka. Posłuchaj pan tego zrównania arytmetyki politycznej. Wakuje posada poborcy w Sancerre, dawny generalny kasjer armii ma do niej prawo, ale nie ma widoków; pan masz widoki, a nie masz żadnych praw: pan otrzymasz posadę. Będziesz ją piastował przez trzy miesiące, podasz się do dymisji, a pan Gravier da panu za nią dwadzieścia tysięcy. Co więcej, otrzymasz krzyż Legii Honorowej.

— To już coś — rzekł winiarz o wiele bardziej znęcony sumą niż wstążeczką.

— Ale — rzekł des Lupeaulx — w uznaniu łask Jego Ekscelencji, zwrócisz pan Jego Dostojności księciu de Navarreins wszystkie jego obliki...

Winiarz wrócił do Sancerre jako poborca. W pół roku miejsce jego zajął pan Gravier, który uchodził za jednego z najbardziej czarujących finansistów Cesarstwa i którego oczywiście pan de La Baudraye przedstawił żonie. Przystawszy być poborcą, pan de La Baudraye wrócił do Paryża, aby traktować z innymi dłużnikami. Tym razem mianowano go referendarzem, baronem i oficerem Legii. Sprzedawszy znowuż posadę, baron de La Baudraye złożył parę wizyt swoim ostatnim dłużnikom i wrócił do Sancerre z tytułem radcy stanu, z posadą komisarza królewskiego przy jakiejś spółce przemysłowej w Nivernais, z płacą sześciu tysięcy franków rocznie, czysta synekura! Niepokaźny La Baudraye, który — zdaniem ogółu — z finansowego punktu widzenia popełnił szaleństwo, zrobił tedy na swym małżeństwie doskonały interes. Dzięki brudnej oszczędności oraz odszkodowaniu za majątki ojca sprzedane z ramienia Rewolucji w roku 1793 człeczyna urzeczywistnił około roku 1827 marzenie swego życia! Dając czterysta tysięcy franków w gotówce i zaciągając zobowiązania, które skazywały go, wedle jego wyrażenia, na życie przez sześć lat powietrzem, zdołał kupić nad brzegiem Loary, dwie mile powyżej Sancerre dobra d'Anzy, których wspaniały zamek, zbudowany przez Filiberta de Lorme, jest przedmiotem słusznego podziwu znawców: majątek, który przeszło od pięciuset lat należał do domu d'Uxelles. Wreszcie dostał się między wielkich właścicieli! Nie jest pewne, czy radość z utworzenia majoratu, złożonego z dóbr Anzy, *lenna* La Baudraye i posiadłości La Hautoy (na mocy patentu królewskiego z grudnia 1820) wynagrodziła utrapienia Diny, która zmuszona była aż do roku 1835 żyć w tajonym niedostatku. Przechorny La Baudraye nie pozwolił żonie mieszkać w Anzy ani też czynić tam najmniejszych zmian przed ostatnią ratą. Ten rzut oka na politykę pierwszego barona de La Baudraye tłumaczy całego człowieka. Ci, którzy znają manie mieszkańców prowincji, poznają w nim *namiętność ziemi*, *namiętność zachłanną*, *wyłączną*, która często prowadzi do ruiny przez brak równowagi między ciężarami hipotecznymi a dochodami. Ludzie, którzy od roku 1802 do 1827 drwili sobie z małego La Baudraye, widząc go drepcącego do Saint-Thibaud i krzątającego się z zabiegliwością mieszczaucha żyjącego ze swej winnicy, którzy nie rozumieli jego lekceważenia faworów oraz posad opuszczanych prawie natychmiast po ich uzyskaniu, pochwycili wreszcie słowo zagadki, skoro ta *formica-leo* rzuciła się na ofiarę, wyczekawszy chwili, gdy rozrzutność księżnej de Maufriageuse⁷ doprowadziła do sprzedaży tego wspaniałego majątku.

⁷księżna de Maufriageuse — [por.] *Sekrety księżnej de Cadignan, Gabinet starożytności* etc. [przypis tłumacza]

Pani Piédefefer osiadła przy córce. Połączone majątki pana de La Baudraye i teściowej, która, odstępując zięciowi La Hautoy, zadowolili się rentą tysiąca dwustu franków, stworzyły razem dochód około piętnastu tysięcy. W pierwszej dobie małżeństwa Dina uzyskała zmiany, które uczyniły z La Baudraye dom nader miły. Stworzyła angielski ogród z olbrzymiego dziedzińca, burząc lamusy, tłocznie i szpetne szopy. Zachowała, poza zameczkiem, małą budowlę z wieżyczkami i zębatym dachem, niepozbawioną charakteru, drugi ogród ze starodrzewiem, kwiatami, trawnikami i oddzieliła go od winnic murem, który ukryła pod pnącymi roślinami. Słowem, wprowadziła w życie domowe tyle wykwintu, na ile pozwalały szczupłe dochody. Aby się nie dać pożyć młodej osobie równie niepospolitej, na jaką się zapowiadała Dina, pan de La Baudraye umiał chytrze przemilczeć przed nią zdobycze wypraw paryskich. Ten głęboki sekret, jakim pokrywał swoje interesy, dawał jego charakterowi coś tajemniczego i sprawił, iż urósł w oczach żony w pierwszych latach małżeństwa, tyle majestatu kryje w sobie milczenie! Zmiany w La Baudraye obudziły ochotę oglądania młodej oblubienicy tym żywszą, iż Dina nie chciała się pokazać, ani też zacząć przyjmować wpród, aż nie zdobędzie wszystkich wygód, nie wystudiuje okolicy, a zwłaszcza milczącego małżonka. Kiedy w wiosenny poranek 1825 roku ujrzano na promenadzie w Mail piękną panią La Baudraye w aksamitnej sukni niebieskiej, matkę zaś jej w aksamitnej sukni czarnej, wielki krzyk podniósł się w całym Sancerre. Tualeta ta potwierdziła wyższość młodej osoby, wychowanej w stolicy Berry. Obawiano się przewagi inteligencji i dowcipu tego prowincjonalnego feniksa; co za tym idzie, wszyscy wspinali się na palce wobec pani de La Baudraye; szerzyła formalny postrach wśród żeńskiego stadka. Skoro mieszkańcom okolicy dane było podziwiać w La Baudraye dywan naśladowujący kaszmir, złożone meble Pompadour, brokatowe portiery, a na okrągłym stoliku japoński wazonik z kwiatami pośród kilku nowych książek; kiedy usłyszano piękną Dinę grającą *prima vista* na fortepianie i to bez najmniejszych certacji, pojęcie o jej wyższości urosło do wielkich rozmiarów. Aby nie dać się zmóc zaniedbania i złemu smakowi, Dina postanowiła pilnie informować się o stanie mody i najdrobniejszych wynalazkach zbytku, utrzymując żywą wymianę listów z Anną Grossetête, przyjaciółką od serca z pensjonatu. Jedyna córka generalnego poborcy z Bourges, Anna, zaślubiła dzięki swemu majątkowi trzeciego syna hrabiego de Fontaine. Kobiety bywające w La Baudraye czuły się tedy stale upokorzone pierwszeństwem, jakie Dina umiała sobie zdobyć w kwestiach mody; co bądź czyniły, zawsze były w tyle, zawsze, jak mówią miłośnicy wyścigów, *zdystansowane*. O ile już te drobiazgi zrodziły zawiść u pań z Sancerre, rozmowa i dowcip Diny obudziły prawdziwą niechęć. W pragnieniu utrzymania swej inteligencji na wyżynach paryskiego ruchu, pani de La Baudraye nie znosiła u nikogo czczego obracania językiem ani przestarzałych galanterii, ani frazesów bez treści; wręcz odmówiła współnictwa w mieleniu ploteczek, w owej płaskiej obmowie, która stanowi treść języka prowincji. Lubiła mówić o odkryciach nauki, o sztuce, o dziełach, które świeżo zakwitły w teatrze, w poezji; słowem, zdawała się poruszać myśli, poruszając modne wówczas słowa.

Ksiądz Duret, proboszcz Sancerre, sędziwy zabytek dawnego kleru, człowiek obyty w świecie, posiadający słabostkę do kart, nie śmiał jej dawać folgi w miasteczku tak liberalnym jak Sancerre; uszczęśliwiony był tedy z przybycia pani de La Baudraye, z którą porozumiał się doskonale. Podprefekt, wicehrabia de Chargeboeuf, był oczarowany, znajdując w salonie pani de La Baudraye oazę wytchnienia wśród prowincjonalnej stęchlizny. Co się tyczy prokuratora, pana de Clagny, uwielbienie dla pięknej Diny przykuło go do Sancerre. Czuły ten urzędnik odrzucał wszelki awans i rozkochał się aż do adoracji w aniele piękności i dobroci. Był to wysoki i suchy człowiek o nieregularnej twarzy ozdobionej parą straszliwych oczu, o ciemnych oczodołach, nad którymi stroszyły się olbrzymie krzaczaste brwi; wymowa jego, bardzo różna od jego miłości, nie była pozbawiona energii. Pan Gravier był to pulchny i pękaty człowieczek, który za Cesarstwa cudownie śpiewał romances i temu talentowi zawdzięczał wybitny posterunek generalnego kasjera armii. Wmieszany w ważne interesy w Hiszpanii wraz z pewnymi generałami należącymi wówczas do opozycji, umiał wyzyskać te parlamentarne koneksje wobec ministra, który przez wzgląd na jego straconą pozycję przyrzekł mu posadę poborcy w Sancerre i kazał mu ją w końcu odkupić. Dowcip i elegancja z czasu Cesarstwa ociążały w panu Gravier; nie rozumiał lub nie chciał rozumieć olbrzymiej różnicy, jaka dzieliła Restaurację od Ce-

sarstwa, ale uważał się za coś o wiele wyższego od pana de Clagny, lepiej się ubierał, podążał za modą, nosił się w żółtej kamizelce, szarych pantalonach, w obcisłych rajtroczkach, miał modne jedwabne krawaty z pierścionkiem; gdy prokurator nie rozstawał się z frakiem i kamizelką, i czarnymi, często dość wyświechtanymi pantoflami.

Te cztery osobistości pierwsze zachwyciły się wykształceniem, smakiem, sprytem Diny i ogłosiły jej wysoką inteligencję. Wówczas kobiety rzekły między sobą: „Pani de La Baudraye musi się bawić naszym kosztem...”. Mniemanie to, mniej lub więcej prawdziwe, miało ten rezultat, iż wstrzymywało kobiety od bywania w La Baudraye. Obwiniona i potępiona za pedantyzm, ponieważ wyrażała się poprawnie, Dina zyskała przydomek *Safony* z *Saint-Satur*. Wszyscy zaczęli sobie w końcu drzwi bezwstydnie z rzekomych przymiotów tej, która stała się postrachem kobiet w Sancerre. Posunięto się aż do zaprzeczania wyższości, zupełnie względnej zresztą, która podkreślała ignorancję i nie przebaczała ich. Kiedy wszyscy są garbaci, zgrabna kibić staje się potwornością; patrzono tedy na Dinę jak na niebezpieczne monstrum, uczyniła się dokoła niej pustka. Zdziwiona, iż mimo zachęty z jej strony kobiety odwiedzają ją rzadko i jedynie na kilka minut, Dina spytała pana de Clagny o powód tego zjawiska.

— Jest pani istotą nazbyt wyższą, aby kobiety panią lubiły — odparł prokurator.

Pan Gravier, do którego biedna samotnica zwróciła się również, dał się niezmiernie długo prosić, nim odpowiedział:

— Ależ, piękna pani, nie zadowolasz się, że jesteś prześliczna, jesteś przy tym dowcipna, wykształcona, czytana, kochasz poezję, uprawiasz muzykę i rozmawiasz jak anioł: kobiety nie przebaczą tyłu zalet!...

Mężczyźni powtarzali panu de La Baudraye: „Pan, który masz za żonę kobietę wyższą, jesteś bardzo szczęśliwy...”. I on sam w końcu powtarzał: „Ja, który mam za żonę kobietę wyższą, jestem bardzo etc.”.

Pani Piédefefer, głaskana w macierzyńskiej próżności, pozwalała sobie również na odezwania w rodzaju: „Moja córka, która jest kobietą bardzo niepospolitą, pisała wczoraj do pani de Fontaine to i to”.

Ktoś, kto zna świat, Francję, Paryż, czyż nie patrzył na to, jak wiele reputacji utworzyło się w ten sposób?

Po upływie dwu lat, pod koniec roku 1825, obwiniano Dinę de La Baudraye, iż przyjmuje jedynie mężczyzn; w końcu poczytano jej za zbrodnię, że stroni od kobiet. Żaden jej nawet najbardziej obojętny postępek nie uniknął krytyki albo fałszywej interpretacji. Uczyniwszy wszystkie poświęcenia, jakie dobrze wychowana kobieta mogła uczynić, aby zaspokoić wymagania grzeczności, pani de La Baudraye popełniła tę nieostrożność, iż fałszywej przyjaciółce, która przysłała ubolewać nad jej samotnością, odpowiedziała: „Ostatecznie wolę niech moja szklanka będzie próżna niż pełna lada czego”. Te słowa wywarły w Sancerre straszliwe wrażenie; obrócono je później okrutnie przeciw Safonie z *Saint-Satur*, kiedy widząc ją bezdzietną po pięciu latach małżeństwa, zaczęto sobie dworować z małego de La Baudraye. Aby dobrze zrozumieć ten prowincjonalny koncept, trzeba przypomnieć pamięci tych, co go znali, posła de Ferrette, o którym mówiono, że jest to człowiek najodważniejszy w Europie, ponieważ ośmiela się chodzić na własnych nogach; pomawiano go też, iż kładzie olów do trzewików, aby go wiatr nie porwał. Pana de La Baudraye, małego, żółtego i przezroczyściego człowieczka, poseł de Ferrette mógłby wziąć za szambelana, gdyby ten dyplomata był samym księciem bańskim, zamiast być tylko jego ambasadorem. Pan de La Baudraye, który miał nogi tak cieniutkie, iż nosił dla przyzwoitości fałszywe łydki; którego uda podobne były do ramienia dość tęgiego mężczyzny; którego tors odtwarzał dość wiernie kadłub chrabąszcza, byłby dla posła Ferrette przedmiotem nieustannej pocięchy. Kiedy szedł, łydki przekręcały mu się często na golenie, tak mało z nich robił tajemnicy: dziękował temu, kto go przestrzegł o tej drobnej niedokładności. Zachował dawną modą krótkie majtki, czarne jedwabne pończochy i białą kamizelkę aż do roku 1824. Ożeniwszy się, zaczął nosić błękitne pantalony i buty na obcasach, wskutek czego całe Sancerre powtarzało, iż przykładał sobie dwa cale, aby sięgnąć podbródka żony. Widziano go dziesięć lat z rzędu w tej samej zielonkawej surducinie z wielkimi cynowymi guzami, w czarnej krawatce, która uwydatniała zimną i drobną twarz, oświeconą stalowo-niebieskimi oczami, chytrymi i spokojnymi jak oczy kota. Łagodny, jak wszyscy ludzie, którzy mają wytknięty plan, na pozór był bardzo do-

bry dla żony; nie sprzeciwiał się jej w niczym, zostawiał jej prawo głosu; zadawał się tym, że robił swoje, działając z powolnością, ale i wytrwałością owada. Ubóstwiana za swą piękność bez rywalki, podziwiana za swój rozum przez mężczyzn stanowiących śmietankę Sancerre, Dina podtrzymywała ten zachwyt swą rozmową, do której, jak twierdzono później, przygotowywała się. Widząc, że jej słuchają z upojeniem, przyzwyczaiła się stopniowo słuchać sama siebie, zasmakowała w perorowaniu i w końcu uważała przyjaciół za powierników z tragedii, przeznaczonych do dawania repliki. Nagromadziła sobie zresztą wcale pokazną kolekcję zdań i myśli, bądź z czytania, bądź przyswajając sobie myśli swych wiernych, i stała się w ten sposób niby pozytywką zaczynającą swą melodię z chwilą, gdy ktoś w konwersacji nacisnął odpowiednią sprężynę. Spragniona wiedzy (oddajmy jej tę sprawiedliwość), Dina przeczytała wszystko, aż do dzieł lekarskich, statystycznych, przyrodniczych, prawniczych; nie wiedziała bowiem, na co zużyć poranki, skoro odbyła przegląd kwiatów i wydała rozkazy ogrodnikowi. Obdarzona wyborną pamięcią oraz ową swadą właściwą niektórym kobietom, mogła rozprawiać na wszelki temat z nieskazitelnością wystudiowanego stylu. Toteż z Cosne, z Charité, z Nevers po prawym brzegu, a z Léré, Vailly, Argent, Blancafort, Aubigny po lewym, spieszono, aby się przedstawić pani de La Baudraye, tak jak w Szwajcarii przedstawiano się pani de Staël. Ci, co tylko jeden raz słyszeli melodie tej szwajcarskiej tabakierki, odchodzili oszołomieni i opowiadali o Dinie cuda, przyprowadzając o paroksyzm kobiety na dziesięć mil wokoło. W osobie będącej przedmiotem takiej masowej admiracji i odgrywającej wciąż rolę, wytwarza się niejaki stan duchowego pijaństwa, które nie pozwala krytyce dotrzeć do bożyszczka. Atmosfera będąca wynikiem ciągłego napięcia nerwowego tworzy jak gdyby nimb, poprzez który dana istota widzi świat pod sobą. Jak wytłumaczyć inaczej wiekuiłą dobrą wiarę towarzyszącą tylokrotnemu powtarzaniu tych samych efektów; jak pojąć uparte lekceważenie przestrogi, jaką dają dzieci, tak straszne dla rodziców, albo mężowie tak oswojeni z niewinnymi sztuczkami żon? Pan de La Baudraye miał prostotę człowieka, który rozkłada parasol, skoro spadną pierwsze krople. Skoro żona wsiadła na kwestię handlu Murzynami lub polepszenia doli skazańców, brał niebieski kaszkiecik i wymyślał się bez hałasu, z tą pewnością, iż może iść do Saint-Thibault skontrolować dostawę beczek i wrócić w godzinę później, zastając dyskusję w najdojrzałszej fazie. Jeśli nie miał nic do roboty, przechadzał się po Mail, skąd odsłania się cudowna panorama doliny Loary, i brał kąpiel powietrzną, gdy żona wykonywała sonatę słów i duety dialektyki. Raz pasowana na *kobietę wyższą*, Dina zapragnęła dać widomy zakład swej miłości do najwybitniejszych twórców sztuki; wzięła żywy udział w ideach szkoły romantycznej, obejmując pod pojęciem sztuki poezję i malarstwo, szych i posąg, mebel i muzykę. Toteż stała się *średniowieczniczką*. Wywiadywała się również o osobliwości mogące datować z czasu Odrodzenia i uczyniła ze swoich wiernych zastęp oddanych komisjonerów. Nabyła między innymi w pierwszej epoce małżeństwa ruchomości Rougetów w Issoudun⁸ na licytacji, która odbyła się w początkach 1824. Wykupiła bardzo ładne rzeczy w Nivernais i okręgu Górnej Loary. Na kolędę lub w dzień imienin przyjaciele nie zaniedbali nigdy ofiarować jej jakiejś osobliwości. Pan de La Baudraye patrzył pobłażliwie na te fantazje, przybierał minę człowieka, który chętnie poświęca parę talarów kaprysom żony; ale w istocie ten *ziemny* człowiek myślał o swoim zamku w Anzy. Te *starożytności* kosztowały wówczas o wiele mniej niż nowoczesne meble. Po kilku latach przedpokój, jadalnia, dwa salony i buduar, jakie Dina urządziła sobie na parterze w La Baudraye, wszystko, aż do klatki schodowej, przelewało się od arcydzieł wyłowionych w czterech sąsiednich departamentach. Rama ta, okrzyczana za dziwactwo, harmonizowała z Diną. Cuda owe, zaczynające właśnie wchodzić w modę, uderzały wyobraźnię nowo przybyłych; spodziewali się rzeczy dziwnych, ale rzeczywistość przechodziła ich oczekiwanie, skoro poprzez ocean kwiatów ujrzeli te katakumby starożytności ustawione jak u nieboszczyka du Sommerard, tego *Old Mortality* meblarstwa! Osobliwości te stawały się zresztą równocześnie sprężynami, które w danej kwestii pozwalały tryskać tyradom na temat Jana Goujon, Michała Kolumba, Germana Pilon, Boullé'a, Van Huysium, Bouchera, owego wielkiego malarza rodem z Berry; na temat Brustolona, owego Michała-Anioła bukszpanu i dębu; na temat trzynastego, czternastego, piętnastego, szesnastego i siedemnastego wieku, emalii

⁸Rougetowie — [por.] *Kawalerskie gospodarstwo, Stracone złudzenia, Pierwsze kroki*. [przypis tłumacza]

Bernarda de Palissy, Petitota, sztychów Albrechta Dürera (wymawiała *Diir*), iluminowanych welinów, gotyku w sposób zdolny porazić starców, a wprawić w entuzjazm młodych ludzi.

Ożywiona pragnieniem wiania życia w Sancerre, pani de La Baudraye próbowała stworzyć w mieście towarzystwo rzekomo literackie. Prezydent trybunału, pan Boirouge, któremu spadł właśnie na głowę domek z ogrodem z sukcesji Popinot-Chandier, poparł utworzenie towarzystwa. Przebiegły urzędnik ułożył z panią de La Baudraye statut, zgłosił się jako jeden z założycieli i wynajął swój dom na piętnaście lat Towarzystwu Literackiemu. Począwszy od drugiego roku, grywano tam w domino, w bilard, w gieryłasza, popijając grzane wino, poncz i likiery. Co się tyczy literatury, czytano dzienniki, dysputowano o polityce i mówiono o interesach. Od czasu do czasu, wyprawiano kolacyjki i dawano maskarady w karnawale. Pan de La Baudraye uczęszczał tam pilnie, ze względu na żonę, jak powiadał jowialnie.

Te rezultaty wprawiły w rozpacz kobietę wyższą, która zwątpiła o Sancerre; odtąd skupiła w swoim salonie cały intelektualizm okolicy. Jednakże mimo dobrej woli panów Chargeboeuf, Gravier, de Clagny i księdza Duret, pierwszego i drugiego podprokuratora, młodego lekarza, podsekretarza sądu, ślepych wielbicieli Diny, bywały chwile, iż po daremnych wysiłkach pozwalano sobie na wycieczki w dziedzinę miłych błahostek, które stanowią zwyczajną treść światowych rozmów. Pan Gravier nazywał to: *przejść od wzniosłości do słodkości*. Wist księdza Duret stanowił użyteczną dywersję w *quasi-monologach* bóstwa. Trzej rywale, znużeni ciągłym napięciem umysłu w zakresie *rzeczy wyższych*, ale nie śmiejąc okazać najłżejszego przesytu, zwracali się niekiedy obleśnie do starego księdza. „Ksiądz proboszcz umiera z ochoty zrobienia partyjki”, mówili. Sprytny księżyna dostrajał się wcale nieźle do obłudy swoich współników, opierał się, wołał: „Za wiele stracilibyśmy, nie słuchając naszej pięknej Muzy!”. I podsycał wspaniałomyślność Diny, która litowała się w końcu nad droгим proboszczem. Ten śmiały manewr, wymyślony przez podprefekta, wprowadzono w życie z taką przebiegłością, iż Dina nie podejrzewała nigdy ucieczki swoich skazańców na łączkę zielonego stolika; zostawiano jej wówczas na pastwę młodego podprokuratora albo lekarza. Młody obywatel, dandys Sancerre, stracił łaski Diny wskutek paru niebaczných demonstracji. Zaszczycony tym, iż dopuszczono go do kółka, kołysząc się nadzieją, iż sprzątnie jego kwiat sprzed nosa uświęconym powagom, które go pielegnowały, popełnił tę nieostrożność, iż ziewnął podczas prelekcji, jakiej Dina raczyła mu udzielić, po raz czwarty co prawda, na temat filozofii Kanta. Pana de Thaumassière, wnuka historyka z Berry, ogłoszono człowiekiem zupełnie pozbawionym inteligencji i duszy.

Trzej urzędowi wielbiciele poddawali się tym nadmiernym wydatkom dowcipu i uwagi w nadziei najśłodsze go tryumfu z chwilą, gdy Dina zacznie stąpać po ziemi, żaden bowiem nie miał odwagi przypuszczać, by miała postradać niewinność małżeńską, nim postrada swoje złudzenia. W 1826, epoce, w której Dina zażywała pełni holdów, Muza liczyła lat dwadzieścia. Ksiądz Duret utrzymywał ją w poetycznej żarliwości katolicyzmu; wielbiciele Diny zadowalali się nadszkakiwaniami, rywalizacją w usługach, dowodami pamięci, szczęśliwi, iż mogą uchodzić za rycerzy królowej w oczach przygodnych gości.

— Pani de La Baudraye to owoc, któremu trzeba dać dojrzeć — zaopiniował pan Gravier. Zatem czekał.

Co do prokuratora, ten pisywał listy na cztery strony, na które Dina odpowiadała kojącymi słowy, przechadzając się po obiedzie dokoła gazonu, wsparta na ramieniu swego wielbiciela. Strzeżona przez te trzy gorejące serca, pani de La Baudraye, zawsze zresztą w towarzystwie nabożnej matki, uniknęła dotąd obmowy. Było tak wiadome w Sancerre, że żaden z wiernych nie zostawiłby drugiego sam na sam z panią de La Baudraye, iż zaźdrość ich stanowiła istną komedię. Aby się dostać od bramy Cezara do Saint-Thibault, istnieje droga o wiele krótsza niż przez wały, rodzaj ścieżki, którą mieszkańcy gór nazwaliby percią, a którą w Sancerre nazywają *Złamikarkiem*. To miano dosyć trafnie określa ścieżkę biegnącą po najbardziej stromym spadku, zawałoną kamieniami, a obramioną stokami winnic. Spiesząc *Złamikarkiem*, można było skrócić odległość z Sancerre do La Baudraye. Kobiety zazdrosne o Safonę z Saint-Satur przechadzały się po Mail, aby patrzeć na ten wyścig władz i przerywały go często, nawiązując jakąś rozmowę to z podprefektem, to z prokuratorem, którzy wówczas objawiali widoczną niecierpliwość lub też niegrzeczne

roztargnienie. Ponieważ z Mail widać wieżyczki La Baudraye, niejeden młody człowiek zachodził tam spoglądać na siedzibę Diny, zazdrozcząc przywileju dziesiątkowi stałych gości, którzy mieli prawo spędzać wieczór w towarzystwie królowej Sancerre z przyległościami. Pan de La Baudraye rychło spostrzegł przewagę, jaką rola męża dawała mu nad wielbicielami żony, i posługiwał się nimi z najdoskonalszą prostotą; zdobył małe ulgi w podatkach i wygrał dwa procesy. We wszystkich konfliktach błyskał przed oczami powagą prokuratora w ten sposób, iż każdy wołał mu ustąpić; był zaś drobiazgowy i trudny w interesach jak wszystkie karły, ale zawsze na słodko.

Jednakże im bardziej jaśniała niewinność pani de La Baudraye, tym trudniejszą stawała się jej pozycja w ciekawych oczach kobiet. Często u prezydentowej Boirouge starsze damy dyskutowały przez całe wieczory, poufnie, rozumie się, problem małżeństwa La Baudraye. Wszystkie przeczuwały w nim jedną z owych tajemnic, których sekret żywo interesuje kobiety świadome życia. W istocie, w La Baudraye rozgrywała się długa i monotonna tragedia małżeńska, z tych, które pozostałyby wiecznie nieznaną, gdyby chciwy skalpel dziewiętnastego wieku nie zaczął, wiedziony koniecznością znajdowania czegoś nowego, zgłębiać najtajniejszych zakątków serca lub też, jeżeli chcecie, tych, które uszanowała wstydlivość poprzednich stuleci. I ten dramat domowy dość dobrze tłumaczy cnotę Diny w pierwszych latach małżeństwa.

Młoda dziewczyna, której sukcesy na pensji czerpały swe źródło w ambicji, której pierwszą rachubę uwieńczyło pierwsze zwycięstwo, nie miała zapewne zamiaru zatrzymać się na tak pięknej drodze. Mimo niepozornej postaci, pan de La Baudraye, był dla panny Diny Piédefer partią w istocie nieoczekiwaną. Co za ukrytą myśl mógł mieć ten winiarz, żeniąc się w czterdziestym czwartym roku z siedemnastoletnią dziewczyną, i jaką korzyść żona mogła zeń wyciągnąć? To był pierwszy temat rozmyślań Diny. Człowieczek mylił bezustannie obserwację żony. I tak zrazu pozwolił zagarnąć dwa szacowne hektary zmarnowane na park dookoła La Baudraye i dał, prawie że z lekkim sercem, siedem czy osiem tysięcy franków potrzebnych na przeobrażenia domu. Dina dzięki temu mogła zakupić w Issoudun ruchomości Rougetów i rozwinąć u siebie w domu przepychy średniowiecza, Ludwika XIV i Pompadour. Młoda mężatka z trudnością mogła wówczas uwierzyć, aby pan de La Baudraye był tak skąpy, jak mówiono: miała prawo myśleć, iż zdobyła nań nieco wpływu. Ten błąd trwał półtora roku. Po drugiej podróży paryskiej pana de La Baudraye Dina poznała w nim we wszystkim, co tyczyło pieniędzy, lodowaty chłód prowincjonalnego Harpagona. Pierwszej przymówce o kapitały towarzyszyła jedna z tych uroczych komedijek, których sekret pochodzi od Ewy; ale człowieczek wytłumaczył jasno żonie, iż daje jej dwieście franków miesięcznie na wydatki osobiste, płaci jej matce tysiąc dwieście franków renty z posiadłości La Hautoy, że więc w ten sposób łączna suma przewyższa o dwieście franków jej tysiąc talarów posagu. „Nie mówię o wydatkach domowych — dodał — pozwalam ci wieczorem podejmować przyjaciół ciasteczkami i herbatą, trzeba, abyś miała rozrywkę; ale ja, który jako kawaler nie wydawałem ani półtora tysiąca franków rocznie, wydaję obecnie sześć tysięcy, licząc w to podatki, reparacje, a to jest trochę za dużo, zważywszy naturę naszego majątku. Winiarz jest zawsze pewny jedynie wydatków: nawóz, podatki, beczki — gdy dochód jest na łasce jednej posuchy lub przymrozka. Drobnii posiadacze, jak my, których dochody bynajmniej nie są czymś stałym, powinni zakreślać budżet według swego *minimum*, gdyż nie mają żadnego sposobu odzyskania wydatku lub straty. Cóż by się z nami stało, gdyby który z odbiorców zbankrutował? Toteż dla mnie akcepty, które otrzymuję w miejsce towaru, są jak kapuściane liście. Aby żyć, jak my żyjemy, musimy mieć wciąż przed sobą jeden rok dochodu i liczyć jedynie na dwie trzecie naszej renty”.

Wystarczy jakiegokolwiek oporu, aby kobieta zapragnęła go zwalczyć, Dina zaś natrafiła na duszę z brązu, wyścieloną safianem i flanelą. Próbowwała tchnąć obawy i zazdrość w tego człowieczka, ale znalazła go opatulonym w najbezcelniejszy spokój. Udając się do Paryża, opuszczał Dinę z tą pewnością, jaką mógłby mieć Medor w stosunku do Angeliki. Kiedy próbowała być zimną i wyniosłą, aby przypiec do żywa wyskrobka ową wzgardą, jaką smagają kurtyzany swoich protektorów i która działa na nich z dokładnością śruby w prasie, pan de La Baudraye skierował na żonę oczy nieruchome jak oczy kota, który w chwili burzy domowej czeka uderzenia, nim opuści miejsce. W tej niemej obojętności było coś, co przeraziło niemal młodą, dwudziestoletnią kobietę; nie rozumiała zrazu

samolubnej martwoty tego człowieka, który aby żyć, umiarkował mechanizm swego istnienia z tą ścisłością, jaką zegarmistrze dają wahadłu. Toteż mały człowieczek wymyślał się ustawicznie żonie: atakowała go zawsze o dziesięć stóp ponad głowę. Łatwiej zrozumieć niż odmalować wściekłość Diny, skoro uczuła się skazana na wieczne bytowanie w La Baudraye lub Sancerre; toć w marzeniach swoich roiła o sterze majątku i o prowadzeniu tego karła, któremu zrazu ona, olbrzymka, poddała się, aby nim ovladnąć. W nadziei, iż zabłąśnie kiedyś na arenie Paryża, przyjmowała pospolite kadzidła swoich rycerzy, siliła się przygotować mężowi drogę do mandatu poselskiego, przypuszczała w nim bowiem ambicję, widząc, jak po trzykroć wraca z Paryża, przebywszy za każdym razem nowy szczebel drabiny społecznej. Ale kiedy zapukała w serce tego człowieka, uderzyła niby w marmur!... Eks-poborca, referendarz stanu, oficer Legii, komisarz królewski, był kretem ryjącym podziemne chodniki około szczepu wina! Parę westchnień spłynęło wówczas w serce prokuratora, podprefekta, a nawet pana Gravier, którzy wszyscy stali się tym oddańsi⁹ wzruszającej ofercie; strzegła się bowiem pilnie, jak zresztą wszystkie kobiety, mówić o swoich rachubach i — również jak wszystkie kobiety — w niemożności spekulowania, spiorunowała wzgardą spekulację. Smagana tymi wewnętrznymi burzami, Dina doczekała, niezdecydowana, roku 1827, kiedy, pod koniec jesieni, buchnęła wiadomość o nabyciu Anzy przez barona de la Baudraye. Starowina miał wówczas chwilę radosnej dumy, która na kilka miesięcy przeobraziła pojęcia jego żony; uwierzyła w jego wielkość, widząc, iż zabiega się o stworzenie majoratu. W tryumfie swoim chuderlawy baron zakrzyknął: „Dino, będziesz kiedyś hrabiną!”. Wówczas nastąpił między małżeństwem rodzaj paktu, pojednania, które jest zawsze lichą łataniną; a stosunek ten musiał w równym stopniu nużyć jak upokarzać kobietę, której zalety jawne były fałszywe, a prawdziwe zalety ukryte. To dziwaczne przeciwieństwo częstsze jest, niż się wydaje. Dina, którą ośmieszały wady intelektu, była wielka sercem, duszą; ale okoliczności nie dawały sposobności zabłysnąć tym rzadkim siłom, podczas gdy pleśń prowincji kaziła z dnia na dzień drobną monetę jej umysłu. Przeciwnym zgoła fenomenem pan de La Baudraye, bez siły, bez duszy i bez rozumu, miał kiedyś uchodzić za człowieka wielkiego charakteru, idąc spokojnie drogą, z której nikłość jego nie pozwalała mu zbroczyć.

Ta pierwsza faza egzystencji trwała sześć lat, w czasie których Dina stała się, niestety, *kobietą z prowincji*. W Paryżu istnieją rozmaite odmiany kobiet: księżna i bankierowa, ambasadorowa i żona konsula, żona ministra i żona byłego ministra, istnieje *przyzwoita kobieta z prawego i z lewego brzegu*; ale na prowincji jest tylko jedna kobieta, to kobieta z prowincji. Spostrzeżenie to kładzie palec na jednej z wielkich ran nowożytnego społeczeństwa. Zrozummy to! Dzisiejsza Francja dzieli się na dwie wielkie strefy: Paryż i prowincję; prowincję zazdrosną o Paryż, Paryż myślący o prowincji jedynie po to, aby żądać od niej pieniędzy. Niegdyś Paryż był pierwszym miastem prowincji, dwór górował nad miastem; obecnie Paryż jest całym dworem, prowincja całym miastem. Choćby młoda dziewczyna, urodzona w jakimkolwiek departamencie, była nie wiem jak bujna, piękna, zdolna, jeżeli jak Dina Piédefer wyjdzie za mąż na prowincji i tam zostanie, stanie się niebawem kobietą z prowincji. Mimo najświętszych postanowień, komunały, ciasnota pojęć, zaniedbanie stroju, ciepłarnia pospolitości zaleją wzniosłą istotę kryjącą się w tej świeżej duszy i już po wszystkim, piękna roślina usycha. Jak mogłoby być inaczej? Od najwcześniejszego wieku dziewczyna taka widzi dookoła siebie jedynie samych prowincjałów, nie wymyśli nic lepszego, może wybierać jedynie między miernotami. Ojcowie z prowincji wydają córki jedynie za młodzież z prowincji; nikomu nie przychodzi na myśl krzyżować rasę, która wyradza się nieodzownie; toteż w wielu miastach inteligencja stała się równie rzadką jak typ fizyczny szpetnym. Człowiek karłowacieje tam w obu kierunkach, oplakana bowiem idea harmonii majątkowej wyrasta ponad wszystkie inne matrymonialne względy. Ludzie utalentowani, artyści, ludzie z głową, słowem wszelkie świetniej upierzone koguty odlatują do Paryża. Upośledzona jako kobieta, kobieta z prowincji jest również upośledzona w osobie męża. Żyję tu szczęśliwa z tymi dwiema przygniatającymi myślami! Ale niższość małżeńska i zasadnicza niższość kobiety z prowincji obciążone są trzecią i straszliwą niższością, która przyczynia się do tego, aby uczynić tę postać suchą i ponurą, aby ją ścieńnić, pomniejszyć, pomarszczyć haniebnie. Jednym

⁹ *oddańszy* — dziś popr.: bardziej oddany. [przypis edytorski]

z najbardziej rozkosznych upojeń, jakimi kobiety lubią się kołysać, czyż nie jest pewność, iż są czymś w życiu człowieka wyższego, wybranego przez nie z pełną świadomością, niby odwet za małżeństwo, w którym tak mało radzono się ich skłonności? Otóż na prowincji, jeżeli nie ma ludzi wybitnych wśród mężów, jest ich jeszcze mniej wśród kawalerów. Toteż kiedy na kobietę z prowincji przyjdzie chwila nieopatrzności, zawsze zadurzy się w rzekomym „ładnym chłopcu” lub małomiasteczkowym dandysie, w panu, który nosi rękawiczki, który uchodzi za dobrego jeźdźcę; ale w głębi serca wie, że pragnienia jej ściągają mniej lub więcej dobrze ubrany komunał. Dinę ustrzegło od tego niebezpieczeństwa wszczepione w nią pojęcie własnej wyższości. Gdyby nawet w pierwszej epoce małżeństwa nie strzegła jej tak pilnie matka, byłaby ją tak samo obroniła duma i górnosc lotu, jaką naznaczyła swym losom. Dość mile pogłaskana rojem wielbicieli, nie widziała wśród nich materiału na kochanka. Żaden mężczyzna nie urzeczywistnił poetyckiego ideału, który kiedyś snuła wspólnie z Anną Grossetête. Kiedy zwalczona mimowolnymi pokusami, jakie rodziły w niej hołdy, pytała siebie: „Kogo bym wybrała, gdyby trzeba było bezwarunkowo wybrać?”, czuła wyraźniejszą skłonność do pana de Chargeboeuf, szlachcica z dobrego domu, którego osoba i wzięcie podobały się jej, ale którego wewnętrzny chłód, egoizm, ambicja ograniczająca się do prefektury i dobrego małżeństwa przejmowały ją odrazą. Za pierwszym słowem rodziny, która obawiała się, iż gotów byłby zmarnować życie dla miłości, wicehrabia opuścił już bez wyrzutów za pierwszej swej podprefektury ubóstwianą kobietę. Przeciwnie, pan de Clagny, jedyny, który duchowo odpowiadał Dinie, którego ambicja miała za sprężynę miłość i który umiał kochać, był dla niej fizycznie odpychający. Kiedy zrozumiała, iż jest skazana na to, aby zostać jeszcze sześć lat w La Baudraye, już miała przyjąć zabiegi wicehrabiego de Chargeboeuf; ale mianowano go prefektem i opuścił departament. Ku wielkiemu zadowoleniu prokuratora, nowy podprefekt był żonaty, a żona jego żyła blisko z Diną. Pan de Clagny nie miał już rywala prócz pana Gravier. Otóż pan Gravier był typem czterdziestolatka, którym się posługują i z którego drwią sobie kobiety, podtrzymując umiejętnie i bez skrupułów jego nadzieje, tak jak się karmi zwierzę pociągowe. W ciągu sześciu lat między wszystkimi mężczyznami, których jej przedstawiono, na dwadzieścia mil wokoło nie znalazł się ani jeden, na którego widok Dina odczułaby owo wzruszenie, jakie budzi piękność, wiara w szczęście, zetknięcie z wyższą duszą lub przecucie jakiej bądź miłości, nawet nieszczęśliwej.

Żadna z szacownych zdolności Diny nie mogła się tedy rozwinąć; skryła rany zadane jej dumie, ustawicznie drażnionej przez męża, który przechadzał się tak spokojnie, niby podrzędny aktor, na scenie jej życia. Zniewolona zagrzebać skarby serca, wydała społeczeństwu jedynie swą zewnętrzną istotę. Chwilami otrząsała się, chciała powziąć męskie postanowienie; ale trzymała ją na pasku kwestia pieniężna. Tak, powoli, mimo ambitnych protestów, mimo lirycznych buntów ducha ulegała przeobrażeniom prowincjonalnym, któreśmy właśnie opisali. Każdy dzień unosił strzęp pierwotnych postanowień. Wykreśliła sobie program starań toaletowych i zaniedbała go stopniowo. O ile zrazu szła za modą, o ile utrzymywała styczność z drobnymi wymysłami zbytku, z czasem była zmuszona ograniczyć sprawunki do wysokości swej pensji. W miejsce czterech kapeluszy, sześciu czepeków, sześciu sukien, zadowolili się jedną suknią na sezon. Tak bardzo wychwalano na Dinie pewien kapelusz, że donosiła go jeszcze w następnym roku. Tak samo ze wszystkim. Często artystyczna jej dusza poświęcała wymagania stroju żądzy posiadania jakiegoś gotyckiego mebla. W siódmym roku doszła do tego, iż najwygodniej jest kazać robić ranne suknie pod swoim okiem najbieglejszej szwaczce z miasteczka; matka, mąż, przyjaciele znajdowali ją urocą w tych oszczędnych toaletach, w których błyszczał jej dobry smak. Kopiowano jej pomysły!... Ponieważ nie miała przed oczyma żadnej miary porównania, Dina wpadła w pułapkę, jaką zastawia kobietom prowincja. Jeżeli paryżanka ma nie dość ładną linię bioder, wynalazczość jej i chęć podobania się znajdą na to jakieś heroiczne lekarstwo; jeśli ma jakąś wadę, jakiś brzydki szczegół, skazę, zdolna jest zrobić z nich swój urok; widzi się to często; ale kobieta z prowincji nigdy! Jeżeli stan ma za krótki, jeśli pulchność jej kształtów jest źle rozmieszczona, ano cóż! Godzi się z tym i wielbiciele pod grozą niełaski muszą ją przyjąć taką, jaka jest, gdy paryżanka chce zawsze, aby ją brano za to, czym nie jest. Stąd te dziwaczne figury, te bezczelne chudości, te komiczne peryferie, te linie bez wdzięku wystawiane z całą naiwnością, do których całe miasto przyzwyczaiało się, a które zdumiewają, skoro kobieta z prowincji pokaże się

w Paryżu lub wobec paryżan. Dina, która miała smukłą kibić, podkreślała to przesadnie. Nie spostrzegła chwili, w której stała się śmieszna; kiedy wychudzona nudą stała się ni-
by ubranym szkieletem; przyjaciele, widząc ją co dzień, nie uważali zgoła nieznaczących
zmian w jej osobie. To zjawisko jest naturalnym następstwem prowincji. Mimo małżeń-
stwa, młoda panienska zachowuje przez jakiś czas swą urodę, miasto jest z niej dumne;
ale każdy widzi ją co dzień; w tym ciągłym obcowaniu spostrzegawczość ściera się. Jeżeli,
jak pani de La Baudraye, straci nieco swego blasku, zaledwie to ktoś zauważy. Więcej
jeszcze, wszyscy rozumieją każdą maleńką skazę, interesują się nią. Drobnie zaniedbanie
budzi zachwyt. Zresztą wszyscy tak dobrze wystudowali wzajem swoje fizjonomie, tak
je znają, że zaledwie spostrzegają te drobne usterki, a może nawet uważają je w końcu
za rodzaj pieprzyka. Kiedy Dina przestała przeobrażać swą toaletę z każdym sezonem,
uczyniła niejako ustępstwo na rzecz miejscowej filozofii. Tak samo z mową, ze sposobem
wysłowienia, z myślami, toż samo z uczuciem; umysł rdzewieje równie jak ciało, jeśli się
nie odnawia w paryskim środowisku; ale w czym życie na prowincji odbija się najbar-
dziej, to w geście, w chodzie, w ruchach, które tracą ową zwinność, jakiej Paryż używa
nieustannie. Kobieta z prowincji przyzwyczajona jest chodzić, obracać się w przestrzeni
bez przypadków, bez zderzeń; nie potrzebuje niczego wymijając; porusza się w Paryżu jak
rekrut, nie podejrzewając, aby mogły istnieć przeszkody; nie ma ich bowiem dla niej na
prowincji, gdzie ją znają, gdzie jest zawsze na swoim miejscu i gdzie wszyscy robią jej
miejsce. Kobieta traci wówczas urok niespodzianki. Wreszcie, czyście zauważyli osobliwe
oddziaływanie, jakie wywiera na człowieka wspólne życie? Mocą niezniszczalnego in-
stynktu naśladowania indywidua dążą do tego, aby się kształtować jedne podług drugich.
Bezwiednie przejmują wzajem od siebie ruchy, sposób mówienia, pozę, wyraz, fizjono-
mię. W sześć lat Dina dostroiła się do towarzystwa. Przejmując myśli pana de Clagny,
przejęła ton jego głosu; widując samych mężczyzn, naśladowała, sama nie wiedząc o tym,
zachowanie męskie; mniemała iż, żartując sobie z nich, ubezpieczy się od wszystkich ich
śmiesznościami; ale, jak zdarza się wielu kpiarzom, coś z tych drwin przyłgnęło do niej
samej. Paryżanka ma zbyt wiele przykładów dobrego smaku, aby to zjawisko było u niej
możliwe. I tak, paryżanki czekają pory i chwili, aby uwydatnić swoje zalety; gdy pani de
la Baudraye, przyzwyczajona wypełniać scenę sobą, nabrała czegoś teatralnego i władcze-
go, gestu wchodzącej na scenę primadonny, z którego w Paryżu rychło by ją wyleczyły
drwiące spojrzenia. Kiedy zgromadziła swój kapitał śmiesznościami i kiedy omamiona przez
zachwyconych wielbicieli sądziła, iż nabyła nowych uroków, przyszła na nią chwila strasz-
liwego przebudzenia, które było ni-
by spadająca z góry lawina. W 1882, po wyjeździe pana
de Chargeboeuf, egzystencją Diny wstrząsnęło drobne, a zarazem wielkie wydarzenie:
zapowiedziała się baronowa Anna de Fontaine. Po śmierci ojca mąż Anny, który został
generalnym dyrektorem w ministerium finansów, spożytkował urlop, aby zawieść żonę
do Włoch w czasie żałoby. Anna zapragnęła zatrzymać się dzień w Sancerre u przyja-
ciółki z dzieciństwa. To widzenie miało w sobie coś posępnego. Anna, w pensjonacie
Chamarolles o wiele mniej piękna od Diny, wydawała się jako baronowa de Fontaine
tysiąc razy piękniejsza od baronowej de La Baudraye, mimo zmęczenia i podróznego
stroju. Wysiadła z przesłizanej podróźnej karety obładowanej pudłami pachnącymi Pa-
ryżem: miała z sobą pannę służącą, której elegancja przeraziła Dinę. Wszystkie różnice,
jakie dzielą paryżankę od mieszkanki prowincji, zajaśniały inteligentnym oczom Diny;
ujrzała się wówczas taką, jaką wydała się przyjaciółce, która znalazła ją nie do poznania.
Anna wydawała sześć tysięcy franków rocznie na siebie: tyle, ile kosztował cały dom pana
de La Baudraye. W ciągu doby przyjaciółki wymieniły niejedno zwierzenie; paryżanka,
czując swą wyższość nad feniksem pensjonatu Chamarolles, okazała przyjaciółce z pro-
wincji dobroć i względy, tłumacząc jej pewne rzeczy, które zadały Dinie tym głębsze rany:
prowincjałka poznała bowiem, iż przewagi paryżanki są czysto powierzchowne, podczas
gdy jej wyższość miała zostać na zawsze zagrzebana.

Po wyjeździe Anny, pani de La Baudraye, wówczas licząca dwadzieścia dwa lata, po-
padła w rozpacz bez granic.

— Co pani? — rzekł pan de Clagny, widząc ją tak przybitą.

— Anna — rzekła — uczyła się żyć, gdy ja uczyłam się cierpieć.

W istocie, w małżeństwie pani de La Baudraye rozgrywała się tragikomedie będąca
w harmonii z jej walkami finansowymi, z jej przeobrażeniami. Obok księdza Duret, je-

dy nie pan de Clagny świadomy był tego epizodu, odkąd Dina przez beczynność, przez próżność może, zdradziła mu sekret swej bezimiennej sławy.

Mimo iż połączenie wierszy i prozy jest w literaturze francuskiej czymś potwornym, istnieją wszakże wyjątki od tego prawidła. Pozwolimy sobie w tym opowiadaniu pogwałcić je na chwilę; aby bowiem odsłonić tajemne walki, które mogą Dinę wytłumaczyć, jeżeli nie rozgrzeszyć, trzeba nam zanalizować pewien poemat, owoc jej głębokiej rozpaczy.

Przywiedziona do granic cierpliwości i rezygnacji wyjazdem wicehrabiego de Chargeboeuf, Dina poszła za radą poczciwego księdza Duret, który poddał jej, aby przeobraziła swoje złe myśli w poezję; recepta, która może tłumaczy niektórych poetów.

— Będzie z tobą, moje dziecko, jak z tymi, którzy układają nagrobki lub elegie na śmierć drogiej istoty: boleść uśmierza się w sercu w miarę, jak aleksandryny kipią w głowie.

Ten osobliwy poemat wstrząsnął departamenty Allier, Nièvre i Cher, szczęśliwe z posiadania poety zdolnego mierzyć się z paryskimi znakomitościami. *Pakita z Sewilli* przez *Jana Diaz* ukazała się w *Echu*, chudym tygodniku, który półtora roku walczył z prowincjonalną obojętnością. Paru odczytanych ludzi w Nevers twierdziło, iż Jan Diaz chciał sobie zadzwic z młodej szkoły, która płodziła wówczas swoje ekscentryczne poezje pełne ognia i obrazów, i osiągała w nich wielkie efekty, gwałcąc muzę pod pozorem niemieckich, angielskich i romańskich fantazji. Poemat zaczynał się od tej pieśni:

Znaszli Hiszpanów kraj,
Miłości cudny raj?
Upalne dnie, wieczory chłodne,
Usta całunków wiecznie głodne,
Płomienne oko, czarna brew
Andaluzyjskich dziew.

Inny tam mieszka lud,
Nieznany im nasz chłód;
Tam od wieczora do poranka
Pod oknem dyszy pieśń kochanka,
Szturmuje do rozkosznych twierdz
Kobiecych ciepłych serc...

W ponurym zaułku wyblakłym dziewczętom,
Pakita pieśń swoją zawodzi,
W tym Rouen, tak smętnym żalobą przeklętą,
Co z dymów północy się rodzi;
W tym Rouen, tak czarnym i szpetnym, i wrogim...

Wspaniały opis Rouen, gdzie Dina nigdy nie była, skreślony z ową podrabianą brutalnością, która podyktowała później tyle poezji juvenalowskich, przeciwstawiał egzystencję przemysłowych miast leniwemu życiu Hiszpanii, miłość nieba i piękności ludzkiej kultuwi machin, słowem poezję spekulacji. I Jan Diaz malował wstręt Pakity do Normandii, mówiąc:

Niebo Sewilli błękitne, przejrzyste,
Kolebką było Pakicie;
W trzynastu leciech jej oko strzeliste
Śmierć niosło wokół i życie;
Toreadorów trzech legło z jej winy,
Zwycięstwa bowiem zapłatą
Był całus z ustek przesłodkiej dziewczyny,
Któż życia nie dałby za to?...

Kliska portretu młodej Hiszpanki służyła później tylu kurtyzanom w tylu rzekomych poematach, iż zbyt cennym byłoby przepisywać tu setkę wierszy, z jakich się składa. Ale,

aby dać ocenić śmiałości, na jakie pozwoliła sobie Dina, wystarczy przytoczyć zakończenie. Wedle płomiennej pani de La Baudraye, Pakita była tak bardzo stworzona do miłości, iż z trudnością mogła spotkać kawalerów godnych siebie; albowiem:

... w całunków pożarze
Najtęższych opadła już siła,
Kiedy Pakita w rozkoszy pucharze
Zaledwie usta zmoczyła...

Mimo to, opuściła radosną Sewillę, jej lasy i lany pomarańczowe dla normandzkiego żołnierza, który ją rozkochał i zabrał w swoje strony. Nie żałowała Andaluzji; ten żołnierz był jej całym szczęściem; — ale jednego dnia trzeba mu było pociągnąć do Rosji za wielkim cesarzem.

Nic delikatniejszego, niż obraz pożegnania Hiszpanki z normandzkim kapitanem artylerii, który w szale namiętności oddanej z uczuciem godnym Byrona żądał od Pakity ślubu bezwzględnej wierności w katedrze roueńskiej, przy ołtarzu Matki Boskiej, która, mimo iż dziewczica:

Jest kobietą i nigdy temu nie przebacza
Kto złamie przysięgę miłości...

Znaczna część poematu poświęcona była obrazowi cierpienia Pakity żyjącej samotnie w Rouen w oczekiwaniu końca kampanii; wiała się za kratami okien, widząc przechadzające się radosne pary, dławiała miłość w sercu z energią, która ją pożerała, żyła narkotykami, spalała się w marzeniach!

Omali nie umarła, ale pozostała wierna i kiedy żołnierz powrócił po roku, zastał swą piękność godną całej jego tklivości. Ale on, wyblakły i zmrożony do szpiku lodami chłodnej Rosji, smutno przyjął stęsknioną kochankę...

Cały poemat był poczęty dla tej sytuacji wyzyskanej z werwą, ze śmiałością, która aż nadto może potwierdziła pogląd księdza Duret. Pakita, poznając granice, w których kończy się miłość, nie rzuciła się jak Heloiza i Julia w nieskończoność, w sferę ideału; nie, skierowała się — rzecz może okrutnie naturalna — na drogę grzechu, ale bez żadnej wielkości, dla braku odpowiednich czynników: trudno znaleźć w Rouen ludzi dość namiętnych, aby im przyszło na myśl pomieścić taką Pakitę w godnym jej środowisku wytworności i zbytku. Ta okropna rzeczywistość, podniesiona jakąś posępną poezją, poddyktowała kilka stron z rodzaju, którego nadużywa może nieco współczesna sztuka, dość podobnych do owych studiów anatomicznych malarzy przedstawiających ciało bez skóry; po czym pełnym filozofii zwrotem poeta, odmalowawszy ohydny dom, w którym Andaluzyjka kończyła swoje dni, wracał do początkowego śpiewu:

Pakita dzisiaj, zmarszczona, zgrzybiała,
Tak sobie czasem nuci:

Znaszli Hiszpanów kraj,
Miłości, etc.

Dzika energia zawarta w tym kilkusetwierszowym poemacie, która, jeżeli wolno zaopżyczyć tego słowa z malarstwa, służyła za silny *repoussoir* dwom *seguidillom* podobnym do tej, która zaczyna i kończy utwór, męski wyraz niewymownego cierpienia przeraziły kobietę, którą trzy departamenty podziwiała pod czarnym frakiem anonimu. Sycąc się upajającymi rozkoszami powodzenia, Dina lękała się złośliwości prowincji, gdzie niejedna kobieta w razie niedyskrecji chciałaby się doszukiwać związków między autorką a Pakitą. Następnie przyszło zastanowienie; Dina zadrzała ze wstydu na myśl, iż obnażyła pewne bolesne struny duszy.

— Nie pisz już nic, dziecko — rzekł ksiądz Duret — nie byłabyś kobietą, stałabyś się literatką.

Kobieta, Literat

Szukano Jana Diaz w Moulins, w Nevers, w Bourges, ale Dina była nie do przeniknięcia. Aby nie zostawić złego pojęcia o sobie, w razie gdyby nieszczęsny przypadek odsłonił jej imię, stworzyła uroczy poemat w dwóch pieśniach na temat *Mszy pod dębem*, wedle następującej miejscowej tradycji: Jednego dnia mieszkańcy Nevers i Saint-Saulge, będąc ze sobą w wojnie, wyszli o świcie, aby wydać sobie wzajem śmiertelną bitwę i spotkali się w lesie w Haye. Pomiędzy zbrojnymi hufcami podniósł się spod dębu ksiądz, którego postawa w promieniach wschodzącego słońca miała coś tak uderzającego, iż obie strony, powolne jego rozkazom, wysłuchały mszy, którą odprawił pod dębem, i na głos Ewangelii pojednały się. Pokazują jeszcze ów dąb w lesie Haye. Poemat ten, nieskończenie wyższy od *Pakity z Sewilli*, miał o wiele mniej powodzenia. Od tej podwójnej próby, pani de La Baudraye, czując się poetką, miewała na czole, w oczach, niespodziane błyski, które uczyniły ją piękniejszą niż wprzód. Zwraçała oczy na Paryż, wdychała do sławy i osuwała się w swoją norę w La Baudraye, w codzienne sprzeczki z mężem, w swoje kółko, w którym charakter, intencje, odezwaniami były zbyt znane, aby mogły na dłużej nie znudzić. Jeżeli Dina szukała w pracach literackich oderwania od swoich nieszczęść; jeżeli w pustce jej życia poezja znalazła wielki oddźwięk, jeżeli zaprzętnęła jej siły, z drugiej strony znów literatura kazała jej tym bardziej zniechęcić szarą i ciężką atmosferę prowincji.

Kiedy po rewolucji 1830 sława George Sand zabłysła nad Berry, okoliczne grody pozazdrościły miastu La Châtre przywileju, iż wydało rywalkę pani de Staël, Kamila Maupin¹⁰, i były skłonne uczcić najmniejsze talenty kobiece. Toteż ujrano wówczas we Francji wiele „dziesiątych muz”, młodych dziewcząt lub młodych kobiet wyrwanych ze spokojnego życia pozorami sławy. Głoszono wówczas osobliwe teorie co do roli kobiety w społeczeństwie. Zdrowy rozsądek, który stanowi grunt duszy francuskiej, nie zatonął zupełnie; pozwalano wszakże kobietom wyrażać myśli, głosić uczucia, do których nie byłyby się przyznały parę lat przedtem. Pan de Clagny skorzystał z tej chwili swobody, aby zebrać dzieła Jana Diaz w małym tomiku in 18-o, który odbito u Desroziars’a w Moulin. Nakreślił o tym młodym pisarzu, wydartym tak przedwcześnie literaturze, notatkę dowcipną dla tych, którzy znali słowo zagadki, ale niebędącą już wówczas w literaturze czymś zupełnie nowym. Tego rodzaju żarty, doskonałe, jeżeli incognito jest ściśle zachowane, stają się nieco martwe, kiedy później autor da się poznać. Ale pod tym względem notatka o Janie Diaz, synu jeńca hiszpańskiego, urodzonym około 1807 w Bourges, ma wielkie widoki oszukania kiedyś fabrykantów *Biografii powszechnych*. Niczego tam nie brak, ani nazwisk profesorów kolegium, ani imion współuczniów zmarłego poety, jak Lousteau, Bianchon i innych sławnych synów Berry, którzy jakoby pamiętają go marzycielskim, melancholijnym, zdradzającym wczesny dar poezji. Elegia zatytułowana: *Smutek*, napisana w kolegium, dwa poematy: *Pakita z Sewilli* i *Msza pod dębem*, trzy sonety, opis katedry w Bourges i domu Jakuba Coeur, wreszcie nowela zatytułowana *Karola*, podana jako dzieło, przy którym zaskoczyła go śmierć, tworzyły puściznę literacką zmarłego, którego ostatnie chwile, pełne nędzy i rozpacz, musiały wzruszyć serca tkliwych istot w Nievre, Bourbonnais, Cher i Morvan, gdzie wyzionął ducha, w pobliżu Château-Chinon, nieznanym wszystkim, nawet tej, którą kochał!... Żółty tomik odbito w 200 egzemplarzach, z których sprzedano 150, mniej więcej po 50 na departament. Ta *przeciętna* tkliwych i poetycznych dusz w trzech departamentach Francji może ostudzić entuzjazm autorów co do *furia francese*, która w naszej epoce o wiele bardziej zwraca się ku interesom niż ku książkom. Pan de Clagny — podpisał bowiem tę notatkę — rozdał nieco egzemplarzy znajomym, Dina zachowała ich kilka, wraz z recenzjami dzienników. Dwadzieścia egzemplarzy posłanych do pism paryskich utonęło w otchłaniach redakcji. Natan, „wzięty na kawał”, zarówno jak wielu berryjczyków, uczył artykułem wielkiego człowieka, przyznając mu wszystkie przymioty, jakie chętnie przyznaje się nieboszczykom. Lousteau, ostrzeżony przez kolegów szkolnych, którzy nie przypominali sobie Jana Diaz, odczekał wiadomości z Sancerre i dowiedział się, iż Jan Diaz był pseudonimem kobiety. Okręg Sancerre zapłonął kultem dla pani de La Baudraye, w której chciano widzieć przyszłą rywalkę George Sand. Od Sancerre do Bourges wychwalano, wynoszono pod niebiosy

¹⁰Kamil Maupin — pseudonim panny des Touches, jednej z postaci cyklu *Komedii ludzkiej* Balzaka (*Stracone zbudzenia* etc.). [przypis tłumacza]

poemat, który w innym czasie spotkałby się z pewnością z potępieniem. Publiczność prowincjonalna, jak każda może publiczność francuska, mało smakuje w namiętności króla Francuzów, *złotym środkiem*: wynosi pod chmury albo zanurza w błocie.

W tej epoce poczywy stary ksiądz Duret, doradca pani de La Baudraye, umarł; inaczej byłby ją pewno wstrzymał od wstąpienia na drogę rozgłosu. Ale trzy lata pracy i incognita ciążyły sercu Diny, która zgiełkiem sławy zastąpiła wszystkie zawiedzione ambicje. Poezja i marzenia o sławie, które od spotkania z Anną Grossetête uspiły jej bóle, nie wystarczały już po r. 1830 pragnieniom tego chorego serca. Ksiądz Duret, który mówił o względach świata wówczas gdy, głos religii był bezsilny, ksiądz Duret, który rozumiał Dinę, który jej malował piękną przyszłość, mówiąc, iż Bóg nagrodzi wszystkie szlachetnie dźwigane cierpienia, ten miły starzec nie mógł już stanąć między groźącym niebezpieczeństwem a piękną penitentką, którą nazywał swą córką. Stary i mądry ksiądz silił się niejedną raz oświecić Dinę co do charakteru pana de La Baudraye, mówiąc, że ten człowiek umie nienawidzić; ale kobiety niełatwo są skłonne przyznać siłę istotom słabym, nienawiść zaś jest zbyt wyteżoną czynnością, aby mogła nie być żywą siłą. Znajdując męża głęboko obojętnym w miłości, Dina nie wierzyła u niego w zdolność nienawiści. „Nie mieszaj nienawiści i zemsty — mówił ksiądz — to dwa bardzo różne uczucia: jedno jest odwetem ludzi małych, drugie prawem, któremu są posłuszne wielkie dusze. Bóg mści się, a nie nienawidzi. Nienawiść jest przywarą ciasnych dusz, karmią ją wszystkimi swymi małostkami, czynią z niej płaszczyk dla niskich instynktów tyranii. Toteż strzeż się zranić pana de La Baudraye; przebaczyłby ci błąd, bo znalazłby w nim korzyść, ale byłby spokojnie nieubłagany, gdybyś dotknęła punktu, w który go tak okrutnie ugodził pan Milaud z Nevers; wówczas życie stałoby ci się niemożliwe”.

Owóż w chwili, gdy całe trzy departamenty z przyległościami pyszniły się panią de La Baudraye i sławiły ją pod imieniem Jana Diaz, mały de La Baudraye odczuł tę sławę jako śmiertelne pchnięcie. On jeden znał sekret poematu *Pakita z Sewilli*. Kiedy rozprawiano o tym wściekłym utworze, wszyscy mówili o Dinie: „Biedna kobieta! Biedna kobieta!”. Kobiety były szczęśliwe, że mogą ubolewać nad tą, która ich tak przygniatała; nigdy Dina nie wydała się większa niż wówczas oczom okolicy. Starowina, bardziej żółty, pomarszczony, wątlejszy niż kiedykolwiek, nie okazał nic; ale Dina podchwyciła niekiedy skierowane na siebie jadownicze chłodne spojrzenia, które przeczyły zdwojonej uprzejmości i słodyczy. Odgadła w końcu to, co brała zrazu za zwykłe kwasy małżeńskie; ale kiedy próbowała się porozumieć ze swoim owadem, jak go nazywał pan Gravier, uczuła chłód, twardość, niewzruszoność stali; uniosła się, rzuciła mu w twarz swoje życie od jedenastu lat; zrobiła z rozmysłem to, co kobiety nazywają *sceną*; ale mały La Baudraye wytrwał nieruchomo na fotelu z zamkniętymi oczyma, słuchając z niezmałym spokojem. Dina zrozumiała, iż źle uczyniła pisząc: przyrzekła sobie nie popełnić już nigdy ani wiersza i dotrzymała słowa. Toteż w całym Sancerre i okolicy zapanowała rozpacz. „Czemu pani de La Baudraye nie składa już wierszy (*wirszy*)?” — wykrzyknik ten obiegał wszędzie. W tej epoce pani de La Baudraye nie miała nieprzyjaciółek, tłoczono się do niej, nie minął tydzień bez jakiejś nowej prezentacji. Żona prezydenta trybunału, dostojna mieszcza, urodzona Popinot-Chandier, poleciła swemu synowi, młodemu dwudziestodwuletniemu dryblasowi, aby uczęszczał pilnie do La Baudraye, i czuła się zaszczyconą, widząc swego Kajcia w łaskach u tej niepospolitej kobiety. Słowo *niepospolita* kobieta zastąpiło pocieszny przydomek *Safony z Saint-Satur*. Prezydentowa, która przez dziewięć lat kierowała opozycją przeciw Dinie, czuła się tak szczęśliwa z łask swego syna, iż rozpływała się w pochwałach nad muzą z Sancerre. „Ostatecznie — wykrzyknęła, odpowiadając na tyradę pani de Clagny, która nienawidziła śmiertelnie rzekomej kochanki męża — to najładniejsza i najbardziej utalentowana kobieta w całej okolicy”. Dla Diny, która poraniła się o tyle cierni, która rzucała się w tyle rozmaitych dróg, marzyła o miłości w całym jej blasku, wdychała do najczarniejszych, najbardziej dramatycznych cierpień, znajdując, że ich posępne rozkosze nabyte są dość tanio, ta straszna monotonia życia była zbyt nużąca; jakoż jednego dnia omal nie wpadła w wilczy dół, którego poprzysięgła sobie uniknąć. Widząc, iż pan de Clagny wciąż poświęca wszystko dla niej i że świeżo odrzucił stanowisko generalnego prokuratora w Paryżu, dokąd wzywała go rodzina, rzekła sobie: „Kocha mnie!”, przezwyciężyła odrazę i czuła się niemal skłonna nagrodzić tyle stałości. Temu to odruchowi wspańałości u Diny zawdzięczało Sancerre koalicję, jaka

przyświecała wyborom na rzecz pana de Clagny. Pani de La Baudraye postanowiła w marzeniach swoich podążyć do Paryża za posłem z Sancerre. Ale mimo solennych obietnic, sto pięćdziesiąt głosów przyrzeczonych wielbicielowi pięknej Diny, która chciała tego obrońcę wdów i sierot przystróić purpurą wielkiego pieczętarza, zmieniły się w *impunującą mniejszość* pięćdziesięciu głosów. Zazdrość prezydenta Boirouge, nienawiść pana Gravier, wierzącego w przewagę prokuratora w sercu Diny, stały się bronią w ręku młodego podprefekta, którego za ten czyn sfery rządzące zamianowały prefektem. „Nigdy się nie pocieszę — rzekł do jednego z przyjaciół, opuszczając Sancerre — iż nie mogłem pozyskać łask pani de La Baudraye, tryumf mój byłby zupełny...” To życie wewnętrznie tak burzliwe ujawniało się na zewnątrz jako spokojne stadło, jako dwoje istot źle dobranych, ale zrezygnowanych, zarazem jako coś uregulowanego, przyzwoitego; słowem, kłamstwo, którego żąda społeczeństwo, ale które było dla Diny niby nieznośny pancierz. Czemu chciała porzucić maskę, którą nosiła od dwudziestu lat? Skąd to znużenie, skoro każdy dzień pomnażał nadzieje wdowieństwa? Jeżeli czytelnik śledził wszystkie fazy tej egzystencji, zrozumie rozmaite deceptcje, którym Dina, jak wiele kobiet zresztą, dawała się ponieść. Od chęci owładnięcia panem de La Baudraye przeszła do nadziei zostania matką. Między sprzeczkami małżeńskimi a smutną świadomością własnego losu upłynął cały okres. Następnie, kiedy chciała się pocieszyć, pocieszyciel, pan de Chargeboeuf, wyjechał. Porywu, pokus, z których rodzą się błędy większości kobiet, nie spotkała dotąd. Jeżeli zdarzają się ostatecznie kobiety, które biegną prosto do upadku, czyż nie ma wielu takich, które czepiają się różnych nadziei i które dochodzą do katastrofy, dopiero nabłądziwszy się długo w labiryncie tajemnych nieszczęść? Taką była Dina. Była tak mało usposobiona do sprzeniewierzenia się obowiązkom, iż sympatia jej do pana de Clagny nie wystarczyła, aby mu przebaczyć jego niepowodzenie. Instalacja w zamku Anzy, rozmieszczenie kolekcji osobliwości, które zyskały nową wartość we wspanialej i obszernej ramie, jaką Filibert de Lorme przygotował jak gdyby umyślnie dla tego muzeum, zajęły panią de La Baudraye na kilka miesięcy i pozwoliły jej obmyślić jedno z tych postanowień, które przejmują zdumieniem publiczność nieświadomą pobudek, ale odgadującą je często mocą omawiań i dociekań.

Rozgłos Stefana Lousteau, który dla swoich stosunków z aktorkami uchodził za zdobywcę kobiet, uderzył panią de La Baudraye; zapragnęła go poznać, przeczytała jego utwory i zapaliła się doń, nie tyle może dla talentu, ile właśnie dla owego powodzenia u kobiet. Aby go ściągnąć do rodzinnego grodu, wmówiła miastu Sancerre rzekomo spoczywający na nim obowiązek wybrania w najbliższej kadencji jednej z dwu sław w nim zrodzonych. Kajetanowi Boirouge, który się powiadał krewniakiem Bianchona przez Popinotów, poleciła, aby napisał do znakomitego lekarza; następnie wpłynęła na starego przyjaciela nieboszczki pani Lousteau, aby rozbudził ambicje felietonisty, zdradzając mu intencje, z jakimi nosi się grupa osób w Sancerre. Znużona miernotą otoczenia, pani de La Baudraye miała wreszcie ujrzeć ludzi naprawdę wyższych, mogłaby uświetnić swój błąd całym blaskiem sławy. Ani Lousteau, ani Bianchon nie odpowiedzieli; może czekali wakacji. Bianchon, który w zeszłym roku otrzymał po świetnym konkursie katedrę, nie mógł porzucić wykładów.

We wrześniu, w pełni winobrania, dwaj paryżanie przybyli do rodzinnej ziemi i zastali ją pogrążoną w zatrudnieniach gospodarskich; nie było tedy żadnych manifestacji opinii publicznej na ich korzyść. „*Robimy klapę*” — rzekł Lousteau do krajana, posługując się językiem kulis.

W roku 1836 Lousteau, znużony szesnastoma latami walk w Paryżu, zużyty zarówno uciechami jak nędzą, pracą i zawodami życiowymi, wyglądał na czterdzieści osiem lat, mimo że miał tylko trzydzieści siedem. Już łysy, przybrał pozy bajronowskie w harmonii z jego przedwczesną ruiną, z bruzdami wyłobionymi na twarzy przez nadużycie szampańskiego wina. Piętno swojej rozpusty składał na karb literackiego życia, na karb morderczej prasy; aby dodać ceny swemu wyczerpaniu, dawał do zrozumienia, iż dziennik pożera wielkie talenty. Uważał za potrzebne przesadzić jeszcze w rodzinnym mieście i swoją fałszywą wzgardę życia, i swoją udaną mizantropię. Mimo to niekiedy oczy jego rzucały jeszcze płomienie jak te wulkany, które uważa się za wygasłe; starał się zresztą nadrobić wykwintem stroju niedostatki młodości, które mogły mu szkodzić w oczach kobiet.

Horacy Bianchon, zdobny Legią Honorową, gruby i tłusty, jak przystało wziętemu lekarzowi, miał patriarchalne wejście, długie włosy, czoło sklepienie, bary pracownika i spokój myśliciele. Ta dość mało poetyczna fizjonomia uwydatniała doskonale wdzięk jego lekkiego towarzysza.

Obie znakomitości pozostały nieznanne przez cały ranek w gospodzie, dokąd zajęchały; pan de Clagny dowiedział się o ich przybyciu jedynie przypadkiem. Pani de La Baudraye w rozpacz posłała Kajetana Boirouge, który nie miał winnicy, aby zaprosił paryżan na kilka dni do zamku Anzy. Od roku Dina odgrywała rolę kasztelanki, jedynie zimę spędzała w La Baudraye. Pan Gravier, prokurator, prezydent i Kajetan Boirouge wydali na cześć dwóch sławnych ludzi bankiet, w którym wzięły udział najbardziej literackie osobistości miasta. Dowiedziawszy się, że piękna pani de La Baudraye jest Janem Diaz, paryżanie pozwolili się zawieźć na trzy dni do zamku Anzy w tarantasie, którym Kajetan sam powoził. Ten młody człowiek, pełen złudzeń, przedstawił paryżanom panią de La Baudraye nie tylko jako najpiękniejszą kobietę w okolicy, jako kobietę wyższą i zdolną przejąć niepokojem George Sand, ale nadto jako kobietę, która wywarłaby w Paryżu najgłębsze wrażenie. Toteż doktor Bianchon oraz ironiczny felietonista doznali fatalnego, mimo iż stłumionego rozczarowania, kiedy spostrzegli na balkonie kasztelankę w sukni z lekkiego czarnego kaszmiru, dość obcisłej, krojem amazonki bez ogona; odgadli bowiem olbrzymie pretensje w tej nadmiernej prostocie. Dina nosiła czarny aksamitny beret *à la* Rafael, spod którego włosy jej wymykały się w dużych puklach. Kostium ten uwydatniał dość zręczną kibić, ładne oczy, ładne powieki, zmęczone udręczeniami życia. Niezwykłość tego *artystycznego* stroju pokrywała romantyczne przesady kobiety wyższej. Widząc mizdrzenie nazbyt uprzejmej gospodyni, które było poniekąd mizdrzeniem duszy i myśli, przyjaciele wymienili znaczące spojrzenia. Z miną niezmiernie poważną wysłuchali pani de La Baudraye, która zwróciła się do nich z zawczasu obmyśloną alokucją, dziękując, iż przybyli, aby przerwać jednostajność jej życia. Dina oprowadziła gości dokoła trawnika strojnego koszami kwiatów i biegnącego wzdłuż fasady zamkowej.

— W jaki sposób — spytał filut Lousteau — kobieta tak piękna i tak niepospolita mogła się zagrzebać na prowincji? Co pani robi, aby się obronić temu życiu?

— Ha, ha! — rzekła kasztelanka. — Nie ma sposobu się obronić. Głęboka rozpacz albo tępa rezygnacja, albo jedno i drugie, nie ma wyboru: oto grunt, na którym wspiera się nasza egzystencja i gdzie zatrzymuje się niby stojąca woda tysięcy myśli, które, nie użyżniając terenu, żywią wół zwiędłe kwiaty pustkowie naszych dusz. Nie wierz pan w obojętność. Obojętność wyrosła z rozpacz lub rezygnacji! Kobieta poświęca się wówczas temu, co wedle jej usposobienia stanowi dla niej względną przyjemność. Jedne rzucają się w konfitury i w „wielkie pranie”, w gospodarkę domową, w sielskie przyjemności zbiorów i winobrania, w przechowywanie owoców, w haft, w troski macierzyństwa, w małomiasteczkowe intrygi. Inne mordują odwieczny klawicymbał, który po siedmiu latach brzmi jak kocioł żelazny i kończy swoje dni na astmę w zamku Anzy. Parę dewotek dysputuje o rozmaitych gatunkach słowa bożego: porównuje się księdza Fritaud z księdzem Guinard. Grywa się w karty wieczór, tańczy się dwanaście lat z tymi samymi osobami, w tych samych salonach, w tych samych epokach. To piękne życie przeplatają uroczyste przechadzki po Mail, ceremonialne wizyty między kobietami, które wypytyują się wzajem, gdzie która kupuje materie na suknie. Na południe inteligencji rozmowę ograniczają obserwacje intryg ukrytych na dnie stojącej wody prowincjonalnego życia; na północ zapowiadające się małżeństwa; na zachód zazdrości; na wschód uszczypliwie słówka. Toteż widzicie rezultat? — rzekła, pozując się — kobieta ma zmarszczki w dwudziestym dziewiątym roku, na dziesięć lat przed czasem zakreślonym przepisami doktora Bianchon; traci cerę również bardzo szybko i żółknie jak cytryna, o ile przeznaczonym jej jest żółknąć, znamy takie, które zielenieją. Kiedy dochodzimy do tego punktu, chcemy usprawiedliwić nasz stan normalny. Atakujemy wtedy ząbkami wyostrzonymi jak u wiewiórki straszliwe namiętności Paryża. Mamy tutaj purytanki mimo woli, które rwą w strzępy koronki zalotności i kłają poezję waszych paryskich piękności; które szarpną cudze szczęście, zachwalając swoje orzechy i zjeżdżała słoninę, wychwalając swoje pułapki na myszy, szare kolory i klasztorne zapachy naszego sancerskiego życia.

— Podoba mi się ta rezolucja — rzekł Bianchon. — Kiedy się jest skazaną na takie niedole, trzeba mieć ten spryt, aby je przekształcić na cnoty.

Zdumiony świetnym manewrem, za pomocą którego Dina wydawała prowincję na łup swoim gościom i uprzedzała w ten sposób ich sarkazmy, młody Boirouge trącił łokciem Stefana Lousteau ze spojrzeniem i uśmiechem, które mówiły: „I cóż? Czym was oszukał?”.

— Ależ pani — rzekł Lousteau — przekonywa nas pani, że jesteśmy jeszcze w Paryżu, ukradnę pani ten kawałek, przyniesie mi dziesięć franków w jakim felietonie.

— Och! Drogi panie — odparła — niech się pan strzeże kobiet z prowincji!

— Czemu? — rzekł Lousteau.

Pani de La Baudraye wpadła na chytrą, dosyć niewinną zresztą, aby dwom paryżanom, między którymi chciała wybrać zwycięzcę, pokazać pułapkę, w którą wybraniec się pochwyty, w rozumieniu, iż z chwilą, gdy się przestanie mieć na baczości, przewaga będzie po jej stronie.

— Żartuje się z nich za przybyciem, później, kiedy się straciło wspomnienie paryskiego blasku, widząc kobietę z prowincji w jej ramie, zaczyna się zalecać do niej, choćby tylko dla zabicia czasu. Pan, człowiek, którego miłość uczyniła sławnym, będziesz przedmiotem względów, pochlebstw... Strzeż się pan! — wykrzyknęła Dina, czyniąc zalotny gest i wznosząc się przez te sarkastyczne refleksje ponad śmieszność prowincji i ironię dziennikarza. — Kiedy biedna prowincjonalna trusia zapłonie do niepospolitego człowieka, paryżanina zabląkanego na partykularzu, robi z tej namiętności coś więcej niż uczucie, znajduje w niej wypełnienie życia i przywiązuje się bez powrotu. Nie ma nic niebezpieczniejszego niż przywiązanie kobiety z prowincji; porównywa, studiuje, zastanawia się, marzy, nie rozstaje się ze swym marzeniem, myśli o przedmiocie swej miłości, gdy on nie myśli o niej. Otóż jedną z fatalności ciążyących nad kobietą z prowincji są owe gwałtowne wyładowania namiętności, jakie widzi się zwłaszcza w Anglii. Na prowincji życie oparte na indiańskiej iście obserwacji zmusza kobietę posuwać się prosto po swojej kolei albo też wyskoczyć z niej nagle, niby machina parowa, gdy napotka przeszkodę. Podjazdowe walki miłości, kokieterie, które stanowią połowę istoty paryżanki — nic podobnego nie istnieje tutaj.

— To prawda — rzekł Lousteau — w sercu kobiety z prowincji spotyka się *niespodzianki* jak w niektórych zabawkach.

— Och, mój Boże — odparła Dina — kobieta rozmawiała z mężczyzną trzy razy w ciągu zimy, tuliła go w sercu bez swej wiedzy; niech się zdarzy jakaś wycieczka, spacer i — stało się! Zachowanie to, dziwaczne dla ludzi nieumiejących obserwować, jest czymś bardzo naturalnym. Zamiast potępiać kobietę z prowincji, uznając ją za rozpustnicę, poeta jak pan albo też filozof, obserwator jak doktor Bianchon umieliby odgadnąć cudowne nienapisane poezje, słowem, wszystkie stronicie tego pięknego romansu, z którego zakończenia korzysta jakiś szczęśliwy podporucznik, jakiś wielki człowiek z zaścianka.

— Kobiety z prowincji, które widywałem w Paryżu — rzekł Lousteau — były w istocie dosyć obcesowe...

— Ba! Ciekawe są — rzekła kasztelanka, podkreślając to słowo lekkim ściągnięciem ramion.

— Podobne są do tych amatorów, którzy chodzą na drugie przedstawienia pewni, że sztuka nie padnie — odparł dziennikarz.

— Jakaż zatem przyczyna tych utrapień? — spytał Bianchon.

— Paryż to owo monstrum, które stanowi naszą zgryzotę — odparła *wyższa kobieta*. — Choroba ma siedem mil obwodu i gnębi kraj. Prowincja nie istnieje własnym życiem. Tam jedynie, gdzie naród podzielony jest na pięćdziesiąt małych państweczek, każdy może mieć swoją fizjonomię; kobieta odbija wówczas blask sfery, w której króluje. Ten objaw społeczny spotyka się, jak mi mówiono, we Włoszech, w Szwajcarii i w Niemczech; ale we Francji, jak we wszystkich krajach o jednej stolicy, obniżenie powszechnego tonu będzie nieuchronnym następstwem centralizacji.

— Obyczaje wedle pani posiadłyby nerw i oryginalność jedynie przez federację stanów francuskich, tworzących jedno państwo — rzekł Lousteau.

— To by nie było może pożądaną, Francja musiałaby zdobyć zbyt wiele kraju — rzekł Bianchon.

— Anglia nie zna tego nieszczęścia — wykrzyknęła Dina. — Londyn nie wywierają tam tyranii, którą Paryż ciąży na Francji i na którą rasowy instynkt francuski zdola

w końcu znaleźć lekarstwo; ma ona natomiast coś okropniejszego jeszcze w swojej strasznej obłudzie, która jest stokroć gorszą zmorą!

— Arystokracja angielska — rzekł dziennikarz, który przewidział *kuplet* bajroniczny i pospieszył go uprzędzić — ma nad naszą ten przywilej, że wchłania w siebie wszystkie szczyty, żyje w swoich wspaniałych parkach, zjeżdża do Londynu *jedynie na dwa miesiące*, ni mniej ni więcej; żyje na prowincji, tam kwitnie i jej pozwala kwitnąć.

— Tak — rzekła pani de La Baudraye — Londyn jest stolicą sklepów i spekulacji, tam robi się rząd. Arystokracja spotyka się tam jedynie na sześćdziesiąt dni, wymienia hasła, rzuca okiem do kuchni rządowej, odbywa przegląd córek na wydaniu i pojazdów na sprzedaż, mówi sobie dzień dobry i zabiera się rychło z powrotem: jest tak mało zabawna, iż nie znosi sama siebie dłużej niż przez tych kilka dni zwanych *sezonem*.

— Toteż w „przewrotnym Albionie” *Constitutionnela* — wykrzyknął Lousteau, chcąc konceptem powściągnąć ten potok słów — zdarza się spotkać czarujące kobiety we wszystkich okolicach królestwa.

— Ale też te angielskie „czarujące kobiety”! — odparła pani de La Baudraye z uśmiechem. — Pozwolą panowie, że ich przedstawię mojej matce — rzekła, widząc zbliżającą się panią Piédefer.

Dopełniwszy prezentacji dwóch lwów szkieletowi roszczącemu sobie pretensje do miana kobiety, a zwanemu panią Piédefer — wielkie, suche ciało, twarz popryszczona, zęby podejrżane, malowane włosy — Dina zostawiła paryżanom na jakiś czas swobodę.

— I cóż — spytał Kajetan dziennikarza — co pan myśli?

— Myślę, że najgenialniejsza kobieta Sancerre jest po prostu najgadatliwszą — odparł Lousteau.

— Kobieta, która chce pana zrobić posłem...! — wykrzyknął Kajcio — istny anioł!...

— Przepraszam, zapomniałem, że pan się w niej kocha — odparł Lousteau. Wybacz cynizm takiego starego ladaco jak ja. Niech pan spyta Bianchona, ja nie mam już iluzji, mówię rzeczy, jak są. Ta kobieta z pewnością wysuszyła matkę jak kuropatwę wystawioną na zbyt silny ogień...

Młody Boirouge znalazł sposobność, aby powtórzyć pani de La Baudraye złośliwość felietonisty. Przy obiedzie, który był obfity, jeżeli nie wystawny, kasztelanka starała się mówić mało: wstrzeźliwość ta zdradziła niedyskrecję Kajcia. Stefan silił się odzyskać łaski, ale wszystkie uprzejmości Diny zwróciły się do Bianchona. Jednakże w ciągu wieczora baronowa stała się znów uprzejma dla dziennikarza. Czyście nie zauważyli, ile wielkich podłości popełnia się dla małych rzeczy? Toteż ta szlachetna Dina, która nie chciała zniżyć się do kompromisu z głupstwem, która wiodła w prowincjonalnej dziurze straszliwe życie walk, zdławionych buntów, nieznaney nikomu poezji, która, aby się oddalić od Stefana, wdrapała się na najbardziej wyniosłą i urwistą skałę wzgardy i nie byłaby z niej zstąpiła, widząc tego fałszywego Byrona żebrzącego u jej stóp przebaczenia, osunęła się nagle z tej wysokości, myśląc o swoim albumie. Pani de La Baudraye popadła w manię autografów: posiadała podłużny tom, który tym bardziej zasługiwał na swą nazwę album, ile że dwie trzecie kartek były białe. Baronowa de Fontaine, której go posłała na trzy miesiące, uzyskała z wielkim trudem jeden wiersz Rossiniego, sześć taktów Meyerbeera, cztery wiersze, które Wiktor Hugo wpisuje we wszystkich albumach, strofę Lamartina, żarcik Bérangera, *Calypso nie mogła się pocieszyć po odjeździe Ulissa*, napisane ręką George Sand, słynne wiersze o parasolu Scribe’a, zdanie Karola Nodier, linię widnokregu Juliusza Dupré, podpis Dawida d’Angers, trzy nuty Hektora Berlioz. Pan de Clagny zebrał w czasie pobytu w Paryżu piosenkę Lacenaire’a (bardzo poszukiwany autograf), dwa wiersze Fieschiego i nadzwyczaj krótki list Napoleona, wszystkie trzy naklejone na welin albumu. Pan Gravier w czasie jakiejś podróży zdobył podpisy wielkości teatralnych: pań Mars, Georges, Taglioni i Grisi, oraz Fryderyka Lemaître, Monrose’a, Bouffégo, Rubiniego, Lablache’a, Nourita i Arnala; znał bowiem kółko starych kawalerów *zasiedziały*, jak się wyrażali, *w seraju*, którzy postarali mu się o te zdobycze. Ten początek kolekcji był dla Diny tym szacowniejszy, ile że ona jedna na przestrzeni dziesięciu mil posiadała album. Od dwóch lat wiele młodych osób postaralo się o albumy, w których przyjaciele i znajomi wpisywali zdania mniej lub więcej pocieszne. O wy, którzy trawicie życie na zbieraniu autografów, ludzie szczęśliwi i pierwotni, Holendrzy zakochani w tulipanach, wytłumaczycie Dinę, kiedy, obawiając się, iż nie zdoła zatrzymać gości dłużej niż dwa

dni, poprosiła Bianchona, aby wzbogacił jej skarb, wpisując kilka wierszy w album, które mu podała.

Lekarz przyprawił o śmiech Stefana, pokazując mu na pierwszej stronie tę myśl:

Co czyni lud tak niebezpiecznym, to poczucie, iż posiada w kieszeni rozgrzeszenie na wszystkie swoje zbrodnie.

J. B. de Clagny.

— Poprzyjmy tego człowieka dość odważnego, aby bronić sprawy monarchii — rzekł Stefanowi do ucha uczoney elew Despleina. I Bianchon napisał pod spodem:

To, co różni Napoleona od woziwody, istnieje jedynie dla Społeczeństwa, niczym jest dla Natury. Toteż demokracja, buntując się przeciw nierówności stanów, odwołuje się bez przerwy do Natury.

H. Bianchon.

— Oto bogacze — wykrzyknęła Dina zdumiona — wydobywają z kieszeni sztukę złota, jak biedni wyciągają grosz... Nie wiem — rzekła, zwracając się do Stefana — czy to nie będzie nadużyciem praw gościnności, poprosić pana o kilka strof...

— Och, pani, za wiele zaszczytu!... Bianchon jest wielkim człowiekiem, ale ja jestem zbyt mało znany!... Za dwadzieścia lat nazwisko moje będzie trudniejsze do wytłumaczenia niż nazwisko pana prokuratora, którego myśl wpisana w pani albumie zdradzi niezawodnie jakiegoś nieznanego Monteskiusza. Zresztą trzeba by mi co najmniej całej doby, aby zaimprovizować jakąś bardzo gorzką medytację; umiem malować jedynie to, co czuję...

— Chciałabym, aby pan poprosił o dwa tygodnie — rzekła uprzejmie pani de La Baudraye, podając album — miałabym pana dłużej.

Nazajutrz o piątej rano goście zamku Anzy byli na nogach; mały de La Baudraye narządził dla paryżan polowanie; nie tyle dla ich przyjemności, ile przez próżność właściciela: rad był oprowadzić ich po swoich lasach i pokazać im tysiąc dwieście hektarów łąk, które zamierzał uprawić. Przedsięwzięcie to wymagało jakich stu tysięcy franków, ale mogło podnieść dochód Anzy z trzydziestu na sześćdziesiąt tysięcy.

— Czy pan wie, czemu prokurator nie chciał z nami iść na polowanie? — rzekł młody Boirouge do pana Gravier.

— Przecież mówił, ma dziś rozprawę — odparł poborca.

— I pan w to wierzy? — odparł Kajcio. — Otóż papa powiedział mi dzisiaj: „Nierychło doczekacie się dziś pana Lebas, pan de Clagny prosił, aby go zastąpił w trybunale”.

— Och, och! — rzekł Gravier, którego fizjonomia zmieniła się — A pan de La Baudraye dziś właśnie miał jechać do Bourges!

— Ale czemuż pan się miesza do tego? — rzekł Horacy Bianchon do Kajetana.

— Horacy ma słuszość — rzekł Lousteau. — Nie rozumiem, po co się tak zajmujecie jedni drugimi, *traciecie czas na niczym*.

Horacy Bianchon spojrział na Stefana Lousteau, jak gdyby chcąc mu powiedzieć, że złośliwości felietonowe, dziennikarskie koncepty spłyną w Sancerre niezrozumiane. Skoro doszli do gąszczy, pan Gravier pozwolił dwóm sławnym ludziom i Kajetanowi zapuścić się weń pod opieką leśnego.

— Zaczekajmy na *filanca* — rzekł Bianchon, skoro myśliwi znaleźli się na polanie.

— He, he, jeżeli pan jesteś wielkim człowiekiem w medycynie — odparł Kajcio — jesteś za to głębokim ignorantem co do życia prowincji. Czekać na pana Gravier?... ależ on pędzi jak zając mimo swego pulchnego brzuszka; jest teraz o dwadzieścia minut od Anzy... — Kajcio dobył zegarka. — Brawo, przybędzie na czas.

— Gdzie?...

— Do zamku na śniadanie — odparł Kajcio. — Czy myślicie, że byłbym spokojny, gdyby pani de La Baudraye została sama z panem de Clagny? Teraz jest ich dwóch, będą się pilnowali, Dina będzie pod dobrą strażą.

— Ho, ho! Zatem pani de La Baudraye jeszcze namyśla się z wyborem? — rzekł Lousteau.

— Mama tak przypuszcza; co do mnie, boję się, czy pan de Clagny nie otumaniał w końcu pani de La Baudraye. Jeżeli zdołał jej ukazać w swoim mandacie jakieś perspektywy na tekę ministra, wówczas jego krecia skóra, jego straszliwe ślepie, rozczapirzone kudły, głos ochryplego drabanta, chudość pokątnego poety, łatwo mogą się zmienić w uroki Adonisa. Jeżeli Dina ujrzy w panu de Clagny generalnego prokuratora, może się w nim dopatrzeć ładnego chłopca. Wymowa ma wielkie przywileje. Zresztą pani de La Baudraye jest ambitna, Sancerre obrzydło jej, marzy o wielkościach paryskich.

— Ale cóż pan ma w tym za interes — rzekł Lousteau — jeżeli kocha prokuratora... Aha! Przypuszczasz, młodzieńcze, że go nie będzie kochała długo, i masz nadzieję zostać jego następcą...

— Wy, panowie — rzekł Kajetan — spotykacie w Paryżu tyle rozmaitych kobiet, ile jest dni w roku. Ale w Sancerre, gdzie nie ma ich ani sześciu i gdzie z tych sześciu pięć ma dzikie pretensje do cnoty, skoro najpiękniejsza z nich trzyma człowieka swymi wzgardliwymi spojrzzeniami na taki dystans, jakby była księżniczką krwi, wolno jest młodemu człowiekowi starać się odgadnąć sekrety tej kobiety, wówczas będzie zmuszona się z nim liczyć.

— To się nazywa tutaj *liczyć się* — rzekł, uśmiechając się, dziennikarz.

— Przypuszczam u pani de La Baudraye zbyt wiele dobrego smaku, alby uwierzyć, iż może się interesować tą małą — rzekł Horacy Bianchon.

— Horacy — rzekł dziennikarz — słuchaj, uczony tłumaczu natury ludzkiej, zastawmy pułapkę panu prokuratorowi: oddamy przysługę naszemu przyjacielowi Kajciowi i uśmiejemy się. Nie lubię prokuratorów.

— Masz słuszne przeczucie swego losu — rzekł Horacy. — Ale co masz na myśli?

— Ot, opowiedzmy po obiedzie parę historyjek o kobietach przydybanych przez mężów, zabitych, zamordowanych wśród straszliwych okoliczności. Zobaczymy, jaką minę zrobią pani de La Baudraye i pan de Clagny.

— Niezła myśl — rzekł Bianchon — niepodobna, aby jedno z nich nie zdradziło się jakim gestem lub słowem.

— Znam — rzekł Lousteau, zwracając się do Kajetana — pewnego redaktora, który, aby uniknąć smutnego losu, zamieszcza w swoim dzienniku same historie, w których kochankowie są spaleni, posiekani, utłuczani w mózdzierzu, poćwiartowani; kobiety ugotowane, upieczone, usmażone. Znosi następnie żonie te straszne historie w nadziei, iż będzie mu wierna ze strachu; jako skromny mąż zadawała się tą deską ratunku. „Widzisz, kochanie, dokąd prowadzi najłżejszy błąd!” mówi, parafrazując Arnolfa ze *Szkoły żon*.

— Pani de La Baudraye jest zupełnie niewinna, młodzieńcowi w oczach się dwoi — rzekł Bianchon. — Stara Piédefer wydaje mi się nadto nabożna, aby zapraszać do Anzy kochanka córki. Pani de La Baudraye musiałaby oszukać matkę, męża, pokojówkę swoją i pokojówkę matki; to za wiele pracy, stanowczo.

— Znajdziemy przecież jakąś jedną, dwie historyjki zdolne przyprawić Dinę o drżenie — rzekł Lousteau. — Młody człowieku i ty, Bianchon, proszę was o zachowanie poważnej miny, okażcie się dyplomatami, swobodnie, bez afektacji, śledźcie, niby nie zwracając uwagi, oblicze dwojga występnych, rozumiecie?... spod oka albo w lustrze, ukradkiem. Rano będziemy polować na zającą, wieczór na prokuratora.

Wieczór zaczął się tryumfalnie dla Stefana, który oddał kasztelance album zawierający tę elegię:

Spleen

Wierszy ode mnie, zgubionego w tłumie,
W tym świecie, który nie zna, nie rozumie
Serca, co serca pożąda;
Który nie spełnił żadnego z mych marzeń,
I gdzie me oko, syte tęsknych wrażeń,
Zło jeno samo ogląda!...

Tym kartom, które myśl twa wdziękiem stroi,
Odblask mej duszy smętnej nie przystoi,
Stojącej u zwątpień progu;
Kobiecie trzeba mówić o miłości,
O balach świetnych, o szczęściu, radości,
A nawet nieco o Bogu...

Czyż nie szyderstwem trudnym do pojęcia
Rzec do mnie, zwątpień i bólów dziecięcia:
„Nakreśl nam szczęścia obrazy!”
Czyliż ślepcowi się o słońca błysku
Mówi, sierocie o matki uścisku,
Łamiąc im serce sto razy!

Gdy zimna rozpacz duszę żre od młodu,
Gdy dzień nie minie jeden bez zawodu,
Tam przyszłość wszelka zamiera;
Jeśli nikt z tobą lży bratniej nie roni,
Nikt serca nie da ni pomocnej dłoni,
Tam grób się czarny otwiera.

Żałuj mnie, pani... często, ach, samemu
Bogu śmiem bluźnić, pytając go, czemu
Obszedł się ze mną tak srogo?
Gdyby chciał, mógłbym radosny, stęskniony
Świat cały objąć drżącymi ramiony —
A nie mam nic i nikomu...

Stefan Lousteau

Wrzesień 1836, w zamku Anzy

— I pan ułożył te wiersze od wczoraj?... — wykrzyknął prokurator niedowierzająco.
— Och, mój Boże, tak, w czasie polowania, ale też znać to aż nadto! Byłbym pragnął
sklecić dla pani coś lepszego.

— Wiersze są prześliczne — rzekła Dina, wznosząc oczy ku niebu.

— To wyraz uczuć, na nieszczęście zbyt prawdziwych — odparł Lousteau z wyrazem
głębokiego smutku.

Każdy domyśla się, iż dziennikarz przechowywał te wiersze w pamięci co najmniej
od dziesięciu lat, natchnęła mu je bowiem za Restauracji trudność wybicia się. Pani de
La Baudraye spojrzała na Stefana ze współczuciem, jakie budzą niedole geniuszu, a pan
de Clagny, który podchwycił to spojrzenie, uczył w sercu nienawiść do tego fałszywego
*Chorego młodziana*¹¹. Zasiadł do trikotaka z proboszczem. Młody Boirouge nadzwyczaj
skwapliwie przyniósł graczom lampę, tak iż pełne światło padało na panią de La Bau-
draye, która wzięła robótkę; ubierała koszyk na papiery wiórami z łożyny. Trzej spiskowcy
ugrupowali się dokoła.

— Dla kogo ten ładny koszyczek? — rzekł dziennikarz. — Na jakąś loterię dobro-
czynną?

— Nie — odparła — dobroczynność przy dźwiękach trąb wydaje mi się zbyt *afekto-
wana*.

— Jest pan bardzo niedyskretny — rzekł pan Gravier.

— Czy jest w tym niedyskrecja — rzekł Lousteau — spytać, kto będzie szczęśliwym
śmiertelnikiem, któremu przypadnie koszyk pani?

¹¹ *Chory młodzian* — Tytuł elegii Andrzeja Chenier. [przypis tłumacza]

— Nie ma żadnego szczęśliwego śmiertelnika — odparła Dina — po prostu dla męża.

Prokurator popatrzył smętnie na panią de La Baudraye i koszyk, jak gdyby mówiąc sobie w duchu: „No i przepadł mój kosz na papiery!”.

— Jak to, nie chce pani, abyśmy go mienili szczęśliwym, iż posiada ładną żonę, która robi dlań tak ładne rzeczy na tym prześliznym koszyczku? Jeżeli się kiedy ożenię, chciałbym, aby po dwunastu latach małżeństwa koszyczki, które będzie haftowała moja żona były dla mnie.

— Czemuż nie miałyby być dla pana? — rzekła pani de La Baudraye, podnosząc na Stefana piękne, szare oczy pełne zalotności.

— Paryżanie nie wierzą w nic — rzekł prokurator z goryczą. — Cnotę kobiet zwłaszcza podają w wątpliwość z bezprzykładną śmiałością. Tak, od pewnego czasu książki, jakie drukujecie, panowie pisarze, wasze rewie, wasze sztuki teatralne, cała wasza bezpieczna literatura wspiera się na cudzołóstwie...

— Ej, panie prokuratorze — odparł, śmiejąc się, Stefan — ja panu pozwalam grać spokojnie, nie zaczepiam pana i oto pan wyrusza przeciw mnie z aktem oskarżenia. Słowo dziennikarza, nagryzmoliłem więcej niż sto artykułów przeciw autorom, których pan wspomina; ale przyznaję, że, jeśli ich napadałem, to aby powiedzieć coś, co by było podobne do krytyki. Bądźmy sprawiedliwi: jeżeli ich pan skąże, trzeba skazać Homera i jego *Iliadę*, która kręci się koło pięknej Heleny; trzeba skazać *Raj utracony* Milтона: Ewa i wąż wydają mi się wcale ładnym symbolicznym cudzołóstewkiem; trzeba usunąć *Psalmy Dawida* natchnione nielegalnymi amorami tego hebrajskiego Ludwika XIV; trzeba rzucić w ogień *Mitrydata*, *Świętoszka*, *Szkołę żon*, *Fedre*, *Andromakę*, *Wesele Figara*, *Piekło* Dantego, *Sonety* Pertrarki, całego Jana Jakuba Rousseau, średniowieczne romanse, historię francuską, rzymską, etc. etc. Nie sądzę, aby poza Bossuetem i *Prowincjalkami* Pascala, pozostało dużo książek, jeżeli pan chce wykluczyć te, w których jest mowa o kobietach miłowanych na przekór prawu.

— Ładne nieszczęście! — rzekł pan de Clagny.

Stefan, podrażniony profesorskim tonem pana de Clagny, umyślił doprowadzić go do furii za pomocą jednej z owych zimnych mistyfikacji, które polegają na tym, aby bronić mniemań, o które się nie stoi, w tym celu, aby przywieść do wściekłości nieboraka dysputującego w dobrej wierze: finta godna dziennikarza.

— Biorąc rzecz z punktu politycznego, na którym zmuszony pan jest stanąć — ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na wykrzyk — przywdziewając w każdej epoce togę generalnego prokuratora, ponieważ wszystkie rządy mają swego publicznego obrońcę, trzeba przyznać, iż religia katolicka skażona jest w swoim źródle ostrą nielegalnością małżeńską. W oczach króla Heroda, w oczach Piłata, który bronił rządu rzymskiego, żona Józefa mogła się wydawać cudzołożną, ponieważ wedle własnego jej zeznania Józef nie był ojcem Chrystusa. Sędzia pogański nie przyjmował niepokalanego poczęcia, tak samo jak pan nie przyjąłbyś podobnego cudu, gdyby jakaś religia objawiła się dziś, opierając się na tego rodzaju tajemnicy. Czy sądzi pan, że trybunał policji poprawczej uznałby nową interwencję Ducha Świętego? Owóż, kto może powiedzieć, że Bóg nie przyjdzie odkupić jeszcze raz ludzkości? Czy jest dziś lepsza niż za Tyberiusza?

— Pański wywód jest świętokradztwem — rzekł prokurator.

— Zgoda — odparł dziennikarz — ale bez żadnej złej intencji. Nie może pan usunąć faktów historycznych. Wedle mnie Piłat skazujący Jezusa Chrystusa, Anytus, organ arystokratycznego stronnictwa ateńskiego, żądający śmierci Sokratesa, przedstawiają społeczeństwa ustalone, przekonane o swej prawomocności, wyposażone legalną władzą, zmuszone się bronić. Piłat i Anytus byli wówczas równie logiczni jak dzisiejszy prokurator domagający się głowy sierżantów z Rochelle lub ci, którzy dziś strącają głowy republikanów uzbrojonych przeciw tronowi lipcowemu, oraz nowatorów skorych do burzenia na swą korzyść społeczeństwa pod pozorem lepszego ich zorganizowania. W obliczu wielkich rodzin Aten i cesarstwa rzymskiego Sokrates i Jezus byli zbrodniarzami; dla tych starych arystokracji poglądy ich podobne były do teorii naszej Rewolucji; wyobraź pan sobie, że ich sekty osiągnęłyby tryumf, byłyby urządziły mały roczek 93 w państwie rzymskim lub w Attyce!

— Do czego pan prowadzi? — rzekł prokurator.

— Do cudzołóstwa! Tak więc, drogi panie, buddysta pałacy swoją fajkę może doskonale powiedzieć, że religia chrześcijan wspiera się na cudzołóstwie, jak my jesteśmy przekonani, że Mahomet jest szalbierzem, że jego Koran jest plagiatem Biblii i Ewangelii i że Bóg nie miał nigdy najmniejszej intencji robić z tego poganiacza wielbłądów swego proroka.

— Gdyby było we Francji wielu ludzi takich jak pan, a jest ich, na nieszczęście, za dużo, wszelki rząd byłby niemożliwy.

— I nie byłoby religii — rzekła pani Piédefefer, której twarz krzywiła się podczas tej dyskusji rozpaczliwie.

— Robisz im straszną przykrość — rzekł Bianchon do ucha Stefana — nie mów o religii, gadasz rzeczy, od których włosy powstają im na głowie.

— Gdybym był publicystą lub romansopisarzem — rzekł pan Gravier — wziąłbym stronę nieszczęśliwych mężów. Ja, który widziałem wiele, i to rzeczy dość osobliwych, wiem, że w liczbie oszukanych mężów znajdują się i tacy, którym nie brak jest siły, duszy i którzy w krytycznej chwili są bardzo dramatyczni, aby posłużyć się pańskim wyrażeniem — rzekł, spoglądając na Stefana.

— Ma pan słusność, drogi panie Gravier — rzekł Lousteau — nigdy oszukanych mężów nie uważałem za śmiesznych, przeciwnie, kocham ich...

— Czy mąż nie wydaje się wam istnym bohaterem ufności? — rzekł Bianchon — wierzy w swą żonę, nie podejrzewa jej, ma ślepą wiarę fanatyka. Jeżeli ma tę słabość, że zaufa żonie, drwicie sobie zeń; jeżeli jest podejrzliwy i zazdrosny, nienawidzicie go: powiedzcież mi, jaka jest pośrednia droga dla przyzwoitego człowieka?

— Gdyby pan prokurator nie oświadczył się tak otwarcie przeciw niemoralności historyjek, w których pogwałcona jest konstytucja małżeńska, opowiedziałbym państwu zemstę pewnego męża — rzekł Lousteau.

Pan de Clagny rzucił konwulsyjnym ruchem kości, nie patrząc już na dziennikarza.

— Jak to! Ależ opowiadanie pana Lousteau... — wykrzyknęła pani de La Baudraye — zaledwie śmiałybym prosić...

— Nie moje, pani; nie mam na tyle talentu; słyszałem je — i w jak uroczej szacie! — z ust jednego z naszych najślawniejszych pisarzy, największego muzyka słowa, jakiego posiadamy, Karola Nodier.

— Więc dobrze, prosimy — rzekła Dina — nie słyszałam nigdy pana Nodier, nie potrzebuje się pan obawiać porównań.

— Niedługo po osiemnastym brumaire — rzekł Lousteau — wiadomo państwu, że wybuchło powstanie w Bretanii i Wandei. Pierwszy konsul, żądny uspokojenia Francji, nawiązał rokowania z wodzami powstańców i podjął energiczne kroki wojskowe; ale kombinując plany wojenne ze sztuczkami swej włoskiej dyplomacji, wprowadził równocześnie w ruch machiaweliczne sprężyny policji, wówczas powierzonej Fouchému. Wypadki okazały, iż ostrożności te, mające na celu stłumienie wojny rozpalonej na zachodzie, nie były wcale przesadzone. W owym to czasie młody człowiek spokrewniony z rodziną Maillé przybył z ramienia Szuanów z Bretanii do Saumur, aby stworzyć styczność między pewnymi osobistościami z miasta i okolicy a wodzami rojalistycznego powstania. Uprzedzona o tej podróży policja wysłała agentów z poleceniem chwycenia młodego emisariusza, skoro zjawi się w Saumur. W istocie przytrzymało go w dniu, w którym wylądował; przybył na statku w przebraniu flisaka. Ale jako obrotny człowiek obliczył wszystkie szanse przedsięwzięcia; paszport, papiery miał w takim porządku, iż ludzie wysłani, aby go pochwytać, zaczęli się lękać, iż padli ofiarą pomyłki. Kawaler de Beauvoir, przypominam sobie teraz jego nazwisko, dobrze przemyślał rolę; powołał się na swą rodzinę, przytoczył fałszywe miejsce zamieszkania i wytrzymał tak śmiało śledztwo, iż wypuszczono by go pewnie, gdyby nie ślepa wiara, jaką szpiegi miały w swoje instrukcje, nieszczęściem zbyt dokładne. W tej wątpliwości siepacze woleli raczej dopuścić się samowoli, niż dać się wymknąć człowiekowi, do którego ujęcia minister przywiązywał tak wielką wagę. W owych czasach wolności organa władzy narodowej bardzo mało troszczyły się o to, co dziś nazywamy *legalnością*. Uwięziono tedy kawalera tymczasowo, aż wyższe władze postanowią bliżej o jego losie. Decyzja nadeszła niebawem. Policja nakazała strzec bardzo pilnie więźnia mimo jego zaprzeczeń. Kawalera de Beauvoir przeniesiono w myśl nowych rozkazów do zamku *Escarpe*: nazwa dostatecznie maluje jego położenie. Forteca ta, usadowiona na

bardzo wysokiej skale, zamiast fos ma przepaści: ze wszystkich stron prowadzą do niej strome i niebezpieczne urwiska. Jak we wszystkich dawnych zamkach brama posiada most zwodzony i obwarowana jest szerokim rowem. Komendant więzienia, rad, iż ma za jeńca dystyngowanego człowieka o nader dwornych manierach, który wysławia się wykwiłtnie i zdradza wyższy polor — przymiot rzadki w owej epoce — przywitał kawalera jako dobrodziejstwo Opatrzności; zaproponował mu, aby pozostał w niewoli na słowo i aby wspólnie dopomagał mu walczyć przeciw nudom. Jeniec przyjął skwapliwie propozycję. Beauvoir był to prawy szlachcic, ale na nieszczęście był także bardzo ładnym chłopcem. Miał miłą fizjonomię, oko śmiałe, wymowę pełną wdzięku oraz zadziwiającą siłę. Zręczny, dobrze zbudowany, zamiłowany w niebezpieczeństwie, byłby doskonałym wodzem partyzantki, potrzeba właśnie takich! Komendant dał więźniowi najwygodniejszy apartament, ofiarował mu swój stół i zrazu nie mógł się odchwalić Wandejczyka. Komendant był to Korsykanin i człowiek żonaty; żona jego, ładna i ponętna, zdawała mu się może skarbem nieco trudnym do upilnowania; słowem, był zazdrosny: rzecz naturalna u Korsykanina i u wiarusa niezbyt zalecającego się powierzchownością. Beauvoir spodobał się damie, ona jemu przypadła do smaku; może pokochali się! W więzieniu miłość idzie tak szybko! Czy popełnili jaką nieostrożność? Czy ich wzajemne uczucie przekroczyło granice owej zdawkowej galanterii, która jest niemal obowiązkiem wobec kobiet? Beauvoir nigdy nie wytłumaczył się wyraźnie co do tego dość ciemnego punktu swej historii; tyle jest pewne, iż komendant uznał za właściwe zastosować wobec jeńca nadzwyczajne obostrzenia. Wtrącony do turmy Beauvoir zapoznał się z czarnym chlebem skrapianym czystą wodą oraz z kajdanami, w myśl wiekuistego programu rozrywek dla więźniów. Cela, położona pod platformą, miała sklepienie z twardego kamienia, mury rozpaczliwej grubości, wieża sterczała nad przepaścią. Skoro biedny Beauvoir poznał niemożliwość ucieczki, popadł w ten stan odrętwienia, który jest zarazem rozpaczą i pociechą więźniów. Skracał czas owymi błahostkami, które wyrastają na ważne sprawy, liczył godziny i dni, odbył naukę *smutnej profesji więźnia*, zatopił się w samym sobie i ocenił wartość powietrza i słońca; następnie, po dwóch tygodniach, popadł w straszliwą chorobę, w gorączkę wolności. Choroba ta popycha więźniów do owych wspaniałych przedsięwzięć, których zadziwiające wyniki zdają się nam niepojęte, mimo że prawdziwe, i które mój przyjaciel doktor — obrócił się w stronę Bianchona — przypisałby bez wątpienia nieznanym siłom stanowiącym rozpacz fizjologii, tajemnicom woli ludzkiej, których głębia przeraża wiedzę — Bianchon uczynił głową znak przeczący. — Beauvoir popadł w czarną melancholię, jedna tylko śmierć mogła mu wrócić wolność. Jednego ranka klucznik, mający za zadanie nosić pożywienie więźniom, miast oddalić się, postawiwszy przed jeńcem kęs lichej stawy, stał z założonymi rękami i spoglądał nań szczególnie. Zazwyczaj rozmowa ograniczała się do niewielu słów i nigdy dozorca jej nie wszczynał. Toteż niemałe było zdumienie kawalera, skoro człowiek ten rzekł co następuje: „Musi pan mieć w tym swoje przyczyny, każąc się zawsze nazywać panem Lebrun albo obywatelem Lebrun. To mnie nie obchodzi, nie moją rzeczą sprawdzać pańskie nazwisko. Czy się pan zowiesz Piotr czy Paweł, to mi obojętne. Niech każdy pilnuje swego nosa. Mimo to wiem — rzekł, mrugając okiem — że pan jesteście Karol Feliks Teodor kawaler de Beauvoir i krewniak księżnej de Maillé... He?” — dodał po chwili z wyrazem tryumfu, spoglądając na jeńca. W tym beznadziejnym położeniu Beauvoir nie uważał, aby pozycję jego mogło pogorszyć wyznanie prawdziwego nazwiska. „No więc cóż? A gdybym i był kawalerem de Beauvoir, cóż by ci z tego przyszło?”. „O, bardzo dużo — odparł klucznik ścisłym głosem — Niech pan posłucha. Dostałem pieniądze, aby panu ułatwić ucieczkę; ale baczność! Gdyby powzięto najłżejsze podejrzenie, rozstrzelano by mnie aż ha! Przrzekłem tedy, że umoczę palce w tej sprawie akurat tyle, aby uczciwie zarobić parę groszy. Ot, masz pan, oto klucz — rzekł, wyjmując z kieszeni małą piłkę — Tym może pan przepiłować kratę. Ba! To nie będzie zbyt wygodnie”, dodał, ukazując ciasny otwór przepuszczający nieco światła. Framuga tego okienka znajdowała się nad gzymsem, który wieńczył na zewnątrz basztę, między owymi wielkimi wystającymi kamieniami, na których wspierają się zęby blanków. „Ale — rzekł dozorca — trzeba piłować żelazo dość blisko, aby pan się mógł przecisnąć”. „Och, bądź spokojny, przecisnę się”, rzekł więzień. „A dość daleko, aby pan miał do czego przywiązać sznur”, odparł klucznik. „Gdzież jest?”, spytał Beauvoir. „Tu — odparł dozorca, rzucając mu zawężony sznur. — Skręcono go z bielizny, aby można było mniemać, że to pan sam go

sporządził; jest dostatecznie długi. Kiedy pan będzie przy ostatnim węźle, puść się swobodnie na dół; reszta, to już pańska rzecz. Prawdopodobnie znajdziesz gdzieś w pobliżu powóz i konie, i przyjaciół czekających na pana. Ale ja nie wiem o tym nic! Nie potrzebuję pana uprzedzać, że jest straż u stóp turmy. Musi pan wybrać noc porządnie ciemną i upatrzeć moment, kiedy żołnierz na posterunku usnie. Naraża się pan może na kulkę, ale...”. „Dobrze już, dobrze! Nie będę gnił tutaj”, wykrzyknął kawaler. „Phi! Mogłoby być i tak”, odparł dozorca głupkowato. Beauvoir wziął to ot, za bezmyślne porzekadło, właściwe tego rodzaju ludziom. Nadzieja, że niebawem może być wolny, natchnęła go taką radością, iż nie w głowie mu było rozważać gadaninę tego człowieka, ledwie że cośkolwiek oskrobanego prostaka. Natychmiast zabrał się do roboty i w ciągu dnia zdołał przepiłować kraty. W obawie odwiedzin komendanta ukrył swą pracę, zatykając szczeliny ośrodkiem chleba zarobionego z rdzą, aby mu nadać kolor żelaza. Ukrył też sznur i zaczął wypatrywać sprzyjającej nocy z ową skupioną niecierpliwością i głębokim wzruszeniem, które dają tyle dramatyczności życiu więźniów. Wreszcie w mglistą jesienną noc przepiłował kratę do reszty, przywiązał mocno sznur, przykucnął zewnątrz na kamieniu, czepiając się ręką ułamek żelaza. Następnie doczekał najciemniejszego momentu nocy i godziny, o której straż zwykle zasypia. Zazwyczaj bywa to nad ranem. Znał czas trwania warty, porę rontów, wszystkie te rzeczy, którymi zajmują się więźniowie, nawet mimowiednie. Czekał chwili, gdy żołnierz będzie w drugiej połowie swojej warty i gdy schowa się w budkę z przyczyny mgły. Pewien, iż skupił wszystkie pomyslane szanse ucieczki, zaczął wówczas spuszczać się węzeł po węźle, zawieszony między niebem a ziemią, trzymając sznur z siłą olbrzymia. Wszystko szło dobrze. Przy przedostatnim węźle, w chwili gdy miał się puścić na ziemię, spróbował przez ostrożność zmacać ją nogami i nie znalazł gruntu. Sytuacja była dosyć kłopotliwa dla człowieka całego w pocie, zmęczonego, wzruszonego, w położeniu, w którym szło o śmierć i życie. Miał się rzucić. Błaha przyczyna wstrzymała go; kapelusz spadł mu z głowy; szczęściem nastawił ucho na odgłos i nie usłyszał nic! Więzień powziął mgliste podejrzenia; pytał sam siebie, czy komendant nie zastawił mu pułapki; ale w jakim celu? Miotany tymi wątpliwościami, myślał już prawie, aby odłożyć sprawę na inną noc. Na razie postanowił czekać pierwszego brzasku, która to pora mogła być wcale niezgorsza dla ucieczki. Olbrzymia siła pozwoliła mu wspiąć się z powrotem na basztę, ale był już ledwie żywy w chwili, gdy przycupnął znowu na blanku, pełzając jak kot wzdłuż rynny. Niebawem w mdłym świetle poranka spostrzegł, potrząsając sznurem, niedużą przestrzeń, ot, jakich sto stóp między ostatnim węzłem a ostrymi skalami przepaści. „Dziękuję, komendancie”, rzekł z zimną krwią, która go cechowała. Następnie, podumawszy trochę nad tą pomyslową zemstą, uznał za właściwe wrócić do kaźni. Ułożył odzież widocznie na łóżku, zostawił sznur zewnątrz, aby można było myśleć, iż spadł w przepaść; usadowił się spokojnie za drzwiami i czekał przybycia zdradzieckiego dozorca, trzymając w ręku odpiłowaną sztabę żelazną. Dozorca, który nie omieszkiał przybyć wcześniej niż zwykle, aby zgarnąć dziedzictwo po zmarłym, otworzył drzwi pogwizdując; ale kiedy się znalazł w przyzwoitej odległości, Beauvoir wymierzył mu w głowę tak wściekły cios, że zdrajca padł jak kłoda, nie wydawszy krzyku: sztaba strzaskała mu czaszkę. Kawaler rozebrał śpiesznie trupa, wziął suknie dozorca, przybrał jego chód i wzięcie, i dzięki rannej godzinie i uśpiętej czujności straży, umknął.

Ani prokurator, ani pani de La Baudraye nie zdawali się przypuszczać, aby to opowiadanie zawierało najłżejsze prorocstwo odnoszące się do nich. Spiskowcy rzucili po sobie pytające spojrzenia, jakby zdumieni doskonałą obojętnością mniemyanych kochanków.

— Ba! Ja państwu opowiem coś lepszego — rzekł Bianchon.

— Prosimy — rzekli słuchacze na znak, jaki uczynił Lousteau, dając do zrozumienia, iż Bianchon jako narrator ma swoją reputację.

Wśród historii, które stanowiły zasób jego opowiadań — każdy bowiem człowiek bywały ma swój zapas anegdot, jak pani de La Baudraye miała swoją kolekcję frazesów — znakomity doktor wybrał powiastkę znaną pod nazwą *Grande Bretèche*¹². Opowiadanie to stało się tak popularne, że zrobiono zeń dla *Gymnase* wodewil pt. *Walentyna*. Toteż zupełnie zbytecznym byłoby powtarzać tutaj tę przygodę, mimo iż stanowiła ona

¹²*Grande Bretèche* — Opowiadanie to pomieścił Balzac w utworze pt. *Drugie studium kobiety*. [przypis tłumacza]

nowalię dla mieszkańców Anzy. Towarzyszyła jej zresztą ta sama doskonałość gestu, intonacji, która zjednała doktorowi tyle pochwał u panny des Touches, kiedy opowiadał ją po raz pierwszy. Ostatni obraz granda hiszpańskiego umierającego z głodu w szafie, gdzie zamurował go mąż pani Merret, i ostatnie słowo męża w odpowiedzi na prośbę żony: „Przysięgłaś na krucyfiks, że nie ma tam nikogo!”, wywarły swoje wrażenie. Zapanowała chwila milczenia, dość pochlebna dla Bianchona.

— Wiecie, panowie — rzekła pani de La Baudraye — że miłość musi być czymś olbrzymim, aby popchnąć kobietę do narażania się na podobne sytuacje?

— Ja, który widziałem w moim życiu rzeczy dość osobliwe, byłem w Hiszpanii niemal świadkiem przygody w tym rodzaju.

— Bierze pan lutnię po wielkich mistrzach — rzekła pani de La Baudraye, obrzucając obu paryżan słodkim spojrzeniem — ale to nic, słuchamy.

— W jakiś czas po wkroczeniu do Madrytu — rzekł poborca — wielki książę Berg zaprosił główne osobistości w mieście na festyn wydany przez armię francuską dla świeżo ujarzmionej stolicy. Mimo świetności festynu, Hiszpanie nie okazywali zbyt wielkiej wesołości, kobiety tańczyły mało, większość gości siadła do gry. Ogrody pałacu były wspaniale oświetlone, tak iż damy mogły się przechadzać bezpiecznie jak w biały dzień. Zabawa odznaczała się cesarską wspaniałością. Niczego nie oszczędzano, aby dać Hiszpanom wysokie pojęcie o cesarzu, jeżeli mieli o nim sądzić wedle jego namiestników. W gaiku dość blisko pałacu, między pierwszą a drugą rano gromadka francuskich wojskowych rozprawiała o widokach wojny i o niezbyt bezpiecznej przyszłości, jaką wróżyła postawa Hiszpanów obecnych na tej feacie. „Na honor — rzekł naczelny chirurg korpusu, w którym byłem generalnym kasjerem — wczoraj przedłożyłem księciu Murat formalną prośbę o zwolnienie. Nie iżbym się szczególnie obawiał zostawić kości w Hiszpanii, ale z dwojga złego wolę goić rany zadane przez naszych poczciwych sąsiadów Niemców; ich broń nie drąży tak głęboko w ciało jak kastylskie sztylety. Przy tym lęk przed Hiszpanią to u mnie istny przesąd. Od dzieciństwa czytywałem książki hiszpańskie, mnóstwo ponurych przygód i historii z tego kraju, które zaszczepiły mi żywy wstręt do jego obyczajów. Otóż, od czasu wkroczenia do Madrytu, zdarzyło mi się być już jeżeli nie bohaterem, to przynajmniej współnikiem jakiejś niebezpiecznej intrygi, czarnej i mglistej jak romans lady Radcliffe. Rad słucham takich przeczuć i od jutra daję nogę. Murat nie odmówi mi z pewnością; my, lekarze, dzięki usługom, jakie oddajemy, mamy zawsze jakieś skuteczne protekcje”. „Skoro dajesz nura, opowiedz nam swoją historię”, odparł pułkownik, stary republikanin, niedbający zgoła o elegancję wysłowienia i dworności cesarskiej świty. Naczelny chirurg rozejrzył się bacznie dokoła, jakby dla rozeznania twarzy, które go otaczały, i pewien, iż nie ma w pobliżu Hiszpana, rzekł: „Jesteśmy tu między swymi; chętnie tedy, pułkowniku Hulot¹³. Tydzień temu, około jedenastej wieczór wracałem spokojnie do mej kwatery, rozstawszy się dopiero co z generałem Moncornet¹⁴, którego gospoda znajdowała się o kilka kroków od mojej. Wychodziliśmy obaj z domu intendenta, gdzie braliśmy udział w dosyć ożywionej partyjce. Naraz na rogu uliczki dwaj nieznajomi lub raczej dwa diabły rzucają się na mnie, owijają mi głowę i ramiona w wielki płaszcz. Krzyczałem, możecie sobie wyobrazić, co wlaźło; ale sukno dławilo mój głos. Przeniesiono mnie z nadzwyczajną szybkością do powozu. Skoro dwaj kompani uwolnili mnie z płaszcza, usłyszałem te groźne słowa, wyrzeczone kobiecym głosem, lichą francuszczyzną: «Jeżeli krzykniesz, jeśli będziesz próbował uciekać, jeśli pozwolisz sobie na najłżejszy gest, człowiek, który siedzi naprzeciwko, gotów jest zasztyletować cię bez skrupułu. Siedź pan tedy spokojnie. A teraz, objaśnię panu przyczynę porwania. Jeżeli zadasz sobie ten trud, aby wyciągnąć rękę w moją stronę, znajdziesz tuż obok swoje chirurgiczne instrumenty, po które posłaaliśmy w twoim imieniu; będą panu potrzebne: wieziemy cię do jednego domu, iżbyś ocalił honor damy bliskiej powicia dziecka, którym bez wiedzy męża chce obdarzyć tego oto kawalera. Mimo iż mąż rzadko opuszcza tę panią, w której jest wciąż namiętnie rozkochany i której strzeże z czujnością zazdrosnego Hiszpana, potrafiła ukryć ciężę: mąż sądzi, że jest chora. Pan musisz przeprowadzić rozwiązanie. Niebezpieczeństwo nie obchodzi nas; masz być ślepo posłuszny, w przeciwnym razie kochanek, który siedzi naprzeciwko pana

¹³pułkownik Hulot — [por.] *Kuzynka Bietka*. [przypis tłumacza]

¹⁴generał Moncornet — [por.] *Chłopi*. [przypis tłumacza]

w powozie i nie rozumie ani słowa po francusku, zasztyletowałby cię przy najmniejszej nieostrożności». «A pani kto jesteś?» rzekłem, szukając ręki osoby, która mówiła do mnie, a której ramię zatulone było w rękaw uniformu. «Ja jestem pokojową pani, jej powierznicą i gotową wynagrodzić pana własną osobą, jeżeli zechcesz spełnić wszystko po naszej myśli». — «Chętnie» odparłem, widząc, iż przemocą wciągnięto mnie w niebezpieczną awanturę. Pod osłoną ciemności starałem się sprawdzić, czy twarz i kształty dziewczyny są w harmonii z pojęciami, jakie obudził we mnie dźwięk jej głosu. Poczciwa istota poddała się zapewne z góry wszystkim ewentualnościom tego osobliwego gwałtu, zachowała bowiem wyrozumiałe milczenie. Powóz nie toczył się ani dziesięciu minut po ulicach Madrytu, kiedy otrzymała i oddała mi wysoce zadowalający pocałunek. Kochanek, którego miałem naprzeciw siebie, nie obraził się o parę kopnięć nogą, jakimi uraczyłem go bardzo mimo woli; ale ponieważ nie rozumiał po francusku, przypuszczam, iż nie zwrócił na nie uwagi. «Mogę zostać pańską kochanką tylko pod jednym warunkiem», rzekła pokojowa w odpowiedzi na głupstwa, jakie plotłem, uniesiony żarem naglej namiętności wzmożonej tyłoma przeszkodami. «Jakim?» «Nie będziesz nigdy próbował dowiedzieć się, w czyjej jestem służbie. Jeśli przyjdę do pana, to w nocy, przyjmiesz mnie bez światła». «Dobrze» rzekłem. Rozmowa była w tym punkcie, kiedy powóz otarł się prawie o mur ogrodu. «Pozwól pan sobie zawiązać oczy — rzekła pokojówka — oprzesz się na mym ramieniu, sama cię zaprowadzę». Przepasała mi oczy chustką, którą związała silnie z tyłu. Usłyszałem zgrzyt klucza, którym milczący kochanek otworzył furtkę. Niebawem pokojowa o wciętej kibici i ruchach pełnych *meneho*... Jest to — rzekł poborca, przybierając tonik wyższości — słowo, które w języku hiszpańskim, a raczej jego gwarze, oznacza ruch, jaki kobiety umieją nadać pewnej okolicy swojej sukni, okolicy, której łatwo się domyślić... Pokojowa (podejmując opowiadanie naczelnego chirurga) prowadziła mnie przez wysypane piaskiem aleje, wreszcie zatrzymała się. Z pogłosu, jaki zbudziły nasze kroki, domyśliłem się, że jesteśmy pod domem. «Cisza teraz — rzekła mi do ucha — i uważaj pan dobrze na siebie! Nie trać ani na chwilę z oczu moich znaków, nie będę mogła mówić do pana bez niebezpieczeństwa dla nas obojga, a chodzi w tej chwili o to, aby panu ocalić życie». Następnie dodała, ale już głośno: «Pani jest w pokoju na parterze; aby się do niej dostać, trzeba nam będzie przejść przez pokój męża, tuż koło jego łóżka; nie kaszłaj pan, idź po cichu i trzymaj się tuż za mną, aby nie potrącić jakiego mebla lub nie stąpić nogą poza dywan, który przygotowałam». Tutaj kochanek zamruczał glucho, jakby zniecierpliwiony zwłoką. Pokojowa zmiłkła, usłyszałem, jak otwiera drzwi, poczułem ciepło pokoju; szliśmy, stąpając na palcach, niby złodzieje w czasie wyprawy. Wreszcie miękka ręka dziewczyny zdjęła mi opaskę. Znalazłem się w dużym pokoju, wysoko sklepionym i lichy oświetlonym dymiącą lampą. Okno było otwarte, ale opatrzone przez zazdrosnego męża grubą żelazną kratą. Znalazłem się tam jak w saku. Na ziemi, na macie kobieta z głową osłoniętą muślinem, poprzez który oczy jej pełne łez jarzyły się jak dwie gwiazdy, przyciskała z siłą do ust chustkę i gryzła ją tak silnie, iż zęby wbijały się na wyłot. Nie widziałem nigdy równie pięknego ciała, ale ciało to wilo się w bóleci niby struna harfy w ogniu. Nogi nieszczęśliwej wygięte były w łuk i wsparte na niskiej komódce; oburącz trzymała się poręczy, napinając ramiona, na których żyły były straszliwie wzdęte. Podobna była do zbrodniarza rozpiętego na mękach. Poza tym najmniejszego krzyku, żadnego hałasu, prócz głuchego trzeszczenia jej kości. Staliśmy tak wszyscy troje, nieruchomi i niemi. Chrapanie męża rozlegało się z pocieszającą regularnością. Chciałem się przyjrzeć pokojowej, ale włożyła z powrotem maskę, którą zdjęła zapewne w czasie drogi: nie mogłem nic dojrzeć, prócz pary czarnych oczu i powabnie zaokrąglonych kształtów. Kochanek narzucił natychmiast jakieś chustki na nogi swej pani i złożył podwójnie muślinową zasłonę na jej twarzy. Przyjrzawszy się bacznie tej kobiecie, poznałem z pewnych objawów zauważonych niegdyś w bardzo smutnej okoliczności mego życia, że dziecko nie żyje. Pochyliłem się ku dziewczynie, aby ją powiadomić o tym wydarzeniu. W tej chwili podejrzliwy nieznamy wydobyl sztylet; ale miałem czas wszystko powiedzieć pokojówce, która rzuciła mu półgłosem dwa słowa. Słyszając mój wyrok, kochanek uczył lekki dreszcz, który go wstrząsnął od stóp do głowy jak błyskawica; zdawało mi się, iż twarz jego zbladła pod czarną maską. Pokojowa uchwyciła chwilę, gdy ten człowiek spoglądał w rozpacz na umierającą, już na wpół siną i pokazała mi na stole przyrządzone szklanki z lemoniadą, dając znak przeczący. Zrozumiałem że trzeba wstrzymać się od picia, mi-

mo strasznego pragnienia, które suszyło mi gardło. Kochankowi chciało się pić; wziął próżną szklankę, napełnił lemoniadą i wypił. W tej chwili dama dostała gwałtownych konwulsji, które oznajmiły porę sposobną do operacji. Uzbroidłem się w odwagę i po godzinie pracy zdołałem wydobyć dziecko kawałkami. Hiszpan nie myślał już o tym, aby mnie otruć, zrozumiał, iż ocaliłem mu kochankę. Wielkie łzy spływały mu od czasu do czasu na płaszcz. Kobieta nie wydała ani krzyku, ale drżała jak poszczute dzikie zwierzę, pot spływał jej wielkimi kroplami. W straszliwie krytycznym momencie uczyniła gest, aby wskazać pokój męża; mąż poruszył się: z nas czworga ona jedna usłyszała szelest prześcieradeł, skrzywienie łóżka czy też szmer firanek. Zatrzymaliśmy się; poprzez dziury w maskach pokojowa i kochanek wymienili płomiennie spojrzenie, jak gdyby mówiąc oczyma: «Czy zabijemy go, jeśli się obudzi?». Wyciągnąłem wówczas rękę, aby ująć szklankę lemoniady, którą nieznajomy napoczął. Hiszpan myślał, że chcę wychylić jedną z pełnych szklanek; skoczył jak kot, położył długi puginał na zatrutych szklankach i podał mi swoją, dając znak, abym wypił resztę. Był taki natłok myśli, było tyle uczucia w tym znaku i w tym geście, iż przebaczyłem mu okrutny podstęp obmyślony w tym celu, aby mnie zabić i zagrzebać w ten sposób pamięć wydarzenia. Po dwóch godzinach zabiegów i lęku ułożyliśmy z powrotem chorą. Człowiek ten, ważąc się na tak awanturnicze przedsięwzięcie, wziął w przewidywaniu ucieczki zawinięte w papier diamenty: włożył mi je bez mej wiedzy do kieszeni. Nawiasem mówiąc, ponieważ nic nie wiedziałem o wspaniałym darze Hiszpana, służący ukradł mi ten skarb nazajutrz: uciekł, unosząc z sobą prawdziwą fortunę. Szepnąłem pokojowej parę wskazówek na przyszłość i chciałem się wynosić. Pokojowa została przy swej pani, która to okoliczność nie dodała mi zbytnio ducha; ale postanowiłem się mieć na ostrożności. Kochanek zawinął razem martwe dziecko i bieliznę, w którą pokojowa zebrała krew swej pani, ścisnął je mocno, ukrył pod płaszczem, przeciągnął mi rękę po oczach jak gdyby nakazując je zamknąć, i wyszedł pierwszy, zapraszając gestem, abym się trzymał jego poły. Usłuchałem, objąwszy wprzód ostatnim spojrzeniem moją przygodną kochankę. Pokojowa zerwała maskę, widząc, iż Hiszpan wyszedł, i ukazała mi najbardziej uroczego buziaka pod słońcem. Skorom się znalazł w ogrodzie, na powietrzu, wyznając iż odetchnąłem tak, jakby mi zdjęto olbrzymi ciężar z piersi. Szedłem w przyzwyczajonym oddaleniu za moim przewodnikiem, śledząc każdy ruch z największą bacnością. Skorośmy przybyli do furtki, wziął mnie za rękę, przytknął mi do ust pieczęć oprawną w pierścień, który widziałem u niego na palcu lewej ręki; dałem mu poznać, iż rozumiałem ten wymowny znak. Znaleźliśmy się na ulicy, gdzie czekały na nas dwa konie; wsiedliśmy każdy na swego; Hiszpan chwycił moje cugle, trzymał je w lewej ręce, ujął uzdę w zęby, ponieważ w prawej miał krwawe zawiniątko, i pomknęliśmy z szybkością błyskawicy. Niepodobna mi było zauważyć najmniejszego przedmiotu, który mógłby mi posłużyć później do rozpoznania drogi. O świcie znaleźliśmy się pod mymi drzwiami, Hiszpan zaś umknął, kierując się ku bramie Atocha. „I nie spostrzegłeś nic, co by mogło pozwolić ci się domyślać, kim była ta kobieta?” spytał pułkownik. „Tylko jedno — odparł. — Kiedym układał nieznajomą, zauważyłem na jej ramieniu, mniej więcej pośrodku, znamię wielkości soczewicy, otoczone ciemnymi włoskami”. W tej chwili niedyskretny chirurg zbladł; wszystkie oczy utkwione w jego oczach pobiegły w ślad za nimi: ujrzelśmy Hiszpana, którego spojrzenia błyszcząły w krzaku pomarańczy. Widząc, iż jest przedmiotem naszej uwagi, człowiek ten zniknął z lekkością sylfa. Któryś z oficerów puścił się żywo w pogoń. „Kroćset bomb! Koledzy — wykrzyknął chirurg — to oko bazyliuszka zmroziło mnie. Usłyszałem jęk dzwonów w uszach. Pożegnajcie się ze mną, pochowacie mnie tutaj!” „Czyś zwariował? — rzekł pułkownik Hulot. — Falcon puścił się za Hiszpanem, który nas podsłuchiwał, potrafi sobie dać z nim rady!” „I cóż?” wykrzyknęli oficerowie, widząc, iż kapitan wraca zdyszany. „Do licha! — odparł Falcon — wsiąknął, zdaje się, w mur. Ponieważ nie przypuszczam, aby był czarownikiem, musi to być z pewnością ktoś z tego domu! Zna wszystkie przejścia, zaułki, wymknął mi się z łatwością”. „Jestem zgubiony!” rzekł chirurg posępnym głosem. „No, uspokój się, Bega (nazywał się Bega) — odparłem — będziemy strażowali kolejno u ciebie aż do wyjazdu. Dziś wieczór odprowadzimy cię”. W istocie trzech młodzi oficerowie, którzy zdążyli zgrać się do nitki, odprowadzili chirurga do mieszkania, a jeden ofiarował się zostać u niego. Na trzeci dzień Bega uzyskał pozwolenie na powrót do Francji; gotował się wyjechać z pewną damą, której Murat dawał silną eskortę. Kończył obiad w towarzystwie przyjaciół, kiedy

służący oznajmił mu, iż jakaś kobieta chce z nim mówić. Chirurg i trzech oficerowie zeszli żywo, obawiając się zasadzki. Nieznajoma zdołała tylko rzec kochankowi: „Strzeż się!” i padła martwa. Była to pokojówka, która czując, że jest otruta, miała nadzieję przybyć na czas, aby ocalić chirurga. „Kroćset bomb! — wykrzyknął kapitan Falcon — to się nazywa kochać! Hiszpanka jest jedyną kobietą w świecie, która potrafi tryndolić się kawał drogi ze szklanką trucizny w brzuchu”. Bega trwał w osobliwym zamyśleniu. Aby utopić ponure przeczucia, które go dręczyły, wrócił do stołu i zaczął pić na umór, zarówno jak jego towarzysze. Wszyscy na wpół pijani położyli się wcześniej. Około północy biednego Bega obudził ostry chrzęst, jak gdyby ktoś ściągnął gwałtownie firanki. Usiadł na łóżku wstrząsany owym nieprzepartym drżeniem, jakie chwyta nas w chwili podobnego przebudzenia. Ujrzał przed sobą zawiniętego w płaszcz Hiszpana, który prażył go tym samym palącym błyskiem oczu, jaki wytrysnął z krzaka podczas festynu. Bega krzyknął: „Na pomoc! Do mnie, przyjaciele!”. Na ten krzyk rozpaczy Hiszpan odpowiedział szatańskim uśmiechem. „Opium rośnie dla wszystkich” odparł. Wygłosivszy tę sentencję, nieznajomy wskazał trzech głęboko uśpionych przyjaciół, wydobyl spod płaszcza świeżo ucięte ramię kobiece, błysnął nim chirurgowi, ukazując znamię podobne temu, które tak niebacznie był opisał: „To samo?” spytał. Przy świetle latarki postawionej na łóżku Bega poznał ramię i odpowiedział zdumionym spojrzeniem. Bez dalszych wyjaśnień mąż nieznajomej zatopił mu sztylet w sercu.

— Niech pan to opowiada — rzekł dziennikarz — ludziom bardzo nabożnym, trzeba bowiem ich nieustraszonej wiary, aby uwierzyć. Czy mógłby nas pan objaśnić, który z nich obu, nieboszczyk czy Hiszpan, opowiedział tę scenę?

— Panie — odparł poborca — pielęgnowałem biednego Bega, który umarł w pięć dni później w straszliwych cierpieniach. To nie wszystko. W czasie wyprawy podjętej, aby osadzić z powrotem na tronie Ferdynanda VII, powierzono mi pewien posterunek w Hiszpanii. Bardzo szczęśliwie zjechałem nie dalej niż do Tours, otworzyła mi się bowiem nadzieja zostania generalnym poborcą w Sancerre. W wilię wyjazdu byłem na balu u pani de Listomère, gdzie miało się znajdować wielu znamienitych Hiszpanów. Wstając od partii *écarté*, ujrzałem granda hiszpańskiego, typowego *afrancesado* na wygnaniu, bawiącego od dwóch tygodni w Turenii. Przybył bardzo późno na ten bal, gdzie pojawił się pierwszy raz w tutejszym towarzystwie, i obchodził salony wraz z żoną. Prawe ramię tej damy było zupełnie nieruchome. Rozstąpiliśmy się w milczeniu, aby przepuścić tę parę, której przyglądaliśmy się nie bez wzruszenia. Wyobraźcie sobie żywy obraz Murilla. W zapadłych i ciemnych orbitach płomienne oczy mężczyzny jarzyły się nieruchomo; twarz wysuszona, czaszka bez jednego włosa połyskiwała gorącymi tonami, ciało zaś jego mogło przypaść o przestkach, tak było chude. Kobieta! Wyobraźcie ją sobie. Nie, obraz nie byłby prawdziwy. Miała tę cudowną kibić, która zrodziła w języku hiszpańskim słowo *menebo*; mimo iż blada, była jeszcze piękna; płeć jej (przywilej rzadki u Hiszpanki) olśniewała białością; ale spojrzenie pełne hiszpańskiego słońca padało niby strumień rozpalonego ołowiu. „Pani — spytałem margrabiny pod koniec wieczoru — w jakim nieszczęśliwym wypadku straciła pani ramię?” „W wojnie o Niepodległość” odparła.

— Hiszpania to osobliwy kraj — rzekła pani de La Baudraye — zostało tam coś z obyczajów arabskich.

— Och — rzekł, śmiejąc się, dziennikarz — ta mania obcinania ręki jest tam bardzo dawna, wraca w pewnych epokach jak niektóre nasze *kaczki* w dziennikach, temat ten bowiem grasował w teatrze hiszpańskim już w roku 1570...

— Czy pan sądzi, że byłbym zdolny wymyślić to wszystko? — rzekł pan Gravier dotknięty niedbałym tonem Stefana.

— Ależ nie, bynajmniej — odparł dwuznacznie dziennikarz.

— Ba! — rzekł Bianchon — wymyślił romansopisarzy i dramaturgów przeskakują równie często z książek i sztuk w realne życie, jak wydarzenia życia realnego wstępują na teatr i rozpięrają się w książkach. Widziałem, jak w moich oczach urzeczywistniła się komedia o *Świętoszku*, z wyjątkiem rozwiązania; nigdy bowiem nie zdołano Orgonowi otworzyć oczu.

— A tragikomedia *Adolfa*, przez Benjamina Constant, rozgrywa się obecnie — wykrzyknął Lousteau.

— Czy sądzi pan, że mogłyby się zdarzyć jeszcze we Francji przygody takie jak ta, którą nam opowiedział pan Gravier? — rzekła pani de La Baudraye.

— Ech! Boże! — wykrzyknął prokurator — na *dziesięć lub dwanaście jaskrawych zbrodni które zdarzają się* corocznie we Francji, połowa dzieje się w okolicznościach co najmniej równie nadzwyczajnych, jak w waszych opowiadaniach, a często przewyższa je romantycznością. Czyż prawdy tej nie potwierdziło wydawnictwo *Gazety Sądowej*, moim zdaniem jedno z największych nadużyć prasy? Dziennik ten, który sięga dopiero roku 1826 lub 1827, nie istniał w czasie moich początków w służbie państwowej; toteż szczegóły zbrodni, którą państwu opowiem nie były znane poza departamentem, w którym ją spełniono. W dzielnicy Saint-Pierre-des-Corps w Tours, kobieta, której mąż znikł bez wieści podczas rozpuszczania armii Loary w 1816 roku i która naturalnie bardzo go opłakiwała, zwróciła na siebie uwagę nadzwyczajną dewocją. Kiedy misje przebiegały prowincjonalne miasta, aby wznosić na nowo obalone krzyże i zacierać ślady rewolucyjnych bezbożności, wdowa ta wystąpiła jako jedna z najzarliwszych prozelitek, nosiła krzyż, przybiła doń serce ze srebra przeszyte strzałą i długi czas po misji chodziła co wieczora modlić się pod krzyżem, który umieszczono za chórem kościoła. Wreszcie zmożona wyrzutami wyświadała się ze straszliwej zbrodni. Zamordowała męża, tak jak zamordowano Fualdesa, podrzynając mu gardło; zasoliła go, włożyła do starych beczek, kawałkami, zupełnie jak wieprza. I długi czas co rano obcinała po kawałku i chodziła wrzucać do Loary. Spowiednik poradził się przełożonych i oznajmił penitentce, że powinna zawiadomić prokuratora. Uczyniła to i oczekiwała nadejścia władz. Prokurator, zwiedzając wraz z sędzią śledczym piwnicę, znalazł jeszcze głowę męża w soli, w jednej z kadzi. „Ależ, nieszczęśliwa — rzekł sędzia śledczy do *obżalowanej* — skoro pani miałaś to okrucieństwo, aby rzucić ciało kawałkami do rzeki, czemuż nie usunęłaś i głowy, nie byłoby dowodów...” „Często próbowałam, proszę pana — rzekła — ale zawsze była mi za ciężka”.

— I cóż, co się stało z tą kobietą?... — wykrzyknęli dwaj paryżanie.

— Skazano ją i stracono w Tours — odpowiedział urzędnik — ale żal jej i pobożność zyskały jej powszechne współczucie, mimo potworności zbrodni.

— Ech! — rzekł Bianchon — alboż kto zna wszystkie tragedie rozgrywające się poza kotarą małżeńską, której publiczność nie uchyla nigdy... Ja nie uważam sprawiedliwości ludzkiej za powołaną, aby sądzić zbrodnie między małżonkami; ma do tego wszelkie prawo z punktu policyjnego, ale w swoich pretensjach do sprawiedliwości działa tu zupełnie po omacku.

— Często ofiara była tak długo katem — odparła naiwnie pani de La Baudraye — iż, gdyby oskarżeni śmieli wszystko powiedzieć, zbrodnia wydałaby się niekiedy dość usprawiedliwiona.

Wykrzyknik ten, wywołany przez Bianchona, oraz opowieść prokuratora dały paryżanom wiele do myślenia co do losu Diny. Toteż kiedy nadeszła godzina spoczynku, odbyło się jedno z owych konsyliów, jakie toczą się nieraz w korytarzach starych zamków, gdy kawalerowie zostaną sami ze świecami w rękach, zapóźnieni w poufnej gawędzie. Pan Gravier dowiedział się wówczas o celu tak miłego wieczoru, w którym cnotę pani de La Baudraye próbowano postawić w pełnym świetle.

— Ostatecznie — rzekł Lousteau — zimna krew kasztelanki mogłaby równie dobrze dowodzić głębokiego zepsucia jak dziecięcej naiwności... Wyglądało mi coś na to, że pan prokurator poddaje myśl, aby małego La Baudraye przyprawić w sałacie...

— Wraca aż jutro, któż wie, co się będzie działo tej nocy — rzekł Kajetan.

— Będziemy wiedzieli! — wykrzyknął pan Gravier.

Znamienną cechą życia dworów jest nieskończona mnogość psich figlów, między którymi bywają niektóre straszliwie zdradzieckie. Pan Gravier, „który widział tyle rzeczy”, poddał myśl, aby przyłożyć pieczęcie na drzwiach pani de La Baudraye oraz prokuratora. Żurawie oskarżające poetę Ibikusa niczym są w porównaniu do włosa, jaki szpiegowie pałacowego życia umocowują na spojeniu drzwi za pomocą dwóch spleczonych kulek woskowych, umieszczonych tak wysoko lub tak nisko, że nikt nie domyśli się pułapki. Jeśli galant opuści swój pokój i wejdzie do innych drzwi wystawionych na próbę, zgodność zerwanych włosków wyraża wszystko. Skoro zdawało się, że wszystko śpi, lekarz, dziennikarz, poborca i Kajetan wyszli boso, jak prawdziwi złodzieje, aby zamurować tajemniczo oboje drzwi, i przyrzekli sobie zjawić się o piątej rano, aby sprawdzić pieczęcie.

Osądzcie ich zdumienie i przyjemność Kajcia, skoro wszyscy czterej, ledwie odziani i ze świecznikiem w dłoni, przybyli badać włosy i znaleźli je zarówno na drzwiach prokuratora, jak na drzwiach pani de La Baudraye, doskonale nietknięte.

— Czy ten sam воск? — rzekł pan Gravier.

— Te same włosy? — spytał Lousteau.

— Tak — odparł Kajetan.

— To zmienia wszystko — wykrzyknął Lousteau — przygotowawaliście wszyscy grunt dla zamorskich panów.

Generalny poborca oraz młody prezydentowicz wymienili rzut oka, który zdawał się mówić: „Czy nie ma w tym zdaniu jakiej złośliwości? Czy powinniśmy się śmiać, czy też obrazić?”.

— Jeżeli — szepnął dziennikarz do ucha Bianchona — Dina jest cnotliwa, warta jest, abym uszczknął owoc jej pierwszej miłości.

Myśl o zdobyciu w kilka chwil forticy, która opierała się dziewięć lat sancerczykom, uśmiechnęła się Stefanowi. W tej intencji zeszedł pierwszy do ogrodu, spodziewając się spotkać kasztelanę. Przypadek ów ziścił się tym łatwiej, iż pani de La Baudraye miała ochotę porozmawiać ze swoim krytykiem. Połowa przypadków jest umyślna.

— Wczoraj polował pan — rzekła pani de La Baudraye. — Dziś rano jestem nieco w kłopotcie z wynalezieniem jakiej nowej rozrywki; chyba że zechcecie pojechać do La Baudraye, gdzie będzie pan mógł obserwować prowincję nieco lepiej niż tutaj, moje śmieszności bowiem starczyły panu ledwie na jeden kasek; ale przysłowie o *najładniejszej dziewczynie pod słońcem* dotyczy także i biednej kobiety z prowincji.

— Ten głuptas Kajcio — odparł Lousteau — powtórzył pani z pewnością słowa, które powiedziałem, aby zeń wyciągnąć wyznanie, że panią ubóstwia. Milczenie pani przedwczoraj przy obiedzie i przez cały wieczór dowodnie objaśniło mnie o niedyskrecji, jednej z tych, jakich nie popełnia się nigdy w Paryżu. Cóż pani chce? Ja nie mam pretensji do tego, abym był jasnowidzem. Toteż wczoraj uplanowałem opowiadanie tych wszystkich historii jedynie po to, aby się przekonać, czy obudzimy w pani i w panu de Clagny jaki wyrzut... Och! Niech się pani uspokoi, mamy dowody jej niewinności. Gdyby się pani dopuściła najmniejszej słabostki z udziałem tego cnotliwego urzędnika, straciłaby pani wszelką cenę w moich oczach. Lubię to, co jest zupełne. Nie kocha pani, nie może pani kochać tego zimnego, małego, suchego, niemego kutwy, pochłoniętego beczkami i ziemią, który gotów jest odbiec panią w każdej chwili, aby wytargować dwadzieścia pięć centymów na otawach! Och! W lot poznałem tożsamość pana de La Baudraye z naszymi paryskimi lichwiarzami: ta sama natura. Dwadzieścia osiem lat, piękna, cnotliwa, bezdzietna... wie pani, nigdy nie zdarzyło mi się spotkać lepiej postawionego problemu cnoty... Autor *Pakity z Sewilli* musiał prześnić dużo snów!... Mogę mówić do pani o tym wszystkim bez obłudy, do jakiej czują się zobowiązani młodzi ludzie; jestem stary przed czasem. Nie mam już złudzeń; alboż je można zachować w moim rzemiośle?...

Zaczynając w ten sposób, Lousteau omijał całą *mapę krainy Czułości*, w której prawdziwe uczucie robi tak długie etapy; szedł prosto do celu i stawał się w pozycji człowieka pozwalającego sobie ofiarować to, o co kobiety każą się prosić przez tyle lat; świadkiem biedny prokurator, dla którego najwyższy fawor polegał na tym, aby przycisnąć nieco mocniej niż zwykle ramię Diny, kiedy prowadził ją pod rękę, szczęśliwy człowiek! Toteż, aby nie skłamać swej renomie niepospolitej kobiety, pani de La Baudraye starała się pocieszyć Manfreda Felietonu, przepowiadając mu przyszłość miłosną, o jakiej ani nie śni.

— Szukał pan przyjemności, ale nie kochał pan jeszcze — rzekła. — Wierz mi pan, prawdziwa miłość przychodzi często w życiu na wspak wszelkiemu sensowi. Patrz pan na pana de Gentz, który na schyłku lat rozkochał się w Fanny Elster i zostawił rewolucję lipcową jej losom dla prób tej tancerki!

— To mi się wydaje trudne — rzekł Lousteau. — Wierzę w miłość, ale nie wierzę już w kobietę... Muszą być we mnie jakieś wady, które nie pozwalają mnie pokochać, często bowiem kobiety porzucały mnie. Może mam za wiele poczucia ideału... jak wszyscy ci, którzy zanadto ryli się w rzeczywistości...

Pani de La Baudraye doczekała się wreszcie rozmowy z człowiekiem, który, rzucony w najbardziej lotne środowisko paryskie, przynosił stamtąd zuchwałe aksjomaty, depra-

wacje niemal naiwne, śmiałe przekonania, i który, jeśli nie był człowiekiem wyższym, odgrywał przynajmniej wyższość bardzo dobrze. Stefan zyskał w oczach Diny cały sukces *premiery*. Pakita z Sancerre odetchnęła burzami Paryża, powietrzem Paryża. Spędziła jeden z najmiłszych dni swego życia między Stefanem a Bianchonem, którzy opowiadali jej ciekawe anegdotki o wielkościach dnia, poufne rysy, które kiedyś będą figurować w annałach naszego wieku, powiedzenia i wypadki pospolite w Paryżu, ale dla niej zupełnie nowe. Naturalnie Lousteau wyrażał się bardzo ujemnie o wielkiej sławie niewieściej z Berry w wyraźnej intencji pochlebiania pani de La Baudraye i sprowadzenia jej na grunt zwierzeń literackich: traktował George Sand jako jej rywalkę. Pochwała ta upoiła panią de La Baudraye; panu de Clagny, generalnemu poborcy i młodemu Boirouge wydało się, iż jest serdeczniejsza ze Stefanem niż w wilię. Wielbiciel Diny żalowali mocno, iż udali się wszyscy do Sancerre, gdzie odbębnili wieczór w Anzy. Nigdy ich zdaniem nie słyszał nikt nic równie dowcipnego; godziny biegły tak, iż nie sposób było dojrzeć ich lekkich stóp. Wysławiali obu paryżan jak dwa cudy. Przesady te, otrąbione po Mail, miały ten skutek, iż sprowadziły wieczorem do zamku szesnaście osób, jedne w rodzinnej landarze, drugie w kabrioletach, paru kawalerów najętymi końmi. Około siódmej prowincja wparadowała mniej lub więcej godnie do olbrzymiego salonu, który Dina, uprzedzona o najeździe, kazała suto oświetlić i któremu nadała cały blask, uwalniając piękne meble z szarych pokrowców; wieczór ten bowiem przedstawiał się jej jako jeden z wielkich dni jej życia. Lousteau, Bianchon i Dina wymienili dowcipy i porozumiewawcze spojrzenia, obserwując pozy, słuchając odezwań tych znęconych ciekawością gości. Ile spłowiących wstążek, dziedzicznych koronek, kwiatów bardziej sztukowanych niż sztucznych zabłysło zuchwale na dwuletnich kapeluszach! Prezydentowa Boirouge, kuzynka Bianchona, poszeptała nieco z doktorem i uzyskała od niego bezpłatną konsultację, rozpowiadając mu swoje rzekome nerwobóle żołądka, pod którymi lekarz domyślił się łatwo periodycznych niestrawności.

— Pij pani po prostu co dzień herbatę w godzinę po obiedzie, jak Anglicy, a będzie pani zdrowa, to bowiem, czego pani doświadcza, to choroba angielska — rzekł poważnie Bianchon.

— Rzeczywiście, to bardzo wielki lekarz — rzekła prezydentowa, wracając do pani de Clagny, pani Popinot-Chandier i burmistrzowej Gorju.

— Powiadają — odparła pod wachlarzem pani de Clagny — że Dina sprowadziła go nie tyle dla wyborów, ile aby się dowiedzieć, skąd pochodzi jej nieplodność...

W pierwszej chwili powodzenia Lousteau przedstawił uczonego lekarza jako jedynego możliwego kandydata przy najbliższych wyborach. Ale Bianchon, ku zadowoleniu nowego podprefekta, oświadczył, iż byłoby mu prawie niepodobieństwem opuścić naukę dla polityki.

— Jedyne — rzekł — lekarze bez klienteli mogą się bawić w posłowanie. Biercież tedy mężów stanu, myślicieli, ludzi o rozległej wiedzy, którzy by umieli wznieść się do wyżyn, na jakich powinien znajdować się prawodawca, oto czego brakuje w naszych Izbach, czego potrzeba krajowi.

Kilka panienek, paru młodych ludzi oraz dojrzałych pań przyglądało się Stefanowi, jak gdyby był linoskoczkiem.

— Pan Kajetan Boirouge twierdzi, że pan Lousteau zarabia dwadzieścia tysięcy na rok pisaniem — rzekła żona mera do pani de Clagny — czy pani w to wierzy?

— Czy to możliwe? Toż prokurator pobiera tylko trzy tysiące...

— Panie Kajetanie — rzekła pani Chandier — niech pan zrobi, żeby pan Lousteau powiedział coś głośno, jeszcze go nie słyszałam.

— Jakie ma ładne bućki — rzekła panna Chandier do brata — jak się świecą!

— Ba, lakierki.

— Czemuż ty nie masz takich?

Lousteau spostrzegł w końcu, iż siedzi na cenzurowanym i odgadł w postawach sancerczyków żądze, która ich sprowadziła. „Cóż za *kawał* można by im spłatać?” pomyślał. W tej chwili rzekomy pokojowiec pana de La Baudraye, stajenny przebrany w liberię, przyniósł listy, dzienniki i oddał paczkę korekt, którą dziennikarz pozwolił wziąć Bianchonowi. Pani de La Baudraye, widząc pakiet, którego kształt i opakowanie wyraźnie trąciły drukarnią, rzekła:

— Jak to! Literatura ściga pana aż tutaj?

— Nie literatura — odparł — ale miesięcznik, w którym kończę nowelę mającą się ukazać za dziesięć dni. Przybyłem tu pod obuchem podpisu: *Ciąg dalszy w następnym numerze* i musiałem zostawić drukarzowi adres. Ach! Chleb, który jemy, bardzo drogo sprzedają nam spekulanci drukarskiego czernidła! Odmaluję pani kiedy ów osobliwy gatunek: redaktor miesięcznika!

— Kiedy zacznie się rozmowa? — spytała Diny pani de Clagny, tak jakby pytała: „O której godzinie ogień sztuczny?”.

— Myślałam — rzekła pani Popinot-Chandier do swej kuzynki, prezydentowej Bourouge — że usłyszymy historie?

W tej chwili, kiedy, jak niecierpliwy parter, sancerczycy zaczynali szemrać, Lousteau spostrzegł, iż Bianchon utonął w zadumie natchnionej opaską korekt.

— Co tobie? — rzekł Stefan.

— Ależ ta makulatura, w którą zawinięto korekty, zawiera najcudniejszy romans! Masz, czytaj: *Olimpia*, czyli *Tajemnice Rzymu*.

— Pokaż — rzekł Lousteau, biorąc kawałek makulatury z rąk doktora, i przeczytał głośno, co następuje:

204 *Olimpia*

jaskini. Rinaldo, oburzony tchórzostwem towarzyszków, którzy byli odważni jedynie w polu i nie śmieli zapuścić się w ulice Rzymu, obrzucił ich spojrzaniem wzgardy.

— Jestem tedy sam! — rzekł. Zdawał się myśleć chwilę, po czym dodał: — Jesteście nędznicy, pójdę sam i sam zgarnę tę bogatą zdobycz. Słyszycie!... Żegnam.

— Kapitanie!... — rzekł Lamberti — A gdyby cię ujęto... jeżeli ci się nie powiedzie?

— Bóg ze mną! — odparł Rinaldo, ukazując niebo.

Z tymi słowy wyszedł i spotkał w drodze intendenta księcia Bracciano

— Koniec stronicy — rzekł Lousteau, którego wszyscy słuchali w religijnym skupieniu.

— Czyta nam swoje dzieło — rzekł Kajcio do młodego Popinot-Chandier.

— Z pierwszych słów mogły panie odgadnąć — podjął dziennikarz, chwytając sposobność zmistyfikowania sancerczyków — że zbójcy są w jaskini. Jakże niedbale traktowali wówczas powieściopisarze szczegóły, dziś tak starannie, tak drobiazgowo obserwowane pod pozorem *kolorytu lokalnego*! Jeżeli złodzieje są w jaskini, zamiast: *ukazując niebo*, powinno być: *ukazując sklepienie*. Mimo tej niepoprawności, Rinaldo wydaje mi się tęgim chwatem, a w jego apostrofie do Boga czuć Włochy. Jest w tym romansie odrobineczka kolorytu lokalnego. Do krośset! Zbójcy, jaskinia, ten Lamberti, który umie kalkulować... Widzę cały wodewil w tej stronicy. Dodajcie do tych elementarnych składników kęs intrygi, młodą wieśniaczkę z wysoką fryzurą, w krótkich spódniczkach, wreszcie setkę ohydnych kupletów... och, mój Boże! Publiczność przyleci. A przy tym Rinaldo... cóż za kapitalne imię dla Lafonta! Dać mu tylko czarne faworyty, obcisłe spodnie, płaszcz, wąsy, pistolet i spiczasty kapelusz; jeśli dyrektor *Wodewilu* postara się opłacić parę artykułów w dziennikach, pięćdziesiąt przedstawień pewnych, a sześć tysięcy franków tantiemy dla autora, o ile zechcę pochwalić sztukę w moim felietonie. Idźmy dalej.

Albo Tajemnice Rzymu 213

Księżna de Braccipno odnalazła rękawiczkę. To pewna, że Adolf, który przeprowadził ją do pomarańczowego gaiku, mógł mniemać, iż pobudki tkliwej natury były źródłem tego zapomnienia; w tej chwili bowiem gaik był wyludniony. Szmer zabawy dochodził mętnie z oddali. Zapowiedzeni *fantocchini* ściągnęli wszystkich do galerii. Nigdy Olimpia nie wydała się kochankowi równie piękna. Spojrzenia ich, ożywione jednakim ogniem rozumiały

się. Zapanowała chwila milczenia rozkosznego dla duszy i niepodobnego do oddania. Usiedli na tej samej ławce, na której zastał ich kawaler Paluzzi i zabawione

— Śmierć i zaraza! Nie widzę już naszego Rinalda — wykrzyknął Lousteau. — Ale jakichż galopujących postępów w zrozumieniu intrygi może dokonać w ciągu tej stronicy inteligentny czytelnik! Księżna Olimpia jest kobietą *zdolną zapomnieć z umysłu rękawiczek w wyludnionym gaiku!*

— O ile się nie jest czymś między ostrygą a radcą sądowym, dwiema istotami najbliższymi formacji wapiennych w świecie zoologicznym — rzekł Bianchon — nie sposób nie poznać w Olimpii...

— *Kobiety trzydziestoletniej!* — przerwała żywo pani de La Baudraye, lękając się nazbyt medycznego epitetu.

— Zatem Adolf ma lat dwadzieścia dwa — odparł doktor — ponieważ trzydziestoletnia Włoszka równa się czterdziestoletniej paryżance.

— Przyjąwszy te dwie hipotezy, można odbudować szkielet romansu — rzekł Lousteau. — A ten kawaler Paluzzi! He?... Co za człowiek! W tych dwóch stronicach styl jest słaby, autor był może urzędnikiem wymiaru należytości, może nagryzmołił swój romans, aby opłacić krawca...

— W tej epoce — rzekł Bianchon — istniała cenzura; otóż, trzeba być równie pożądanym dla człowieka, który przeszedł przez nożyce roku 1805, co dla tych, którzy szli na rusztowanie w 1793.

— Czy pani co rozumie? — szepnęła nieśmiało burmistrzowa Gorju do pani de Clagny.

Żona prokuratora, która, podług wyrażenia pana Gravier, mogłaby wystraszyć młodego kozaka w roku 1814, poprawiła się w biodrach niby jeździec w strzemionach i zrobiła minę do sąsiadki jakby dla powiedzenia: „Patrzą na nas! Uśmiechajmy się tak, jak gdybyśmy rozumiały”.

— To śliczne! — rzekła burmistrzowa do Kajcia. — Panie Lousteau, prosimy, prosimy dalej.

Albo Tajemnice Rzymu 209

suknia zaszeleściła wśród ciszy. Naraz kardynał Borborigano ukazał się oczom księżnej. Twarz miał posepną: czoło zdawało się brzemienne chmurami, a gorzki uśmiech rysował się wśród zmarszczek.

— Pani — rzekł — ciężą na pani podejrzenia. Jeżeli jesteś winna, uciekaj; jeżeli nie, uciekaj również, ponieważ w jednym i drugim wypadku z odalenia będziesz zdolna o wiele lepiej się bronić.

— Dziękuję Waszej Eminencji za troskliwość — rzekła — księżę de Bracciano pojawi się wówczas, gdy uznam za potrzebne dowieść, że istnieje

— Kardynał Borborigano! — wykrzyknął Bianchon. — Na klucze papieża! Jeśli mi nie przyznacie, iż już samo to imię jest wspaniałą kreacją, jeżeli nie widzicie w tych słowach: *suknia zaszeleściła wśród ciszy* całej poezji roli *Schedoniego* wymyślonej przez panią Radcliffe w *Konfesjonale czarnych pokutników*, jesteście niegodni czytać romanse...

— Dla mnie — rzekła Dina, która ulitowała się osiemnastu twarzy wypatrzonych na dwóch paryżan — fabuła postępuje. Wiem wszystko: jestem w Rzymie, widzę trupa zamordowanego męża, którego żona, przewrotna i śmiała, ustawiła swoje łóżko na kraterze. Każdej nocy, za każdą chwilą szczęścia powiada sobie: „Wszystko się odkryje!”...

— Czy widzi ją pani — wykrzyknął Lousteau — jak dusi tego pana Adolfa, ścisiska go, chce zamknąć całe swoje życie w pocałunku!... Adolf robi na mnie wrażenie młodego człowieka doskonale zbudowanego, ale o skąpej inteligencji, takiego właśnie, jak trzeba dla Włoszki. Rinaldo unosi się nad intrygą, której nie znamy, ale która musi być zagmatwana jak melodramat pana Pixérécourt. Możemy sobie zresztą wyobrazić, że Rinaldo przesuwają się w głębi sceny niby figura z dramatów Wiktora Hugo.

— A może to właśnie mąż! — wykrzyknęła pani de La Baudraye.

— Czy pani co rozumie z tego wszystkiego? — spytała pani Piédefer prezydentowej.
— To czarujące — rzekła pani de La Baudraye do matki.
Mieszkańcy Sancerre otwierali oczy na pół łokcia.
— Niech pan czyta, błagamy — rzekła pani de La Baudraye.
Lousteau czytał dalej.

216 Olimpia

— Klucz...
— Czyżbyś go zgubił?
— Jest w gaiku...
— Pędźmy.
— Czyżby go wziął kardynał?...
— Nie... Oto jest...
— Jakiegoż uniknęliśmy niebezpieczeństwa!

Olimpia obejrzała klucz, zdawało się jej, że to ten sam; ale Rinaldo odmienił go: podstęp jego powiódł się, posiadał prawdziwy klucz. Człowiek ten posiadał tyleż zręczności co odwagi i podejrzywając, że jedynie bogate skarby mogły skłonić księżnę do ustawicznego noszenia przy pasku

— Szukaj... — zawołał Lousteau. — Stronicy, która tworzyła następne *recto*, brakuje; aby nas wydobyć z niepewności, jest jedynie stronica 212.

212 Olimpia

— Gdyby klucz zginął!
— Byłby w tej chwili trupem!
— Trupem! Czyż nie zgodziłaś się przychylić do jego ostatniej prośby i wrócić mu wolność pod warunkiem, że...
— Nie znasz go...
— Ale...
— Milcz. Wzięłam cię za kochanka, nie za spowiednika.
Adolf zamilkł.

— Tu amerek galopujący na kozie, winietka rysowana przez *Normanda*, ryta przez *Duplat*... Och, jest podpis — rzekł Lousteau.

— I cóż, a dalej? — rzekli ci ze słuchaczy, którzy rozumieli.

— Skończony rozdział — odparł Lousteau. — Obecność winietki zmienia w zupełności moje pojęcie o autorze. Aby uzyskać za Cesarstwa winietki ryte na drzewie, autor musiał być radcą stanu albo panią Barthélemy-Hadot, nieboszczykiem Desforges lub Servin.

— *Adolf zamilkł!*... Och — rzekł Bianchon — księżna ma mniej niż trzydzieści lat.

— Jeżeli już nic nie ma, niech pan wymyśli koniec! — rzekła pani de La Baudraye.

— Kiedy — rzekł Lousteau — makulaturę odbito tylko z jednej strony. Odwrotna strona, tzw. w języku typografii *sekunda*, która powinna była być zadrukowana, zawiera niezliczoną ilość najróżniejszych odbić, należy do arkuszy tzw. *próbnych*. Ponieważ byłoby piekielnie długim pouczać państwa, na czym polegają wybryki arkusza tzw. *próbneho*, powiem tylko, iż równie niepodobna mu jest zachować śladów pierwszych dwunastu stronic, jakie drukarz na nim odbił, jak pani nie mogłaby zachować najlżejszego wspomnienia pierwszego uderzenia kijem, gdyby jakiś pasza skazał panią na sto pięćdziesiąt bambusów w pięty.

— Jestem jak oszalała — rzekła pani Popinot-Chandier do pana Gravier — siłę się, aby sobie wytłumaczyć radcę stanu, kardynała, klucz i tę makulat...

— Nie chwyta pani ostrza tego konceptu — rzekł pan Gravier — ano cóż, droga pani, niech się pani pocieszy, ja też nie...

— Ale jest jeszcze drugi arkusz — rzekł Bianchon, rzuciwszy okiem na stół, gdzie znajdowały się korekty.

— Brawo! — rzekł Lousteau — jest cały i nietknięty. *Norma* brzmi: IV, J. 2 *wydanie*. IV, łaskawe panie, oznacza czwarty tom; J, dziesiąta litera alfabetu, dziesiąty arkusz. Zdaje mi się tedy stwierdzonym faktem, iż ten romans w czterech tomach *in 12-o* cieszył się, oddalając na bok finty księgarskie, wielkim powodzeniem, skoro doczekał się dwóch wydań. Czytajmy i odcyfrujmy tę zagadkę.

Albo Tajemnice Rzymu 217

kurytarz; ale, czując się ściganym przez ludzi księżnej, Rinaldo

— Dobryś, znowu!

— Och — rzekła pani de La Baudraye — zaszły jakieś ważne wypadki między fragmentem pańskiej makulatury a tą stronicą.

— Powiedzmy ściśle, tym szacownym *czystym odbiciem*. Ale czy makulatura, w której księżna zapomniała rękawiczek w gaiku, należy do czwartego tomu? Do diaska! jedźmy dalej.

nie znajduje pewniejszego schronienia, jak podążyć natychmiast do podziemia, gdzie musiały się znajdować skarby domu Bracciano. Lekki jak Kamil u łacińskiego poety, pobiegnął ku tajemnemu wejściu do Łaźni Wespazjana. Już pochodnie oświecały mury, kiedy zręczny Rinaldo, wypatrzywszy z bystrością, jaką obdarzyła go natura, drzwiczki ukryte w murze, znikł szybko. Straszliwa myśl przeszła duszę Rinalda niby piorun, gdy przesywa chmury. Złapał się w potrzask!... Pomacał

— Och! To czyste odbicie i fragment makulatury są w związku! Ostatnia stronica fragmentu jest 212, a tu mamy 217! I w istocie, jeżeli *w makulaturze* Rinaldo, który ukradł klucz od skarbów księżnej Olimpi, podsuwając jej mniej więcej podobny, znajduje się, w *czystym odbiciu*, w pałacu książąt Bracciano, romans wyraźnie zmierza ku jakiemuś zakończeniu. Chciałbym, aby to było równie jasne dla państwa, jak zaczyna być dla mnie... Dla mnie zabawa się skończyła, kochankowie wrócili do pałacu, jest noc, pierwsza z rana. Rinaldo wybrał dobry moment!

— A Adolf? — spytał prezydent Boirouge, który miał reputację płochego języka.

— I co za styl! — rzekł Bianchon — *Rinaldo, który znajduje schronienie podążyć!*...

— Widocznie nie drukował tego romansu ani Maradan, ani Treuttel i Wurtz, ani Doguereau — rzekł Lousteau — ci bowiem mają specjalnych korektorów przeglądających odbicia. Jest to zbytek, na który nasi nowocześni wydawcy powinni by sobie pozwolić, dzisiejsi autorowie dużo by na tym zyskali... To musiał być jakiś tandeciarz z Wybrzeża...

— Co za wybrzeże? — rzekła któraś dama do sąsiadki. — Mówiono o łaźni...

— Niech pan czyta dalej — rzekła pani de La Baudraye.

— W każdym razie to nie jest pióro radcy stanu — rzekł Bianchon.

— Może pani Hadot.

— Cóż oni znów mieszają za panią Hadot? — spytała prezydentowa syna.

— Pani Hadot, droga pani prezydentowo — odparła pani domu — to była powieściopisarka, która żyła za konsulatu...

— To kobiety pisywały za cesarza? — spytała pani Popinot-Chandier.

— A pani de Genlis, a pani de Staël? — odparł prokurator, urażony za Dinę o tę uwagę.

— A!...

— Niech pan czyta dalej, błagamy — rzekła pani de La Baudraye do Stefana.

Lousteau podjął czytanie, mówiąc:

— Stronica 218:

218 Olimpia

ścianę z niespokojnym pośpiechem i wydał krzyk rozpacz, kiedy poszukiwanie śladów tajemnego zamka okazało się daremnym. Niepodobna

mu było zamknąć oczu na straszliwą prawdę. Drzwi misternie sporządzone, aby służyć zbrodniczemu celom księżnej, nie miały otwarcia od wewnątrz. Rinaldo przykleił twarz w kilku miejscach do ściany, ale nigdzie nie uczuł ciepłego powietrza korytarza. Spodziewał się napotkać szczelinę, która mu wskaże miejsce, gdzie kończy się mur, ale nic, nic!... ściana zdawała się niby jeden złom marmuru...

Wówczas wydarł mu się głuchy ryk hieny.....

— I cóż, zdawało się nam, żeśmy świeżo wynaleźli ryki hieny? — rzekł Lousteau — a literatura Cesarstwa znała je już, wprowadzała je nawet na scenę z pewnym talentem przyrodniczym; czego dowodzi słowo *głuchy*.

— Niech pan nie robi już uwag — rzekła pani de La Baudraye.

— Ha! — wykrzyknął Bianchon — *zaciekawienie*, ten romantyczny potwór chwycił panią za gardło, jak mnie przed chwilą.

— Czytaj pan! — zawołał prokurator — Rozumiem!

— Udawacz! — szepnął prezydent do swego sąsiada, podprefekta.

— Chce podchlebić się pani de La Baudraye — rzekł nowy podprefekt.

— Więc dobrze, czytam po porządku — rzekł uroczyście Lousteau.

Sala słuchała dziennikarza w najgłębszym milczeniu.

Albo Tajemnice Rzymu 219

Głęboki jęk odpowiedział na krzyk Rinalda; ale w swoim pomieszeniu wziął go za echo, tak ten jęk był słaby i głuchy! Nie mógł wychodzić z piersi ludzkiej.

— *Santa Maria!* — rzekł nieznajomy.

„Jeśli opuszczę to miejsce, nie zdołam go już odnaleźć! — pomyślał Rinaldo, kiedy odzyskał zwyczajną zimną krew. — Thuc się, poznają mnie: co czynić?”

— Kto tam? — spytał głos.

— He! — rzekł rozbójnik — czyżby ropuchy mówiły tutaj?

— Jestem księżę Bracciano! Kto-

220 Olimpia

kolwiek jesteś, jeżeli nie jesteś zausznikiem księżnej, pójdź, na imię wszystkich świętych, pójdź do mnie...

— Trzebaby wiedzieć, gdzie jesteś, mości księżę — odparł Rinaldo z zuchwalstwem człowieka, który czuje się potrzebny.

— Widzę cię, przyjacielu, oczy moje bowiem przywykły do ciemności. Słuchaj, idź prosto... dobrze... skręć na lewo... chodź... tu... Jesteś tuż przy mnie.

Rinaldo, wysuwając przez ostrożność ręce przed siebie, napotkał sztaby z żelaza.

— Oszukują mnie! — krzyknął bandyta.

— Nie, dotknąłeś mojej klatki...

Albo Tajemnice Rzymu 221

Usiądź na złomie porfiru, który tu leży.

— W jaki sposób księżę Bracciano może znajdować się w klatce? — spytał bandyta.

— Mój przyjacielu, jestem tu od trzydziestu miesięcy, stojąco, nie mogąc usiąść... Ale kto ty jesteś?

— Jestem Rinaldo, ksiązę Przestrzeni, wódz osiemdziesięciu chwatów, których prawa niesłusznie mienią zbrodniarzami, których wszystkie damy podziwiają i których sędziowie wieszają przez dawne przyzwyczajenie.

— Bogu niech będzie chwała!... Jestem ocalony... Uczciwy człowiek bałby się, podczas gdy jestem pewien, że

222 Olimpia

z tobą porozumiem się doskonale — wykrzyknął ksiązę. O mój drogi wybawco, musisz być uzbrojony od stóp do głów.

— *E verissimo!*

— Miałżebyś...

— Tak, pilki, dłuta... *Corpo di Bacco!* Toć miałem właśnie wypożyczyć na czas nieograniczony skarby Braccianich.

— Otrzymasz z nich zupełnie prawnie ładną część, drogi Rinaldo, a może podejmę małe polowanko na ludzi w twoim towarzystwie...

— Zdumiewa mnie ekscelencja...

— Słuchaj mnie, Rinaldo! Nie będę ci mówił o pragnieniu zemsty, jakie mi kęsa serce: siedzę tu od trzydziestu miesięcy — jesteś Włochem —

Albo Tajemnice Rzymu 223

ty mnie zrozumiesz! Ach, mój przyjacielu, moje znużenie i ta przerażająca niewola niczym są w porównaniu do wściekłości, jaka mną miota. Księżna Bracciano jest jeszcze jedną z najpiękniejszych kobiet w Rzymie, kochałem ją dosyć, aby być o nią zazdrosny...

— Pan, jej mąż!...

— Tak, może źle czyniłem!...

— Spodziewam się, tego się nie robi — rzekł Rinaldo.

— Zazdrość moją podsyciło postępowanie księżnej — ciągnął ksiązę. — Wypadki dowiodły, że miałem słuszność. Młody Francuz kochał Olimpię, posiadał jej miłość, miałem dowody ich zobopólnej czułości...

— Najmocniej przepraszam, łaskawe panie — rzekł Lousteau — ale bo widzą państwo, niepodobna mi nie zwrócić uwagi, jak bardzo literatura Cesarstwa szła prosto do faktu bez najmniejszych szczegółów, co mi się wydaje znamieniem czasów pierwotnych. Literatura tej epoki była czymś pośrednim między streszczeniem Telemaka a wnioskiem prokuratora. Miała myśli, ale nie raczyła ich wyrażać — wielka dama! — obserwowała, ale nie udzielała swych obserwacji nikomu — skąpitura! — jedyny Fouche udzielał komuś swoich obserwacji. *Literatura zadawała się wówczas, wedle wyrażenia jednego z najtępszych krytyków „Revue des deux mondes”, dosyć czystym szkicem i bardzo jasnym konturem wszystkich figur na sposób starożytnych; nie siliła się na styl!* Bardzo wierzę, nie miała stylu, nie miała słów, którymi by mogła migotać; powiadała wam: Antos kochał Kasię, Kasia nie kochała Antosia, Antos zabił Kasię, a żandarmi ujęli Antosia, którego wpakowano do więzienia, postawiono przed sąd i posłano na gilotynę. Tęgi szkic, jasny kontur! Cóż za piękny dramat! Otóż dzisiaj barbarzyńcy lubują się w migotaniu słów...

— Zdaje mi się, że jestem w ciemnym lochu — rzekła burmistrzowa.

— Dzisiaj — ciągnął Lousteau — powieściopisarze rysują charaktery; miast *czystego konturu*, odsłaniają serce ludzkie, każą się wam interesować bądź Antosiem, bądź Kaską.

— Co do mnie, przerażony jestem wykształceniem publiczności w kwestiach literackich — rzekł Bianchon. — Jak Rosjanie pobici przez Karola XII nauczyli się w końcu prowadzenia wojny, tak czytelnik nauczył się z czasem rozumieć sztukę. Niegdyś żądano od romansu tylko tyle, aby był zajmujący; co się tyczy stylu, nikt o to nie dbał, nawet autor; co do myśli, zero; co do kolorytu lokalnego, nicość. Nieznacznie czytelnik zaczął żądać stylu, zainteresowania, dramatu, ścisłych wiadomości; zaczął wymagać *pięciu zmysłów* literackich: inwencji, języka, myśli, wiedzy, uczucia; następnie, na domiar

wszystkiego, przyszła krytyka! Krytyka niezdolna wymyślić nic prócz oszczerstwa postawiła tezę, iż wszelkie dzieło, które nie wypłynęło z pełnego, kompletnego mózgu jest chrome. Równocześnie pojawiło się paru szarlatanów, jak Walter Scott, zdolnych zjednoczyć pięć zmysłów literackich: za czym ci, którzy mieli tylko dowcip albo tylko wiedzę, tylko styl lub tylko uczucie, te kulasy, ci bezgłowi, mańkuci, jednoocy literatury zaczęli krzyczyć, że wszystko stracone, zaczęli głosić kruczatę przeciw ludziom, którzy psuli rzemiosło, lub też zaczęli zwalczać ich dzieła.

— To dzieje waszych ostatnich walk literackich — zauważyła Dina.

— Przez litość! — wykrzyknął pan de Clagny — Wróćmy do księcia Bracciano.

Ku wielkiej rozpaczy zebranych Lousteau podjął *lekturę czystego odbicia*.

224 Olimpia

Wówczas chciałem się upewnić o moim nieszczęściu, aby móc się zemścić pod skrzydłem Opatrzności i praw. Księżna odgadła moje plany. Walczyliśmy z sobą myślą, zanim zaczęliśmy walczyć z trucizną w dłoni. Chcieliśmy sobie narzucić wzajemnie ufność, którejśmy nie mieli: ja, aby dać jej wypić napój, ona, aby mną owładnąć. Ona była kobietą, zwyciężyła; kobiety bowiem mają zawsze jedną więcej od nas pułapkę na podporządku. Wpadłem w nią: byłem szczęśliwy, ale nazajutrz rano obudziłem się w tej żelaznej klatce. Ryczałem przez cały dzień w ciemności

Albo Tajemnice Rzymu 225

tej piwnicy położonej tuż pod sypialnią księżnej. Wieczorem, uniesiony zręcznie sporządzonym mechanizmem, wynurzyłem się ponad podłogę i ujrzałem w objęciach kochanka księżnej, która rzuciła mi kawałek chleba, pożywienie każdego wieczoru. Oto me życie od trzydziestu miesięcy! W tym więzieniu z marmuru krzyki moje nie mogą dojść do żadnego ucha. Żadnej możliwości odmiany. Straciłem już nadzieję! Tak, pokój księżnej znajduje się w głębi pałacu i głosu mego, nawet jeśli tam dochodzi, nie może słyszeć nikt. Za każdym razem, kiedy widzę żonę, pokazuje mi truciznę, którą przygotowałem

226 Olimpia

dla niej i dla jej kochanka; błagam o nią dla siebie, ale ona odmawia mi śmierci, rzuca mi chleb i — jem go... Dobrze zrobiłem, że jadłem, że żyję: zapomniałem o bandytach!...

— Tak, ekscelencjo, kiedy te ciemnięgi uczciwi ludzie śpią, my wówczas czuwamy...

— Ach, Rinaldo, wszystkie moje skarby są dla ciebie, podzielimy je jak bracia, chciałbym ci dać wszystko... nawet moje księstwo...

— Ekscelencjo, uzyskaj mi u papieża rozgrzeszenie *in articulo mortis*, to mi się lepiej przyda w moim rzemiośle.

Albo Tajemnice Rzymu 227

— Wszystko, co zechcesz; ale przepiłuj sztaby klatki i pożycz mi sztyletu... Nie mamy wiele czasu, spiesz się. Och! Gdyby moje zęby były ze stali... Próbowałem gryźć to żelazo...

— Ekscelencjo — rzekł Rinaldo, słuchając ostatnich słów księcia — przepiłowałem już jedną sztabę.

— Jesteś aniołem!

— Żona pańska była na uczcie księżnej Villaviciosa; wróciła ze swoim Francuzikiem, jest pijana miłością, mamy tedy czas.

— Skończyłeś już?
— Tak...

228 Olimpia

— Sztylet? — zapytał żywo książę bandyty.
— Oto jest.
— Dobrze. Słyszę zgrzyt sprężyny.
— Pamiętaj pan o mnie! — rzekł bandyta, który znał się na wdzięczności.
— Jak o rodzonym ojcu — rzekł książę.
— Tedy szczęśliwej drogi. Ho, ho, jak on leci! — dodał bandyta, patrząc za znikającym księciem — *Jak o rodzonym ojcu* — powtórzył — jeżeli to w ten sposób myśli pamiętać o mnie... Tam do kata! Uczyniłem przecież ślub, aby nigdy nie szkodzić kobietom...
Ale zostawmy na chwilę bandytę

Albo Tajemnice Rzymu 229

zatonionego w myślach i wstąpmy wraz z księciem w komnaty pałacu.

— Jeszcze jedna winietka, amerek na ślimaku. Następnie, 230 strona jest czysta — rzekł dziennikarz. — Oto jeszcze dwie dalsze strony zajęte tym nagłówkiem tak rozkosznym do nakreślenia, kiedy się ma to szczęśne nieszczęście, aby pisać romanse: *Zakończenie!*

Zakończenie

Nigdy jeszcze księżna nie była tak piękna; wyszła z kąpieli ubrana jak bogini i widząc Adolfa ułożonego rozkosznie na stosach poduszek, rzekła:

234 Olimpia

— Jesteś bardzo piękny.
— A ty, Olimpio!
— Kochasz mnie zawsze?
— Coraz lepiej...
— Ach, jedynie Francuzi umieją kochać! — wykrzyknęła księżna... — Będziesz mnie bardzo kochał dziś wieczór?
— Tak...
— Więc chodź!

I pod wpływem drgnienia nienawiści i miłości, czy to że kardynał Borborigano poruszył żywiej w jej sercu pamięć męża, czy że czuła w sobie większe skarby miłości do rozwinięcia w jego oczach, pocisnęła sprężynę i otworzyła ramiona Adol-

— Oto wszystko! — wykrzyknął Lousteau — prot bowiem podarł resztę, zawijając korektę; ale to wystarczy, aby dowieść, że autor rokował nadzieje.

— Nic nie rozumiem — rzekł Kajcio Boirouge, pierwszy przerywając milczenie san-cerczyków.

— Ani ja — rzekł pan Gravier zrozpaczony.

— A wszakże to romans napisany za Cesarstwa — rzekł Lousteau.

— Och — rzekł pan Gravier — ze sposobu, w jaki każe mówić swemu bandycie, widzę, że autor nie znał Włoch. Bandyci nie pozwalają sobie na podobne *concetti*.

Pani Gorju podeszła do Bianchona, widząc, iż doktor się zamyślił, i rzekła, ukazując Eufemię Gorju, swoją córkę, jedynaczkę z wcale ładnym posażkiem.

— Cóż za groch z kapustą! Recepty, które pan pisze, więcej są warte niż te historie.

Burmistrzowa głęboko obmyśliła to zdanie, które wedle niej znamionowało wyższy umysł.

— Och, pani, trzeba być pobłażliwym, wszak znamy ledwie dwadzieścia stronic na tysiąc — odparł Bianchon, patrząc na pannę Gorju, której kibić nosiła lekkie znamiona pierwszej ciąży.

— I cóż! Panie de Clagny — rzekł Lousteau — mówiliśmy wczoraj o zemstach wymyślonych przez mężów; cóż pan powiesz o tej zemście zgotowanej przez żonę?

— Myślę — odparł prokurator — że romans ten popełnił nie radca Stanu, ale kobieta. W dziwacznych wymysłach wyobraźnia kobiet idzie dalej od mężczyzn, dowodem *Frankenstein* mistress Shelley, *Leone Leoni* George Sand, dzieła Anny Radcliffe i *Nowy Prometeusz* Kamila Maupin.

Dina spojrzała bystro na pana de Clagny, okazując mu wyrazem twarzy, który go zmroził, że mimo tylu znamienitych przykładów bierze tę uwagę za przytyk do *Pakity z Sewilli*.

— Ba! — rzekł mały de La Baudraye — Księżę Bracciano, którego żona zamknęła w klatce i któremu pokazuje się co wieczór w ramionach kochanka, zabije ją... Nazywa to pan zemstą?... Nasze trybunały i społeczeństwo są o wiele okrutniejsze.

— O ile? — rzekł Lousteau.

— Cud się stał, mały de La Baudraye przemówił! — rzekł prezydent Boirouge do żony.

— Po prostu pozwala się kobiecie żyć o chudej pensyjce, wówczas świat odwraca się od niej plecami; nie ma już ani strojów, ani uważania, dwóch rzeczy, które wedle mnie stanowią całą kobietę — rzekł staruszek.

— Ale ma szczęście — odparła emfaticznie pani de La Baudraye.

— Nie — odparł pokurcz, zapalając świecę, aby się udać na spoczynek — bo ma kochanka...

— Jak na człowieka, który myśli tylko o swoich szczepach i wyrębach, ma *dryg* — rzekł Lousteau.

— Coś przecież musi mieć — odparł Bianchon.

Pani de La Baudraye, jedyna, która mogła zrozumieć odezwanie Bianchona, zaczęła śmiać się tak przenikliwie i gorzko zarazem, iż lekarz odgadł tajemnicę sekretnego życia pani zamku, której przedwczesne zmarszczki zaprzętały go od rana. Ale Dina nie odgadła złowrogiego proroctwa, które mąż rzucił jej w jednym słowie i którego zacny ksiądz Duret nie omieszkaby jej wytłumaczyć. Mały de La Baudraye pochwycił w oczach Diny, kiedy spoglądała na dziennikarza i odsyłała mu piłkę konceptu, ową nagłą i promienną tkliwość, która złoci spojrzenie kobiety w godzinie, gdy rozwaga usypia, gdy zaczyna się urzeczenie. Dina nie zwróciła uwagi na upomnienie, jakie dawał jej mąż, aby zachowywała pozory, jak Lousteau nie wziął do siebie dowcipnych ostrzeżeń Diny w dniu przybycia. Każdy inny niż Bianchon byłby zdziwiony szybkim powodzeniem Stefana, ale on nie czuł się nawet drażniony pierwszeństwem, jakie Dina dała Dziennikarstwu nad Wiedzą, tak bardzo był lekarzem! W istocie, Dina, natura głęboka i wielkoduszna, musiała bardziej być wrażliwa na dowcip niż na wielkość. Miłość woli zazwyczaj kontrasty niż podobieństwa. Szczerłość i dobroduszość doktora, jego zawód, wszystko mówiło przeciw niemu. Oto czemu: kobiety, które chcą kochać, a Dina w równym stopniu chciała kochać, co być kochaną, mają instynktowny wstręt do ludzi pochłoniętych swym zawodem; mimo swej wyższości, są zawsze kobietami w żądzy zagarniania. Poeta i felietonista, lekkoduch Lousteau, strojny swą mizantropią, przedstawiał tę błyskotliwość i to w pół próżniacze życie, które podoba się kobietom. Prostoliniorny rozum, przenikliwy wzrok człowieka naprawdę wyższego krępowaly Dinę, która nie przyznawała sama przed sobą swej marności, mówiąc sobie: „Doktor wart może więcej od dziennikarza, ale mniej mi się podoba”. Następnie myślała o obowiązkach jego rzemiosła i pytała, czy kiedykolwiek kobieta mogłaby być czym innym niż *materialem* w oczach tego lekarza, któremu w ciągu dnia tyle *materiału* przechodzi przez ręce! Pierwsze zdanie zapisane przez Bianchona w albumie było owocem lekarskiego spostrzeżenia, które nadto spadało ołowiem na kobietę, aby Diny nie miało uderzyć. Wreszcie Bianchon, któremu praktyka lekarska broniła dłuższych wakaacji, wyjeżdżał nazajutrz. Któża kobieta, o ile jej nie sięgnie w serce mitologiczna strzała

Kupidyna, może się namyślić tak prędko? Bianchon, objąwszy całokształt tych drobnych rzeczy, które wydają wielkie katastrofy, oznajmił w czterech słowach Stefanowi osobliwy wyrok o pani de La Baudraye, który obudził w dziennikarzu najżywsze zdumienie. Gdy paryżanie szeptali z sobą, podniosła się burza przeciw pani zamku między sancerczykami, którzy nie zrozumieli nic z parafrazy ani z objaśnień Stefana. Dalekie od dopatrzania się romansu, jaki wydobyli z tej lektury prokurator, podprefekt, prezydent, podprokurator Lebas, pan de La Baudraye i Dina, wszystkie kobiety skupione dokoła stolika z herbatą widziały tylko mistyfikację i obwiniały Mużę z Sancerre, iż umaczała w niej palce. Wszystkie gotowały się spędzić uroczy wieczór, wszystkie na darmo napięły swoje władze umysłowe. Nic tak nie wzburza mieszkańców prowincji jak myśl, iż mogą służyć za zabawkę paryżanom.

Pani Piédefer opuściła stół z herbatą, aby szepnąć córce:

— Idźże porozmawiać z paniami, bardzo są zgorzone twoim zachowaniem.

W ciągu tego wieczora Lousteau nie mógł nie zauważyć oczywistej wyższości Diny nad elitą kobiet z Sancerre; była najlepiej ubrana, ruchy jej były pełne wdzięku, cera nabierała przy świetle rozkosznej białości; słowem, odcinała się na tym gobelinie starych twarzy, źle ubranych i niezręcznych młodych panien niby królowa pośród swego dworu. Obrazy paryskie zacierały się, Lousteau wkładał się w życie prowincji; o ile zaś miał zbyt wiele wyobraźni, aby oglądać bez wrażenia królewskie przepychy tego zamku, prześliczne rzeźby, starożytne ozdoby wnętrza, miał również zbyt wiele doświadczenia, aby się nie poznać na cenie umeblowania, zdobiącego ten klejnot renesansu. Toteż skoro Sancerczyki pożegnali się kolejno, odprowadzeni przez Dinę (mieli bowiem wszyscy przed sobą dobrą godzinę drogi), kiedy w salonie zostali tylko prokurator, pan Lebas, Kajetan i pan Gravier, którzy nocowali w zamku, dziennikarz odmienił już pogląd na Dinę. Myśl jego odbywała przeobrażenia, jakie pani de La Baudraye miała odwagę nakreślić mu za pierwszym spotkaniem.

— Och! Jak oni będą sobie używać na nas przez drogę! — wykrzyknęła pani zamku, wracając do salonu, usadowiwszy w powozie prezydenta, prezydentową i panie Popinot-Chandier.

Reszta wieczoru spłynęła bardzo wesoło. W ścisłym kółku bawiono się doskonale, przypominając sobie kolejne miny sancerczyków podczas komentarzy Stefana na temat opakowania korekty.

— Mój drogi — rzekł, układając się do snu, Bianchon do Stefana (pomieszczono ich razem w ogromnym pokoju o dwóch łóżkach) — będziesz szczęśliwym śmiertelnikiem wybranym przez tę kobietę, z domu Piédefer!

— Myślisz?

— Ech! To jasne: uchodzisz tu za człowieka, który miał dużo przygód miłosnych w Paryżu; otóż dla kobiet jest w każdym don Juanie coś drażniącego, co je pociąga i budzi sympatię; czy to jest ambicja tryumfu nad wspomnieniami? Czy zwracają się do jego doświadczenia, tak jak chory przepłaca sławnego lekarza? Lub może pochlebia im obudzić zużyte serce?

— Zmysły i próżność odgrywają taką rolę w miłości, że wszystkie przypuszczenia mogą być prawdziwe — odparł Lousteau. — Ale, jeżeli zostaje, to dla certyfikatu uświadomionej niewinności, jaki dajesz Dinie. Ładna jest, nieprawdaż?

— Pod wpływem miłości stanie się czarująca — rzekł lekarz. — Przy tym, ostatecznie, to będzie prędej lub później bogata wdowa! Dziecko zapewniłoby jej pośrednio dziedzictwo fortuny imć pana de La Baudraye...

— Ależ to dobry uczynek kochać tę kobietę! — wykrzyknął Lousteau.

— Raz zostawszy matką, nabierze tuszy, zmarszczki wygładzą się, będzie wyglądała na dwadzieścia lat...

— A więc — rzekł Lousteau, zawijając się w kołdrę — jeśli zechcesz mi pomóc, jutro, tak, jutro zacznę... Tymczasem dobranoc.

Nazajutrz pani de La Baudraye, której od pół roku mąż dał do rozporządzenia fernalskie konie i starą, podzwaniającą żelastwem kolasę, wpadła na myśl odprowadzenia Bianchona aż do Cosne, gdzie miał złapać dylizans przejeżdżający tamtędy z Lyonu. Wzięła z sobą matkę i Stefana; ale zamierzała zostawić matkę w La Baudraye, udać się do Cosne z dwoma paryżanami i wrócić sama ze Stefanem. Obmyśliła śliczną tualetę, która zrobiła

na dziennikarzu wrażenie: brązowe trzewiczki, szare jedwabne pończochy, organtynowa suknia, zielona jedwabna szarfa o długich, mieniących się frędzlach i ładny kapelusz z czarnej koronki, ozdobiony kwiatami. Co do Stefana, hultaj wystroił się w ryszczunek bojowy: lakierowane buciki, spodeńki z angielskiej materii, plisowane z przodu, mocno wycięta kamizelka odsłaniająca wykwintną koszulę i kaskady czarnego, przetykanego atłasem, najpiękniejszego w świecie krawata: na to wszystko czarny redęgocik, bardzo krótki i bardzo lekki. Prokurator i pan Gravier spojrzeli po sobie dość osobliwie, kiedy ujrzeli paryżan w kolasce, siebie zaś jak dwóch głupców pod gankiem. Pan de La Baudraye, który z wysokości ostatniego schodu dawał doktorowi przyjacielskie znaki rączką, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, słysząc, jak pan de Clagny mówi do pana Gravier: „Powinien pan być towarzyszyć im na koniu”. W tej chwili Kajcio, usadowiony na spokojnej kłaczce pana de La Baudraye, wyłonił się z alei, która prowadziła do stajni, i dotarł do kolaski.

— Doskonale — rzekł poborca — chłopczyzna zaciągnął warty.

— Cóż za utrapienie! — rzekła Dina, widząc Kajcia. — Od trzynastu lat, mija bowiem trzynaście lat, jak jestem zamężna, nie miałam ani trzech godzin swobody...

— Zamężna? — rzekł dziennikarz z uśmiechem. — Przypomina mi pani powiedzenie nieboszczyka Michaud; miewał kapitalne odezwania! Wybierał się do Palestyny, przyjaciele zaś przedkładali mu jego wiek, niebezpieczeństwa podobnej wyprawy etc. „Wszakże — rzekł jeden z nich — pan jesteś żonaty?” „Och! — odparł — tak niewiele!”

Surowa pani Piédefer nie mogła się wstrzymać od uśmiechu.

— Nie dziwiłabym się, gdyby pan de Clagny wsiadł na mego kucyka dla dopełnienia kawalkady — wykrzyknęła Dina.

— Och! Jeżeli pan prokurator nie dogoni nas w drodze — rzekł Lousteau — może się pani pozbyć tego młodzieńca w Sancerre. Bianchon z pewnością zapomniał czegoś ważnego na stole, na przykład rękopisu pierwszego wykładu: poprosi pani Kajcia, aby skoczył do Anzy.

Podstęp ten, mimo iż prosty, wprowadził panią de La Baudraye w dobry humor. Droga z Anzy do Sancerre, z której roztaczają się wspaniałe widoki i z której pyszna tafla Loary często robi wrażenie jeziora, odbyła się wesoło: Dina była szczęśliwa, iż rozumiano ją tak dobrze. Rozmawiano teoretycznie o *miłości*, co pozwala kochankom *in petto* brać do pewnego stopnia miarę swoich serc. Dziennikarz przybrał ton wykwintnego zepsucia, udowadniając, że miłość nie słucha żadnych praw, że objawy jej odmieniają się bez końca zależnie od charakterów, że tok życia społecznego pomnaża jeszcze rozmaitość zjawisk, że wszystko w tym uczuciu jest możliwe i prawdziwe, że dana kobieta, oparli się długi czas wszystkim pokusom i prawdziwym namiętnościom, może ulec w ciągu kilku godzin jednej myśli, huraganowi duszy, z tych, których tajemnicę zna tylko jeden Bóg!

— Ostatecznie, czyż to nie jest sprężyna wszystkich przygód, jakieśmy sobie opowiadali od trzech dni? — rzekł.

Od trzech dni żywa wyobraźnia Diny pełna była najbardziej zdradliwych romansów, a rozmowa paryżan podziałała na tę kobietę na kształt najniebezpieczniejszych książek. Lousteau śledził spod oka skutki tego zręcznego manewru, aby pochwycić chwilę, gdy ta zdobycz, której dobra wola kryła się pod płynącą z niezdecydowania zadumą, będzie zupełnie odurzona. Dina chciała pokazać paryżanom La Baudraye, przy czym odegrano tam komedię z zapomnianym rękopisem. Kajcio puścił się cwałem na rozkaz swej królowej, pani Piédefer udała się na sprawunki do Sancerre, a Dina z dwoma przyjaciółmi skierowała się do Cosne. Lousteau usadowił się obok kasztelanki, Bianchon na przodzie. Rozmowa obu przyjaciół była bardzo serdeczna i pełna współczucia dla losu tej wybranej duszy tak mało zrozumianej, a zwłaszcza żyjącej w tak niegodnym siebie otoczeniu. Bianchon wspomógł znakomicie dziennikarza, drwiąc z prokuratora, z poborcy i z Kajcia; w tonie jego uwag było coś tak wzgardliwego, że pani de La Baudraye nie ośmieliła się bronić swych wielbicieli.

— Tłumaczę sobie doskonale — rzekł lekarz, kiedy mijali Loarę — stan, w jakim pani dotrwała. Pani umiałaby się poddać jedynie miłości wyobraźni, która często prowadzi do miłości sercem, a z pewnością żaden z tych ludzi nie jest zdolny przesłonić tego, co zmysły mają odrażającego w pierwszych dniach pożycia w oczach szlachetnie czującej kobiety. Dziś dla pani miłość staje się koniecznością.

— Koniecznością! — wykrzyknęła Dina, spoglądając ze zdumieniem na lekarza. — Mam tedy kochać na receptę?

— Jeśli pani będzie żyć tak, jak żyjesz, za trzy lata staniesz się wstrętna — odparł Bianchon tonem wyroczni.

— Doktorze?... — rzekła pani de La Baudraye niemal przerażona.

— Niech pani wybaczy memu przyjacielowi — rzekł Lousteau żartobliwie — jest zawsze lekarzem, miłość jest dlań tylko kwestią higieny. Ale nie jest samolubny, chodzi mu widocznie tylko o panią, skoro sam odjeżdża za godzinę.

W Cosne zebrało się sporo ludzi dokoła starej, odmalowanej na nowo karocy, na której drzwiczkach widniał herb nadany *neo-La Baudraye*'om przez Ludwika XIV.

— Wsiądźmy, dadzą nam znać — rzekła baronowa, która postawiła woźnicę na straży.

Dina ujęła ramię Bianchona; lekarz poprowadził ją nad brzeg Loary krokiem tak szybkim, iż dziennikarz musiał zostać w tyle. Jedno mrugnięcie oka wystarczyło doktorowi, aby uprzedzić Stefana, iż chce mu pomóc.

— Stefan podoba się pani — rzekł Bianchon do Diny — przemówił żywo do twej wyobraźni, rozmawialiśmy wczoraj wieczór o pani, kocha panią... Ale to człowiek lekki, trudny do ustalenia; brak majątku skazuje go na życie w Paryżu, gdy panią wszystko wiąże do Sancerre... Spójrz pani na życie nieco z wysoka... zrób ze Stefana swego przyjaciela, nie bądź wymagająca, przyjedzie trzy razy na rok spędzić parę pięknych dni przy tobie i będziesz mu zawdzięczała piękność, szczęście i majątek. Pan de La Baudraye może żyć sto lat, ale może też umrzeć w ciągu tygodnia, zapomniawszy włożyć pancerza z flaneli, w który się zawija; nie narażajcie tedy niczego. Bądźcie rozsądni oboje. Niech pani nie mówi ani słowa. Czytam w pani sercu.

Wobec twierdzeń tak ścisłych pani de La Baudraye uczuła się bezbronna w obliczu człowieka, który występował równocześnie jako lekarz, jako spowiednik i jako powiernik.

— Mój Boże — rzekła — czy pan wyobraża sobie, iż kobieta może stawać do współzawodnictwa z kochankami dziennikarza?... Pan Lousteau wydaje mi się miły, dowcipny, ale jest przeżyty etc., etc.

Dina urwała, zmuszona powściągnąć potok słów, pod którym chciała ukryć swe intencje, Stefan bowiem, jak gdyby zainteresowany rozwojem Cosne, zbliżał się do nich.

— Niech pani wierzy — rzekł Bianchon — Stefanowi potrzeba tego, aby go ktoś pokochał serio; jeśli zmieni tryb życia, talent zyska na tym.

Woźnica nadbiegł zdyszany, aby oznajmić dylizans; przyspieszono kroku. Pani de La Baudraye szła między dwoma paryżanami.

— Bywajcie zdrowe, dzieci — rzekł Bianchon, nim weszli do miasteczka — błogosławię was.

Puścił panią de La Baudraye, oddając jej ramię Stefanowi, który przycisnął je do serca z wyrazem czułości. Cóż za różnica! Ramię Stefana przyprawiło Dinę o najżywsze wzruszenie, gdy ramię Bianchona nie mówiło jej nic. Skrzyżowali z sobą owo nabrzmiałe krwią spojrzenie, które jest więcej niż wyznaniem. „Tylko kobieta z prowincji zdolna jest ubrać się w organtynową suknię, jedyną materię, na której ślady zgniecenia nie dadzą się zatrzeć — rzekł sobie w duchu Lousteau. — Ta kobieta, która mnie już wybrała na kochanka, będzie robiła ceregiele z przyczyny sukni. Gdyby włożyła fular, byłaby dziś moją... Od czego zależy cnota...” Podczas gdy Lousteau dociekał, czy pani de La Baudraye miała zamiar stworzyć sobie samej niewzruszoną barierę, wybierając suknię z organtyny, Bianchon przy pomocy woźnicy ładował walizkę na dach dylizansu. Wreszcie podszedł pożegnać się z Diną, która rozwinęła dla niego niezmierną serdeczność.

— Niech pani jedzie, pani baronowo, zostawcie mnie... Kacjo wróci — szepnęła jej do ucha. — Późno jest — dodał głośno. — Bywajcie!

— Bywaj zdrow, wielki człowieku — rzekł Lousteau, ściskając dłoń Bianchona.

Kiedy dziennikarz i pani de La Baudraye wtuleni obok siebie w głąb starej karocy minęli Loarę, ociągali się oboje z nawiązaniem rozmowy. W tym położeniu słowo, które przerwie milczenie, posiada strasliwą doniosłość.

— Czy pani wie, jak bardzo panią kocham? — rzekł naraz bez ogródek Lousteau.

Zwycięstwo mogło pochlebić dziennikarzowi, ale porażka nie sprawiłaby mu żadnej przykrości. Ta obojętność była tajemnicą jego zuchwalstwa. Ujął rękę pani de La Bau-

draye, rzucając te stanowcze słowa i ścisnął ją w dłoniach; ale Dina łagodnie uwolniła rękę.

— Tak, warta jestem zapewne tyleż co jakaś gryzетка lub aktorka — rzekła wzruszonym głosem, mimo iż żartując — ale czy sądzi pan, że kobieta, która mimo swoich śmieszności nie jest zupełnie głupia, zachowa skarby serca dla człowieka zdolnego w niej widzieć jedynie rozrywkę... Nie dziwi mnie, iż słyszę z ust pana słowo, które już tyle osób mi mówiło... ale...

Woźnica odwrócił się.

— Pan Kajetan... — rzekł.

— Kocham cię, pragnę i będiesz moja; nigdy dla żadnej kobiety nie czułem tego, co pani we mnie budzi — szepnął Lousteau w ucho Diny.

— Mimo mej woli może? — odparła z uśmiechem.

— Trzeba przynajmniej, dla mego honoru, aby wyglądało, iż pani była dzielnie atakowana — rzekł paryżanin, któremu oplakana właściwość organtyny nasunęła komiczny pomysł.

Nim Kajcio dotarł do mostu, zuchwały dziennikarz pomógł tak zwinnie organtynową suknię, iż pani de La Baudraye znalazła się w stanie niemożliwym do pokazania.

— Och, panie!... — wykrzyknęła majestatycznie Dina.

— Wyzwała mnie pani — odparł paryżanin.

Tymczasem Kajcio przybywał z chyżością oszukanego kochanka. Aby odzyskać nieco szacunku pani de La Baudraye, Lousteau starał się zasłonić Kajetanowi widok pogniczonej sukni, wychylając się, aby z nim rozmawiać przez okno od strony Diny.

— Pędź pan do naszej gospody — rzekł — jest czas jeszcze, dyliżans odchodzi dopiero za pół godziny, rękopis jest na stole w pokoju, który zajmował Bianchon; zależy mu na tym, nie byłby w stanie zacząć wykładów.

— Niech pan jedzie, panie Kajetanie — rzekła pani de La Baudraye, spoglądając despotycznie na młodego wielbiciela.

Steroryzowany tą stanowczością, chłopczyna nawrócił i pomknął co koń wyskoczy.

— Prędko do La Baudraye — krzyknął Lousteau do woźnicy — pani baronowa jest cierpiąca... Jedyne matka pani będzie wtajemniczona w mój podstęp — rzekł, siadając z powrotem obok Diny.

— Pan nazywa tę nikczemność podstępem? — rzekła pani de La Baudraye, powściągając kilka łez, które obeschły w ogniu obrażonej dumy.

Wtulila się w kął landary, skrzyżowała ręce na piersiach, patrząc na Loarę, na pola, na wszystko z wyjątkiem Stefana. Dziennikarz przybrał wówczas ton pieszczotliwy i mówił aż do La Baudraye, gdzie Dina wymknęła się z karety, starając się, aby jej nikt nie spostrzegł. W pomieszczeniu rzuciła się na sofę, aby się wyplakać.

— Jeżeli jestem dla pani przedmiotem wstrętu, nienawiści lub wzgardy, w takim razie jadę — rzekł Lousteau, który pobiegł za nią.

To mówiąc, wyga ukląkł u stóp Diny. Na tę scenę zjawiała się pani Piédefér, mówiąc do córki:

— Co takiego? Co tobie? Co się dzieje?

— Niech pani prędko da córce inną suknię — szepnął bezczelny paryżanin dewotce do ucha.

Słyszac wściekły galop kobyły Kajetana, pani de La Baudraye rzuciła się do swego pokoju, dokąd matka podążyła za nią.

— Nie ma nic w oberży — rzekł Kajcio do dziennikarza, który wyszedł na jego spotkanie.

— I nie było również nic w zamku — odparł Lousteau.

— Zadrwiliście sobie ze mnie — rzekł Kajetan oschle.

— Na wielki kamień — odrzekł Lousteau. — Pani de La Baudraye uważała za bardzo niewłaściwe, iż, mimo że nie proszony, pozwoliła sobie jej towarzyszyć. Wierz mi, młodzieńcze, nudzić kobietę to bardzo lichy sposób uwodzenia. Dina wywiodła pana w pole, zabawiła ją; to sukces, którego żaden z was nie zdobył od lat trzynastu, a zawdzięczasz go Bianchonowi: kuzyn pański jest *autorem kawału z rękopisem!*... Cóż koń, wyliże się? — spytał Lousteau żartobliwie, gdy Kajcio pytał sam siebie, czy ma się obrazić.

— Koń!... — powtórzył Kajetan.

W tej chwili weszła pani de La Baudraye, ubrana w aksamitną suknię, w towarzystwie matki, która rzuciła dziennikarzowi gniewne spojrzenia. W obecności Kajcia byłoby dla Diny nierozważą okazywać się surową dla Stefana, który, korzystając z tej okoliczności, ofiarował ramię rzekomej Lukrecji; ale odmówiła.

— Chce pani odtrącić człowieka, który poświęcił ci życie? — rzekł idąc koło niej. — Zostanę w Sancerre i pojedę jutro.

— Idziesz, mamó? — rzekła pani de La Baudraye do pani Piédefér, unikając w ten sposób odpowiedzi na stanowcze oświadczenie, za pomocą którego Lousteau zmuszał ją do decyzji.

Paryżanin pomógł matce wsiąść do powozu, pomógł pani de La Baudraye, ujmując ją łagodnie pod ramię, i umieścił się na przedzie z Kajciem, który zostawił konia w La Baudraye.

— Zmieniła pani suknię — rzekł niezręcznie Kajcio.

— Panią baronową przejął chłód Loary, Bianchon zalecił jej ubrać się ciepło.

Dina zaczerwieniła się jak piwonia, pani Piédefér zaś przybrała surowy wyraz.

— Poczuwiy Bianchon jest w drodze do Paryża, cóż za szlachetne serce! — rzekł Lousteau.

— Och! tak — odparła pani de La Baudraye — tak, to wielki i delikatny człowiek...

— Byliśmy tak weseli, wyjeżdżając — rzekł Lousteau — i oto pani jest cierpiąca i mówi do mnie z goryczą, i czemu?... Czy nie była pani przyzwyczajona, że ci mówiono, iż jesteś piękna i miła? Co do mnie, oświadczam to wobec Kajetana, wyrzekam się Paryża, osiadam w Sancerre i powiększę orszak pani dworzan i rycerzy. Uczulem się tak młody w moim rodzinnym kraju, zapomniałem już o Paryżu i jego zepsuciach, o jego przykrościach i nużących uciechach... Tak, życie wydaje mi się jak gdyby czystsze...

Dina pozwoliła Stefanowi mówić, nie patrząc nań; ale była chwila, w której improwizacja tego węża stała się tak kusząca pod wysiłkiem, jaki czynił, aby parodiować namiętność za pomocą zdań i myśli, których znaczenie, ukryte dla Kajcia, znajdowało odzew w sercu Diny, iż podniosła nań oczy. Spojrzenie to zdawało się przepelniać radością Stefana, który podwoił werwę i doprowadził w końcu do śmiechu panią de La Baudraye. Kiedy w położeniu, w którym duma jej tak okrutnie jest zraniona, kobieta rozśmiej się, wszystko przepadło. Skoro wjechali w olbrzymi dziedziniec wysypany piaskiem i ozdobiony darnią oraz koszami kwiatów, które tak wdzięcznie stroiły fasadę zamku, dziennikarz mówił: „Kiedy kobieta kocha, przebacza wszystko, nawet zbrodnie; kiedy nie kocha, nie przebacza niczego, nawet cnót. Czy mi przebaczysz?” — szepnął do ucha pani de La Baudraye, przyciskając jej rękę do serca ruchem pełnym tklivości. Dina nie mogła się wstrzymać od uśmiechu.

Podczas obiadu i przez resztę wieczoru Lousteau rozwinął uroczą wesołość i werwę; ale wyrażając w ten sposób swe upojenie, zatapiał się chwilami w rozmarzeniu człowieka, który jest jakby pochłonięty własnym szczęściem. Po kawie pani de La Baudraye i jej matka zostawiły panów w ogrodzie. Wówczas pan Gravier rzekł do prokuratora:

— Czy zauważył pan, że pani de La Baudraye, która wyjechała w sukni organtynowej, wróciła w aksamitach!

— Kiedy wsiadała do powozu w Cosne, suknia zahaczyła o gwóźdź i rozdarła się od góry do dołu — odparł Lousteau.

— Och! — wykrzyknął Kajtuś ugodzony w serce okrutną rozbieżnością dwóch wypowiedzi dziennikarza.

Lousteau, który rachował na to zdziwienie, wziął go za ramię i ścisnął, jak gdyby prosząc o dyskrecję. W chwilę potem Lousteau zostawił trzech wielbicieli samych, zagajając rozmowę z panem de La Baudraye. Wówczas wzięto Kajtusia na spytki co do podróży. Gravier i de Clagny usłyszeli ze zdumieniem, iż Dina została sama z dziennikarzem, wracając z Cosne, ale zdumienie ich wzrosło jeszcze, kiedy się dowiedzieli o dwóch wersjach paryżanina co do zmiany sukni. Toteż zachowanie się trzech zawiedzionych mężczyzn było przez cały wieczór bardzo wyraźne. Nazajutrz rano każdy z nich znalazł pilne sprawy, które zmuszały go opuścić Anzy, gdzie Dina została sama z matką, mężem i Stefanem. Trzej rozżaleni sancerczycy wznieśli w mieście wielki hałas. Upadkowi Muzy departamentów Berry, Nivernais i Morvan towarzyszyła istna orgia obmów, potwarzy i domysłów, wśród których historia organtynowej sukni zajmowała pierwsze miejsce. Nigdy tualeta Diny nie

miała tyle powodzenia i nie obudziła większej bacności młodych panien nieumiejących sobie wytłumaczyć związków między miłością a organtyną, z których tak śmiały się mężatki. Prezydentowa Boirouge, wściekła o przygodę swego Kajcia, zapomniała pochwał, którymi obsypywała *Pakitę z Sewilli*; miotała straszliwe słowa przeciw kobiecie zdolnej wydrukować podobne bezceństwo.

„Nieszczęśliwa spełnia wszystko, co napisała! — mówiła. — Może skończy tak, jak jej heroina!...” Stało się z Diną to, co z marszałkiem Soult w dziennikach opozycji: póki jest ministrem, przegrał bitwę pod Tuluzą; z chwilą gdy idzie na pensję, wygrał ją. Marynując się w cnocie, Dina uchodziła za rywalkę Kamila Maupin, najznakomitszych kobiet: ale ośmielwszy się być szczęśliwą, stawała się *nieszczęśliwą*. Pan de Clagny brocił rycersko Diny; bywał ciągle w Anzy, aby mieć prawo odpierać pogłoski obiegające o tej, którą zawsze ubóstwiał, nawet upadła, i twierdził, że w całej tej sprawie chodzi o współpracownictwo w wielkim dziele. Wyśmiano prokuratora.

Październik był czarujący, jesień jest najpiękniejszą porą roku w dolinie Loary; ale w roku 1836 była osobliwie wspaniała. Natura zdawała się współniczką szczęścia Diny, która, wedle przepowiedni Bianchona, pokochała namiętnie Stefana. W ciągu miesiąca kasztelanka zmieniła się zupełnie. Sama zdumiewała się, znajdując w sobie tyle uspionych, bezwładnych, bezużytecznych dotąd zdolności. Lousteau był dla niej aniołem, albowiem serdeczna miłość, ta istotna potrzeba wielkich dusz, uczyniła z niej zupełnie nową kobietę. Dina żyła! Znajdowała użytek dla swoich sił, odkrywała niespodziewane perspektywy w przyszłości, słowem, była szczęśliwa, szczęśliwa bez trosk, bez zapór. Ten olbrzymi zamek, ogrody, park, las, tak sprzyjały miłości! Lousteau znalazł w pani de La Baudraye naiwną wrażliwość, niewinność, jeśli chcecie, która uczyniła ją oryginalną: było w niej coś drażniącego, nieoczekiwanego, o wiele więcej niż w młodej dziewczynie. Lousteau był tkliwy na pochlebstwo, które prawie u wszystkich kobiet jest komedią, ale które u Diny było szczere: uczyła się od niego miłości, był doprawdy pierwszym w jej sercu. Przy tym on sam zadawał sobie ten trud, aby być nadzwyczaj miłym. Mężczyźni mają, jak i kobiety zresztą, repertuar recitatywów, kantylen, nokturnów, motywów (trzebaż powiedzieć recept, mimo że chodzi o miłość?), które uważają za swą wyłączną własność. Ludzie, którzy dojdą do wieku Stefana, starają się zrećźnie rozmieszczać klejnoty tego skarbcza w operze namiętności; ale widząc w przygodzie z Diną tylko przelotną zdobycz, paryżanin chciał się zapisać w jej sercu niezatartymi głoskami i rozsiał w ciągu owego października swoje najbardziej zalotne melodie i najuczeńsze barkarole. Słowem, wyczerpał wszystkie zasoby miłosnej *inscenizacji*, aby się posłużyć wyrażeniem odkradzionym teatralnej gwarze, które doskonale maluje tę sztukę.

„Jeśli mnie ta kobieta zapomni... — powiedział sobie niekiedy, wracając z Diną do zamku po długiej przechadzce po lasach — nie będę miał do niej żalu, znajdzie widocznie coś lepszego!...”

Kiedy dwie istoty wymieniły wzajem duety tej rozkosznej partycji i podobają się sobie jeszcze, można powiedzieć, iż kochają się naprawdę. Ale Lousteau nie miał czasu na to, aby się powtarzać, zamierzał bowiem opuścić Anzy w pierwszych dniach listopada: dziennik wzywał go do Paryża. Przed śniadaniem, w wilię wyjazdu dziennikarz i Dina ujrzeni małego La Baudraye wchodzącego z artystą z Nevers, restauratorem rzeźb.

— O co chodzi? — rzekł Lousteau — Co pan przerabia w zamku?

— Oto co zamierzam — odparł starowinka, prowadząc dziennikarza, żonę i prowincjonalnego artystę na terasę.

Ukazał na fasadzie nad bramą wjazdową szacowną tarczę podtrzymywaną przez dwie syreny, na której widniał stary herb rodu d'Uxelles.

— Chcę zastąpić herby domu d'Uxelles moimi; że zaś powtarzają się sześć razy na dwóch fasadach i na dwóch skrzydłach, to nie jest drobnostka.

— Twój herb datujący z wczoraj! — wykrzyknęła Dina — I to po roku 1830!...

— Czyż nie stworzyłem majoratu?

— Rozumiałbym, gdyby pan miał dzieci... — rzekł dziennikarz.

— Och! — odparł mały staruszek — Pani de La Baudraye jest jeszcze młoda, nie ma nic straconego.

Samochwalstwo to rozśmieszyło Stefana, który nie zrozumiał pana de La Baudraye.

— I cóż, *Dynuś* — rzekł do ucha pani de La Baudraye — i po cóż twoje wyrzuty?

Dina wyprosiła jeszcze dzień opóźnienia, pożegnanie kochanków odbyło się modą tych teatrzyków, które dają dziesięć razy z rzędu ostatnie przedstawienie kasowej sztuki. Ale ile wymienionych przyrzeczeń! Ile uroczystych ślubów żądanych przez Dinę i zaprzysiężonych bez trudu przez bezwstydnego dziennikarza! Z wyższością kobiety wyższej Dina odwiozła, z wiedzą i na oczach całej okolicy, Stefana do Cosne, w towarzystwie matki i pana de La Baudraye. Kiedy w dziesięć dni później Dina przyjęła w swoim salonie w La Baudraye pana de Clagny, Kajetana i pana Gravier, miała ten tupet, aby powiedzieć każdemu z nich: „Dzięki panu Lousteau dowiedziałam się, jak samolubną była wasza miłość”.

I cóż za piękne tyrady posypały się o mężczyznach, o naturze ich uczuć, o celu ich plugawej żądzы etc. Z trzech wielbicieli Diny, jeden pan de Clagny powiedział jej: „Kocham panią *mimo wszystko!*...” Toteż Dina wzięła go za powiernika i uraczyła wszystkimi słodyczami przyjaźni, jakie kobiety kandydują dla nieboraków dźwigających obrożę ubóstwianego niewolnictwa.

Wróciwszy do Paryża, Lousteau zatracił w kilka tygodni wspomnienie pięknych dni spędzonych w Anzy. Oto czemu. Lousteau żył z pióra. W tym wieku, zwłaszcza od czasu tryumfu mieszczaństwa, które dalekie jest od naśladowania Franciszka I albo Ludwika XIV, *żyć z pióra* jest pracą, przed którą wzdrygnęliby się skazańcy, woleliby śmierć. *Życ z pióra*, czy to nie znaczy tworzyć? Tworzyć dziś, jutro, zawsze... lub udawać, że się tworzy; otóż pozór kosztuje równie drogo jak rzeczywistość! Poza felietonem w dzienniku, pracą podobną do skały Syzyfa, która spadała nań co tydzień jak regularna katastrofa, Stefan pracował jeszcze w trzech czy czterech miesięcznikach. Ale uspokójcie się: nie wkładał zgoła w swoje produkcje sumienności artysty. Należał on przez swą łatwość, niedbałość, jeśli chcecie, do pisarzy wołanych mianem *wyrobników pióra* lub *literatów z rzemiosła*. W literaturze w dzisiejszym Paryżu *rzemiosło* jest rezygnacją z pretensji do jakiegokolwiek stanowiska. Kiedy pisarz nie może lub nie chce już być niczym, zostaje dziennikarzem, *profesjonalistą*. Prowadzi wówczas życie dość przyjemne. Debiutanci, grafomanki, aktorki zaczynające i kończące karierę, autorowie i księgarze głaszczą i fetują te pióra do *wszystkiego*. Lousteau, puściwszy się na te fale, potrzebował płacić jedynie mieszkanie. Miał łożę we wszystkich teatrach. Sprzedaż książek, z których zdawał lub nie zdawał sprawę, opłacała mu rękawicznika; toteż powiadał owym autorom, którzy „wychodzą spod prasy” własnym kosztem: „Mam zawsze pańską książkę w rękach”. Okładał ludzkie ambicje haraczem w rysunkach, obrazach. Wszystkie dni były wypełnione obiadami, wieczory teatrem, ranki przyjaciółmi, wizytami, włóczęgą. Felieton jego, artykuły i dwie nowele na rok, jakie pisywał dla tygodników, były serwitutem obciążającym to szczęśliwe życie. A jednak Stefan walczył dziesięć lat, aby dojść do tej pozycji! Wreszcie, znany w całej literaturze, lubiony tak za dobre, jak za złe, które czynił z niewzruszoną dobroduszością, pozwalał sobie płynąć z wiatrem, nie dbając o przyszłość. Królował wśród nowicjuszków, miał przyjaciół, to znaczy nawyki trwające od piętnastu lat, ludzi, z którymi jadał kolacje i obiady, z którymi baraszkował. Zarabiał do siedmiu lub ośmiuset franków na miesiąc, którą to sumę rozrzutność właściwa biedakom czyniła niewystarczającą. Toteż Lousteau czuł się w tej chwili takim samym nędzarzem co w swoich początkach w Paryżu, kiedy mówił sobie: „Gdybym miał pięćset franków na miesiąc, byłbym bardzo bogaty!”. Oto przyczyna tego zjawiska. Lousteau mieszkał przy ulicy *des Martyrs*, w parterowym mieszkanku z ogródkiem, umeblowanym wspaniale. Z początkiem instalacji, w 1833 Stefan zawarł z tapicerem układ, który na długi czas uszczuplał jego dochody. Mieszkanie to kosztowało tysiąc dwieście franków rocznie. Otóż styczeń, kwiecień, lipiec i październik były to, wedle jego określenia, miesiące chude. Czyny i rachunki odźwierzego czyniły spustoszenie. Mimo to Lousteau nie odmawiał sobie dorożek, wydawał tak samo setkę franków na śniadania, wypalał cygar za trzydzieści franków i nie umiał odmówić ani obiadu, ani sukni przygodnym kochankom. Czerpał wówczas tak skutecznie z niepewnych zawsze dochodów następnego miesiąca, że zarabiając siedemset lub osiemset franków miesięcznie, tak samo nie mógł dojść do stu franków w puszcze na kominku, jak kiedy zarabiał niespełna dwieście franków w roku 1822. Znużony niekiedy tym wirem literackiego życia, znużony przyjemnościami jak kurtyzana, Lousteau opuszczał prąd, siadał nad urwistym brzegiem i powiadał do paru najbliższych przyjaciół, do Natana, do Bixiou, paląc cygaro w swoim ogródku, na trawniku zawsze zielonym, wielkości jadal-

nego stołu: „Jak my skończymy? Siwe włosy nawołują nas do statku!...” „Ba, pożenimy się, kiedy zechcemy zająć się naszym małżeństwem tyle, ile się zajmujemy dramatem lub książką” — mówił Natan. „A Floryna?” — odpowiadał Bixiou. „Každy z nas ma swoją Florynę” — mówił Stefan, rzucając ogarek na trawę i myśląc o pani Schontz.

Pani Schontz była to osoba dość piękna, aby móc sprzedawać bardzo drogo używalność swej piękności, zachowując równocześnie jej kapitał Stefanowi, wybrańcowi z miłości. Jak wszystkie te kobiety, które od nazwy kościoła, dokoła którego się skupiły, nazwano *loretkami*, mieszkała przy ulicy Flechier, o dwa kroki od felietonisty. Loretka ta znajdowała satysfakcję miłości własnej w tym, aby imponować przyjaciółkom, chępiąc się miłością głośnego pisarza. Przytoczone szczegóły dotyczące życia i finansów Stefana są potrzebne, ten niedostatek bowiem i ta egzystencja cygana, któremu zbytek Paryża był niezbędny, miały okrutnie wpłynąć na przyszłość Diny. Ci, którzy znają cyganerię paryską, zrozumieją wówczas, w jaki sposób po upływie dwóch tygodni dziennikarz, skąpawszy się z powrotem w środowisku literackim, mógł śmiać się z baronowej w kółku przyjaciół lub nawet z panią Schontz. Co do tych, którym to postępowanie wyda się haniebne, dość zbyteczne byłoby przedkładać im usprawiedliwienia, z pewnością niewystarczające.

— Cóżś porabiał w Sancerre? — spytał Bixiou Stefana, kiedy się spotkali.

— Oddałem przysługę trzem zacnym prowincjałom, poborcy, kuzynkowi i prokuratorowi, którzy od dziesięciu lat kołowali koło jednej z owych stodziesiątych Muz ozdabiających wszystkie departamenty, nie tykając jej, tak jak na proszonych obiadach nie tyka się deseru, póki jakiś śmiałek nie napocznie go nożem.

— Muza i poeta — odparł Bixiou — ależ to istna homeopatyczna kuracja.

Dziesiątego dnia Lousteau otrzymał list z pieczęcią Sancerre.

— Dobrze, dobrze! — rzekł Lousteau. — „Kochanku drogi, bóstwo mego serca i mojej duszy...” Dwadzieścia bitych stron: jedna na dzień i datowane o północy. Pisze do mnie, kiedy jest sama... Biedna kobieta. A, a! *Post scriptum*: „Nie śmiem cię prosić, abyś pisał tak, jak ja robię, co dzień; ale mam nadzieję, iż będę miała od mego ukochanego bodaj dwa wiersze każdego tygodnia dla uspokojenia...” Cóż za szkoda to palić! Kapitalnie napisane — powiedział sobie Lousteau, który rzucił w ogień dziesięć ćwiartek, przeczytawszy je. — Ta kobieta jest stworzona do pisania *od wiersza*.

Lousteau niezbyt obawiał się pani Schontz, która kochała go *dla pięknych oczu*; ale wyparował jednego z przyjaciół z serca pewnej margrabiny. Margrabina, kobieta dość sobie swobodna, zjawiała się czasem u niego niespodzianie, wieczorem, dorożką, zakwefiona i pozwalała sobie w charakterze literatki plądrować po szufladach. W tydzień później Stefana, który ledwie przypominał sobie Dinę, wprawił w osłupienie nowy pakiet z Sancerre: osiem ćwiartek, szesnaście stron! Usłyszał krok kobiety, zląkł się inwazji margrabiny i rzucił te urocze i rozkoszne dowody miłości w ogień... nie czytając!

— List od kobiety! — wykrzyknęła, wchodząc, pani Schontz — papier, pieczętka zanadto ładnie pachną...

— Proszę pana — rzekł posłaniec pocztowego urzędu, ustawiając w przedpokoju dwa olbrzymie kosze. — Wszystko zapłacone. Czy zechce pan podpisać?

— Wszystko zapłacone? — wykrzyknęła pani Schontz. — To może pochodzić tylko z Sancerre.

— Tak, proszę pani — rzekł posłaniec.

— Twoja dziesiąta Muza jest osobą wysokiej inteligencji — rzekła loretka, rozpakowując koszyk, gdy Lousteau podpisywał — lubię Muzy, które znają się na gospodarstwie i popełniają jednym tchem odę i pasztet z zająca. Och! Co za śliczne kwiaty!... — wykrzyknęła, otwierając drugi koszyk — Ależ w całym Paryżu nie ma nic równie pięknego!... Co? Co? Zając, kuropatwy, pół sarny! Zaprosimy twoich przyjaciół i wydamy wspaniały obiad; Atalia ma osobliwy talent do przyrządzania sarniny.

Lousteau odpisał Dinie: ale zamiast odpowiedzieć z serca, nadrabiał dowcipem. List stał się przez to tym niebezpieczniejszy, podobny był do listów Mirabeau do Zofii. Styl prawdziwych kochanków jest mdły. To czysta woda, która pozwala oglądać dno serca pośród wybrzeży zdobnych drobiazgami życia, ubarwionych owymi kwiatami duszy, rozdącymi się co dzień, których czar jest upajający, ale jedynie dla dwojga istot. Toteż gdy list miłosny może w czytaniu zrobić przyjemność komuś trzeciemu, z pewnością wyszedł

z głowy, a nie z serca. Ale kobiety wiecznie będą się na to łapały; sądzą wówczas, iż są jedynym źródłem tych skarbów dowcipu.

Około grudnia, Lousteau nie czytał już listów Diny, które gromadziły się w szufladzie zawsze otwartej komody, napawając zapachem sterty koszul. W tej epoce zdarzył się felietoniście jeden z owych trafów, które tacy jak on cyganie zwykli chwycić oburącz za włosy. W połowie miesiąca pani Schontz, która interesowała się bardzo Stefanem, posłała doń pewnego ranka, aby zaszedł do niej w ważnej sprawie.

— Mój drogi, możesz się ożenić — rzekła.

— Często, mój aniołku, na szczęście!

— Kiedy mówię ożenić się, znaczy zrobić dobrą partię. Nie masz przesądów, nie potrzeba więc owijać w bawełnę; oto interes. Młoda osoba popełniła błąd, matka nie wie z tego ani całusa. Ojciec to uczciwy rejent pełen honoru; miał ten rozsądek, aby nic nie rozgłaszać. Chce wydać córkę za mąż w ciągu dwóch tygodni, daje w posagu sto pięćdziesiąt tysięcy franków, ma bowiem jeszcze troje dzieci; ale... to wcale niegłupie, dokłada sto tysięcy z rączki do rączki, aby pokryć mankament. Chodzi o starą mieszczańską rodzinę paryską...

— No a co? Czemuż kochanek się nie żeni?

— Nie żyje.

— Cóż za awantura! Już tylko w burżuazji zdarzają się takie rzeczy!...

— Może sobie wyobrażasz, że to jaki zazdrosny brat zabił uwodziciela?... Młody człowiek umarł najgłupiej w świecie na zapalenie płuc, którego się nabawił wychodząc z teatru. Był to pierwszy dependent, bez grosza, uwiódł pannę, aby zdobyć kancelarię. Istna kara niebios!

— Skądże to wiesz?

— Od Malagi, rejent jest jej mecenasem.

— Jak to! To Cardot, syn tego małego upudrowanego staruszka z harcapem, pierwszego protektora Florentyny¹⁵?

— Właśnie. Malaga, której kochanek jest młodym, osiemnastoletnim muzykusem, nie może wedle sumienia żenić go w tym wieku, nie ma jeszcze żadnej racji życzyć mu czegoś podobnego. Zresztą Cardot chce człowieka co najmniej trzydziestoletniego. Temu rejentowi, jak sądzę, bardzo będzie pochlebiało mieć za zięcia Sławę. Zatem puknij się w głowę, Stefanku? Placisz długi, stajesz się panem dwunastu tysięcy renty i nie masz przykrości fabrykowania samemu dziecku; chyba dość korzyści! Ostatecznie poślubiasz wdowę, która nie będzie zapewne niepokieszona, starzy mają pięćdziesiąt tysięcy renty poza kancelarią; pewnego dnia czeka cię zatem co najmniej piętnaście tysięcy franków renty i wchodzisz w rodzinę, która pod względem politycznym znajduje się w bardzo ładnej pozycji. Cardot jest szwagrem starego Camusot, posła, który tak długo żył z Fanny Beaupré.

— Prawda — rzekł Lousteau — stary Camusot zaślubił starszą córkę nieboszczyka ojczulka Cardot i razem uprawiali swoje lampartki.

— Widzisz! — odparła pani Schontz — Pani Cardot, rejencina, jest z domu Chiffreville, fabryka produktów chemicznych, dzisiejsza arystokracja, bagatela, potas!... Tu kryje się odwrotna strona, będziesz miał straszną teściową... och! Kobieta zdolną zabić córkę, gdyby wiedziała w jakim stanie... Pani Cardot jest dewotka, wargi ma niby dwie różowe spłowiałe wstążeczki. Ta kobieta nigdy by nie przyjęła lamparta takiego jak ty; w szlachetnej intencji szpiegowałaby twoje życie domowe i przeniknęła całą twą przeszłość; ale Cardot robi, powiada, użytek z władzy ojcowskiej. Biedny człowiek będzie musiał być bardzo czuły przez kilka dni dla żony, kobiety z drewna, mój aniołku; Malaga, która ją widziała, nazywa ją szczotką pokuty. Cardot ma czterdzieści lat, będzie merem swego okręgu, kiedyś może posłem. Gotów jest w miejsce stu tysięcy franków ustąpić ci ładny domek przy ulicy św. Łazarza, willę w ogrodzie, która go kosztowała tylko sześćdziesiąt tysięcy podczas *klapy* lipcowej; sprzeda ci ją, aby ci dać sposobność bywania w domu, obejrzenia córki, spodobania się matce... To by ci dało minę posiadacza w oczach pani Cardot. Słowem, będziesz jak książę w swojej willi. Przez wpływy Camusota postarasz się o nominację na bibliotekarza w jakim ministerium, gdzie nie ma książek. Więc policz:

¹⁵Florentyna — [por.] *Kawalerskie gospodarstwo, Stracone złudzenia, Pierwsze kroki*. [przypis tłumacza]

jeśli umieścisz kapitał jako kaucję dziennika, będziesz miał dziesięć tysięcy franków renty, ty zarabiasz sześć, biblioteka da ci cztery... Znajdźże co lepszego? Gdybyś się ożenił z jagniątkiem bez zmayı, mogłaby się zmienić w wietrznicę po dwóch latach... Ostatecznie, cóż w tym jest? Pobrana z góry dywidenda. To w modzie dzisiaj. Jeśli mnie usłuchasz, trzeba przyjść jutro na obiad do Malagi. Zobaczysz tam teścia, dowie się o niedyskrecji popełnionej rzekomo przez Malagę i wówczas masz go w garści. Co do twojej przyszłej żony... ba!... Ależ jej błąd daje ci wszelką swobodę...

— Au! Twoja mowa jest równie wolna od obłudy jak kula armatnia.

— Kocham cię bezinteresownie, to wszystko, i umiem myśleć. I cóż! Czegóż stoisz jak figura woskowa? Nie ma co medytować. Małżeństwo to gra w cetno i lichy; ot, wyrzuciłeś cetno.

— Dam ci odpowiedź jutro — rzekł Lousteau.

— Wolalabym od razu, Malaga przygotowałaby ci grunt dziś wieczór.

— A więc!... Dobrze...

Lousteau spędził wieczór wypisując do margrabiny długi list, w którym wywodził jej racje zmuszające go do małżeństwa: swoją stałą nędzę, lenistwo wyobraźni, siwe włosy, moralne i fizyczne znużenie, słowem cztery stronice argumentów. „Dina... ba! Poślę jej kartę z zawiadomieniem — rzekł sobie. — Jak mówi Bixiou, nie mam równego w tym, aby uciąć ogon miłości...” Lousteau, który zrazu grał komedię przed sobą, doszedł nazajutrz do tego, iż lękał się, aby małżeństwo nie spaliło na panewce. Toteż był przemity dla rejenta.

— Znałem — powiedział — nieboszczyka pańskiego ojca u Florentyny, musiałem znać i pana u młodej Turquet. Co to jest tęga rasa! Był to bardzo zacny człowiek i wielki filozof, ojczulek Cardot, albowiem (pozwoli szanowny pan) nazywaliśmy go w ten sposób. W owym czasie Floryna, Florentyna, Tulia, Koralia i Marieta trzymały się niby pięć palców u dłoni... To już będzie temu z piętnaście lat. Pojmuje pan, że minęła mi pora szaleństw. W owym czasie zabawa była dla mnie wszystkim, dziś mam ambicję, ale żyjemy w epoce, w której aby dojść do czegoś, trzeba nie mieć długów, mieć majątek, żonę i dzieci. Skoro będę opłacał podatek, skoro będę właścicielem mego dziennika zamiast być współpracownikiem, zostaną posłem tak dobrze jak każdy inny.

Panu Cardot trafiło do smaku to wyznanie wiary. Lousteau wystąpił w pełnym rynsztunku, spodobał się rejentowi, który, rzecz dość łatwa do pojęcia, czuł się swobodniejszy z człowiekiem znającym sekrety jego ojca. Nazajutrz Lousteau zjawił się jako nabywca willi przy ulicy św. Łazarza na łonie rodziny Cardot, a w trzy dni później był tam na obiedzie.

Cardot mieszkał w starym domu w pobliżu Chatelet. Wszystko oddychało tam za-
możnością. Oszczędność chroniła najmniejsze złocenia zieloną gażą. Meble w pokrowcach. O ile nie doznawało się żadnej obawy o solidność domu, czuło się chęć ziewania od pierwszego kwadransa. Nuda czaiła się we wszystkich meblach. Draperie zwisały smutno. Jadalnia podobna była do jadalni Harpagona. Gdyby nawet Stefan już przedtem nie znał Malagi, z samego rzutu oka na to wnętrze byłby odgadł, iż egzystencja rejenta toczy się na innej scenie. Dziennikarz ujrział słuszną młodą osobę, blondynkę o niebieskich oczach, nieśmiały i tęsknych zarazem. Zyskał sympatię starszego brata, czwartego dependenta w kancelarii ojcowskiej, którego sława literacka wabiła w swoje sidła, a który miał być spadkobiercą Cardota. Młodsza siostra miała dwanaście lat. Lousteau, opancerzony w słodycz jezuita, okazał się w rozmowie z matką nabożnym i monarchistą, był wstrzemięźliwy, oblesny, stateczny, szafujący komplementami.

W trzy tygodnie po prezentacji, za czwartym obiadem, Felicja Cardot, która przyglądała się Stefanowi spod oka, podała mu filiżankę kawy we framudze i rzekła cichym głosem, ze łzami w oczach:

— Całe życie obrócę na to, aby panu odwdziaczyć poświęcenie dla biednej dziewczyny...

Lousteau uczuł się wzruszony, tyle było wyrazu w tym spojrzeniu, akcencie, geście. „Ta mała mogłaby dać szczęście uczciwemu człowiekowi” — powiedział sobie, ściskając jej rękę za całą odpowiedź.

Pani Cardot spoglądała na zięcia jak na człowieka pełnego przyszłości; ale wśród wszystkich cnót, jakie mu przypisywała, głównie zachwycona była jego moralnością. Za

podszepciem kutego rejenta Stefan dał jej słowo, że nie ma ani naturalnego dziecka, ani żadnego stosunku, który by mógł narazić szczęście drogiej Felisi.

— Może się to panu wyda przesadą z mej strony — mówiła dewotka — ale kiedy się daje w ręce mężczyzny taką perłę jak moja Felisia, trzeba czuwać nad jej przyszłością. Nie jestem z tych matek, które są uszczęśliwione, kiedy się pozbędą córki. Mój mąż jest to człowiek szybkiej decyzji, napiera na to małżeństwo, chciałby, aby już było po wszystkim. Różnimy się tylko w jednym... Mimo że z człowiekiem takim jak pan, pisarzem, którego młodość poświęcona pracy uniknęła zepsucia dzisiejszych czasów, można być bezpiecznym, mimo to miałby pan o mnie liche pojęcia, gdybym wydała córkę za mąż z zamkniętymi oczami. Wiem dobrze, że pan nie jesteś niewiniątkiem i byłabym bardzo niespokojna o moją Felisję — to szepnęła matrona do ucha — gdyby tak było; ale gdyby pan miał mieć jakiś stosunek... Ot, słyszał pan zapewne o pani Roguin, żonie rejenta, który zyskał, nieszczęściem dla naszej korporacji, tak smutną sławę. Pani Roguin utrzymuje stosunek, i to od 1820, z pewnym bankierem...

— Tak, du Tillet¹⁶ — odparł Stefan i ugryzł się w język, spostrzegłszy się na nieostrożności, z jaką przyznawał się do stosunków z du Tilletem.

— Otóż, drogi panie, gdybyś pan był matką, czy nie zadrżałbyś na myśl, iż córka twoja może doznać losu pani du Tillet? W jej wieku, będąc z domu Granville, mieć za rywalkę kobietę przeszło pięćdziesięcioletnią!... Wolałabym widzieć córkę na marach, niż dać ją człowiekowi mającemu stosunek z mężatką... Gryztkę, aktorkę wreszcie bierze się i porzuca! Wedle mnie te kobiety nie są niebezpieczne, miłość jest dla nich rzemiosłem, nie zależy im na nikim, jednego tracą, odnajdą dwóch!... Ale kobieta, która chybiła obowiązkowi, musi przywiązać się do swego błędu, znajduje usprawiedliwienie jedynie w swej stałości, o ile podobna zbrodnia jest kiedy do usprawiedliwienia! Tak przynajmniej ja rozumiem błąd przyzwoitej kobiety i oto co czyni ją tak niebezpieczną...

Miał zastanawiać się nad treścią tej oracji, Stefan żartował na ten temat u Malagi, dokąd udał się z przyszłym teściem; rejent bowiem i dziennikarz przystali do siebie znakomicie. Lousteau zaczął już w oczach swoich bliskich przybierać pozę ważnego człowieka: życie jego zyska wreszcie treść, przypadek dał mu szczęście w rękę: zostanie w najbliższym czasie właścicielem uroczej willi przy ulicy św. Łazarza; żeni się, bierze śliczną pannę, będzie miał około dwudziestu tysięcy franków renty; będzie mógł dać pole swej ambicji, młoda osoba kocha go, spokrewni się z kilkoma czcigodnymi rodzinami... Słowem, płynął pełnymi żaglami po błękitnym jeziorze nadziei. Pani Cardot zapragnęła widzieć ryciny *Gil Blasa* jednego z owych wydawnictw *ilustrowanych*, które inicjowało wówczas księgarstwo francuskie, i właśnie poprzedniego dnia Lousteau dostawił jej pierwsze zeszyty. Rejencina miała swój plan, pożyczła książkę jedynie po to, aby ją oddać, chciała mieć pozór niespodzianego najścia przyszłego zięcia. Widok tego kawalerskiego mieszkania, które mąż malował jej w zachwycających barwach, więcej, twierdziła, niż co bądź innego objaśni ją co do prowadzenia dziennikarza. Bratowa jej, pani Camusot, która nie знаła fatalnego sekretu, bała się tego małżeństwa dla siostrzenicy. Pan Camusot, radca apelacyjny, opowiedział swojej macosze, pani Camusot, siostrze pana Cardot, rzeczy mało pochlebne dla dziennikarza. Lousteau, ten człowiek tak sprytny, nie widział nic niezwykłego w tym, iż żona bogatego rejenta chce obejrzeć tom kosztujący piętnaście franków, nim go kupi! Nigdy inteligentny człowiek nie zniża się do zastanawiania nad psychologią „kołtuna”, który dzięki tej nieuwadze jest dlań zamkniętą księgą; podczas gdy artysta dworuje sobie z *mydlarzy*, oni mają czas wystrychnąć go na dudka.

W pierwszych dniach stycznia 1837 pani Cardot i jej córka wzięły tedy dorożkę i udały się na ulicę *des Martyrs*, oddać „przyszłemu” Felicji posyty *Gil Blasa*, uszczęśliwione obie, iż zobaczą mieszkanko dziennikarza. Tego rodzaju wizyty przyjęte są w starych mieszczańskich rodzinach. Odźwiernego nie było w domu, ale córka jego, dowiedziawszy się od godnej mieszczki, że mówi z teściową i przyszłą żoną pana Lousteau, wydała im klucz, tym chętniej, iż pani Cardot wsunęła jej sztukę złota. Było około południa, pora, w której dziennikarz wracał ze śniadania z Kawiarni Angielskiej. Mijając przestrzeń, która znajduje się pomiędzy Matką Boską Loretańską a ulicą *des Martyrs*, Lousteau spojrzął przypadkiem na dorożkę, która pięła się pod górę ulicą *du Faubourg Montmartre* i miał

¹⁶du Tillet — [por.] *Córka Ewy, Cezar Birotteau* etc. [przypis tłumacza]

uczucie, że śni, poznając twarz Diny! Nogi wryły mu się w ziemię, skoro ujrzał istotnie swoją *Dynuškę* w oknie dorożki.

— Co ty tu robisz? — wykrzyknął.

Niepodobna było tytułować *panią* kobietę, którą należało co rychlej wyprowadzić.

— Jak to, kochanie — wykrzyknęła — nie czytałeś moich listów?

— Owszem — odparł Lousteau.

— A więc?

— A więc?

— Jesteś ojcem — odparła dama z prowincji.

— Ba! — wykrzyknął, nie zwracając uwagi na barbarzyństwo tego wykrzyknika. „Ostatecznie — rzekł sobie w duchu — trzeba ją przygotować do katastrofy...”

Dał znak dorożce, aby się zatrzymała, podał rękę pani de La Baudraye i zostawił woźnicę z pojazdem pełnym tobołów, obiecując sobie odesłać, *nie mieszkając*, kobietę i pakunki tam, skąd przybyli.

— Panie! Panie! — krzyknęła mała Pamela.

Dziewczynka nie była pozbawiona sprytu i wiedziała, że trzy kobiety nie powinny się spotkać w mieszkaniu kawalera.

— Dobrze! dobrze! — rzekł dziennikarz, prowadząc Dinę.

Pamela pomyślała wówczas, że ta nieznajoma jest jakąś krewną, dodała wszakże:

— Klucz jest w drzwiach, ktoś jest u pana!

W pomieszczeniu swoim, wśród potoku zdań wypowiedzianych przez Dinę, Stefan usłyszał: *Mama jest* u pana, jedyna okoliczność, która dla niego była możliwa, i wszedł. Narzeczona i teściowa znajdujące się w sypialni wtuliły się w kącik, widząc Stefana z kobietą.

— Wreszcie, Stefanie, aniele mój, jestem twoją na całe życie! — wykrzyknęła Dina, rzucając mu się na szyję i ściskając go, gdy zamykał drzwi od wewnątrz. Życie w tym Anzy było dla mnie jedną agonią, nie mogłam już... a w dniu, w którym trzeba było oznajmić to, co dziś jest moim szczęściem... nie umiałam się na to zdobyć. Oto masz razem swą żonę i dziecko. Och! Nie pisać do mnie! Zostawiać mnie dwa miesiące bez wiadomości!

— Ale, Dino, stawiasz mnie w położeniu tak kłopotliwym...

— Kochasz mnie?

— Jakżeżbym cię nie kochał?... Ale czy nie lepiej było zostać w Sancerre... Jestem tu w najgłębszej nędzy i lękam się wciągnąć cię...

— Twoja nędza będzie dla mnie rajem. Będę żyć tutaj, nie ruszając się na krok...

— Mój Boże, to się tak ładnie mówi, ale... — Dina usiadła i zalała się łzami, słysząc te szorstkie słowa. Lousteau nie mógł się oprzeć temu wybuchowi, utulił baronową, uściskał ją. — Nie płacz, Dynuška! — wykrzyknął. Wymawiając te słowa, felietonista ujrzał w lustrze widmo pani Cardot, która z głębi patrzyła nań. — No, Dynuška, idź sama z Pamelą wyładować walizy — rzekł jej do ucha. — No, nie płacz, będziemy szczęśliwi. — Odprowadził ją do drzwi i wrócił do rejencji, aby zażegnać burzę.

— Mój panie — rzekła pani Cardot — niezmiernie jestem rada, iż zechciałam się przyjrzeć własnymi oczami gospodarstwu człowieka, który ma zostać moim zięciem. Choćby Felisia miała to śmiercią przyplacić, nie będzie żoną człowieka takiego jak pan. Pierwszym pańskim obowiązkiem jest szczęście twojej *Dynuški*!

I dewotka wyszła, uprowadzając Felisję, która płakała, Felisia bowiem przyzwyczyła się do Stefana. Straszliwa pani Cardot wsiadła do dorożki, zmierzwiwszy groźnym spojrzeniem Dinę, która czuła jeszcze w sercu sztylet owego: *To się tak ładnie mówi*, ale która, podobna wszystkim kochającym kobietom, wierzyła mimo to w: *Nie płacz, Dynuška*. Lousteau, któremu nie zbywało na pewnej determinacji, jaką dają perypetie burzliwego życia, rzekł sobie: „Dynuška jest szlachetna; skoro raz dowie się o moim małżeństwie, poświęci się dla mej przyszłości, a wiem, jak się wziąć do tego, aby ją uwiadomić”. Zachwycony, iż znalazł podstęp, którego skutek zdawał mu się pewny, zaczął tańczyć na znaną melodię: „Larifla! fla, fla! Następnie, raz omotawszy Dynuškę — powiadał sobie w duchu — pójdę opowiedzieć cały romans mamie Cardot: uwiodłem jej Felisję, którą poznałem... mniejsza o to gdzie... Felicja, występna z miłości, nosi w łonie zakład naszego szczęścia i... larifla! fla, fla! Ojciec nie może mi zadać łgarstwa, fla, fla... ani córka, larifla! Ergo, rejent, rejencina i rejentówna są w saku, larifla, fla, fla!...” Ku wielkiemu swemu zdumieniu Dina zastała Stefana tańczącego niedozwolony taniec.

— Twój przyjazd i nasze szczęście czynią mnie pijanym z radości!... — rzekł, tłumacząc jej ów napad szaleństwa.

— A ja myślałam, że mnie już nie kochasz!... — wykrzyknęła biedna kobieta, upuszczając torebkę i płacząc ze szczęścia na fotelu, na który się osunęła.

— Rozgość się, mój aniołku — rzekł Stefan, śmiejąc się w duchu — muszę napisać dwa słowa, aby się wymówić z kawalerskiego obiadku, chcę mieć wszystek czas dla ciebie. Rozkazuj, jesteś tu u siebie.

Stefan napisał do Bixiou¹⁷:

„Mój drogi, baronowa spadła mi na kark i gotowa jest udaremnić moje małżeństwo, jeżeli nie wprowadzimy na scenę jednej z najoklepańszych sztuczek tysiąca i jednego wodewilów z *Gymnase*. Zatem liczę na ciebie, że przybędziesz jako starzec molierowski połajac swego siostrzeńca Leandra za jego szaleństwa, gdy dziesiąta Muza będzie ukryta w moim pokoju; chodzi o to, aby ją wziąć na uczucie, jedź ostro, bądź brutalny, przypiecz ją do żywego. Co do mnie, rozumiesz, jestem ślepo jej oddany i będę głuchy, aby ci dać prawo krzyczeć. Przybywaj, jeżeli możesz, o siódmej.

Twój stary kompan,

E. Lousteau”.

Wysławszy ten list przez posłańca pod adresem człowieka, który jak nikt w Paryżu lubował się w owych psikusach zwanych przez artystów *kawalami*, Lousteau rozwinął na pozór wielką gorliwość w zainstalowaniu Muzy z Sancerre; zajął się rozmieszczeniem wszystkich rzeczy, które przywiozła; zapoznał ją ze sprzętami i personelem domowym, z tak zupełną dobrą wiarą, z przyjemnością, która tak przelewała się w słowach i pieśczo- tach, że Dina mogła się uważać za kobietę najbardziej kochaną pod słońcem. Apartament ten, w którym najmniejsze rzeczy nosiły piętno mody, podobał się jej o wiele bardziej niż zamek w Anzy. Dziennikarz wezwał Pamelę Mignon, ową inteligentną czternastoletnią dziewczynkę, pytając, czy zechce być panną służącą imponującej baronowej. Zachwycona Pamela objęła natychmiast funkcję, idąc zamówić obiad w restauracji na bulwarze. Nie widząc żadnych sprzętów potrzebnych do życia, Dina zrozumiała wówczas, jaka nędza kryła się pod na wskroś powierzchownym zbytkiem tego kawalerskiego gospodarstwa. Obejmując w posiadanie szafy, komody, tworzyła najśłodsze projekty: zmieni obyczaje Stefana, obudzi w nim zamiłowanie domu, stwarzając mu dobrobyt we własnym mieszkaniu. Nowość położenia kryła oczom Diny całe jego niebezpieczeństwo; widziała w odwzajemnianej miłości rozgrzeszenie swego błędu, nie sięgała jeszcze oczyma poza ściany tego domu. Pamela, której inteligencja stała na wyżynach loretki, poszła prosto do pani Schontz poprosić ją o srebro, opowiadając, co się zdarzyło Stefanowi. Oddawszy cały sprzęt do rozporządzenia Pameli, pani Schontz pobiegła do Malagi, swojej serdecznej przyjaciółki, aby uprzedzić reagenta o nieszczęściu, jakie spadło na przyszłego zięcia. Wolny od niepokoju o swoje małżeństwo, dziennikarz był coraz serdeczniejszy dla gościa z prowincji. Obiad odbył się wśród tych rozkosznych dzieciństw dwojga kochanków, wreszcie swobodnych i szczęśliwych, iż są razem. Po kawie, gdy Lousteau trzymał Dinę na kolanach przy kominku, ukazała się Pamela pomieszana¹⁸.

— Przyszedł pan Bixiou! Co mu powiedzieć? — spytała.

— Wejdz do gabinetu — rzekł dziennikarz do kochanki — zaraz go wyprawię; to jeden z moich najbliższych przyjaciół, któremu zresztą trzeba będzie wyznać odmianę w mym życiu.

— Och! Och! Dwa nakrycia i niebieski aksamitny kapelusik — wykrzyknął szczywany wyga — ...odchodzę... Oto co znaczy żenić się, trzebaż się pożegnać z kawalerstwem! Jak człowiek czuje się bogaty w chwili, gdy się przeprowadza, hę?

— Alboż ja się żenię? — rzekł Lousteau.

— Jak to! Więc już się nie żenisz? — wykrzyknął Bixiou.

— Nie!

¹⁷Bixiou — [por.] *Kawalerskie gospodarstwo, Stracone złudzenia* etc. [przypis tłumacza]

¹⁸ *pomieszana* — dziś raczej: zmieszany. [przypis edytorski]

— Nie! Ej, do paraszka? Czyżbyś naprawdę miał popełnić głupstwo? Jak to!... Ty, który dzięki błogosławieństwu niebios znalazłeś dwadzieścia tysięcy franków renty, palacyk, żonę, świetny kwiat bogatego mieszczaństwa...

— Dosyć, dosyć, Bixiou, wszystko skończone, idź sobie.

— Iść sobie! Mam prawa przyjaciela, nadużywam ich. Cóż się stało?

— Przyjechała ta pani z Sancerre, jest matką, będziemy żyć razem szczęśliwi przez resztę naszych dni... Dowiedziałbyś się o tym jutro, na jedno wyjdzie powiedzieć ci dziś.

— Tam do kata! Za dużo cegieł na głowę naraz! Ale jeżeli ta kobieta kocha cię szczerze i naprawdę, w takim razie wróci, skąd przybyła. Alboż kobieta z prowincji zdoła się kiedykolwiek stać paryżanką? Będziesz przez nią męki cierpiał we wszystkich ambicjach. Czy zapominasz, co to kobieta z prowincji? Będzie równie nudna w szczęściu co w nieszczęściu, rozwinię tyleż talentu w tym, aby unikać wdzięku, ile paryżanka wkłada w to, aby go wynaleźć. Słuchaj, Lousteau, to, że miłość każe ci zapomnieć, w jakich czasach żyjemy, pojmuję; ale ja, twój przyjaciel, nie mam opaski mitologicznej na oczach... No więc zastanów się nad swą pozycją. Pływasz od piętnastu lat w świecie literackim, nie jesteś już młody, wyświechtaleś się jak rękaw kancelisty! Tak, mój stary, robisz jak paryscy ulicznicy, którzy, aby ukryć dziury w pończochach, zawijają je: nosisz już łdki na pięcie! Słowem, twój dowcip ledwie dyszy, starowinka. Twoje koncepta bardziej są znane od sekretnego lekarstwa...

— Powiem ci jak Regent kardynałowi Dubois: *Dosyć już tego kopania w...!* — wykrzyknął Lousteau, śmiejąc się.

— Ha! Stary młodzieńcze — odparł Bixiou — czujesz w ranie żelazo chirurga! Wyczerpałeś się, nieprawdaż? I ot, w ogniu młodości, pod naporem nędzy, cóżes zyskał? Nie jesteś na świeczniku i nie masz odłożonych ani tysiąca franków. Oto twoja pozycja w cyfrach. Czy będziesz mógł na schyłku sił utrzymać piórem dom? Toć twoja połowica, jeśli jest uczciwa, nie będzie miała środków loretki, aby wydobyć jedną i drugą *tysiączkę z głębokości*, w których ją chowa filister? Zarzynasz się po prostu. To tylko strona finansowa. Przypatrzmyż się stronie politycznej. Żeglujemy w epoce na wskroś mieszczańskiej, w której honor, cnota, delikatność, talent, wiedza, geniusz jednym słowem polega na tym, aby płacić weksle, nie być nic dłużnym nikomu i dobrze chodzić koło interesików. Bądź stateczny, bądź przyzwoity, miej żonę i dzieci, plać czynsze i podatki, pełń dyżury narodowego gwardzisty, bądź podobny do wszystkich *gemajnow* swojej kompanii, a możesz zabiegać się o wszystko, zostać ministrem, a masz szanse, bo nie nazywasz się Montmorency! Miałeś oto dopełnić warunków wymaganych dla męża stanu, byłeś zdolny robić wszystkie świństwa potrzebne w tym rzemiośle, nawet odgrywać miernotę, byłbyś prawie że w naturalnej roli. I dla kobiety, która cię puści kaniem w terminie wszystkich wiecznych miłości, za trzy, pięć lub siedem lat, zużywszy twoje ostatnie siły umysłowe i fizyczne, obracasz się plecami do kwiatu mieszczaństwa, do całej przyszłości politycznej, do trzydziestu tysięcy franków renty, do szacunku świata... Czy na tym powinien być skończyć człowiek, który nie miał już złudzeń?... Mógłbyś ostatecznie gnieździć się z aktorką, która by ci przypadła do smaku, to jest, co się zowie, kwestia *gabinetowa*; ale żyć z kobietą zamężną? To się nazywa walić w samo centrum nieszczęścia! Płykać wszystkie jaszczurki grzechu bez żadnej z jego przyjemności...

— Dosyć, powiadam, rzecz zamyka się w tym słowie: kocham panią de La Baudraye i wolę ją od wszystkich majątków świata, od pozycji... Mogłem się dać odurzyć dymowi ambicji... ale wszystko znika wobec szczęścia zostania ojcem.

— A, giez ojcostwa cię ukąsił? Ależ, nieszczęśliwy, jest się ojcem dzieci tylko swojej prawej żony! Cóż znaczy smarkacz, który nie nosi twego nazwiska? To ostatni rozdział romansu! Zabiorą ci to twoje dziecko! Widzieliśmy ten temat od dziesięciu lat w dwudziestu wodewilach. Społeczeństwo, mój drogi, zaciąży nad wami wcześniej czy później. Odczytaj *Adolfa*! Och, mój Boże, widzę was, kiedy się już poznacie na wylot, widzę was nieszczęśliwych, bez szacunku świata, bez majątku, bijących się z sobą jak akcjonariusze spółki załapani przez dyrektora! Wasz dyrektor, moje aniołki, to szczęście.

— Ani słowa więcej, Bixiou.

— Ależ ja ledwie zacząłem! Słuchaj, mój drogi. Wiele od pewnego czasu nagadano złego o małżeństwie; ale poza tą zaletą, iż jest to najprostszy sposób ustalenia dziedzictwa, jedynie małżeństwo daje ładnym chłopcom bez grosza sposób zrobienia majątku w dwa

miesiące: dlatego opiera się wszystkim tym atakom! Toteż nie ma kawalera, który by wcześniej lub później nie żałował, iż chybił z własnej winy małżeństwa z trzydziestoma tysiącami franków renty...

— Nie chcesz mnie tedy zrozumieć! — wykrzyknął Lousteau zrozpaczonym tonem. — Idźże... Ona jest tam.

— Daruj, czemu było nie powiedzieć wcześniej... jesteś pełnoletni... i ona także — dodał ciszej, dość głośno wszakże, aby Dina słyszała. — Ładnie ci każe odpokutować swoje szczęście...

— Jeśli to szaleństwo, chcę je popełnić... Bądź zdrów!

— Człowiek w morzu! — wrzasnął Bixiou.

— Niech diabli porwą przyjaciół, którzy czują się w prawie mówić człowiekowi kanzania — rzekł Lousteau, otwierając drzwi od gabinetu, gdzie ujrzał na fotelu panią de La Baudraye złamaną, wycierającą oczy haftowaną chusteczką.

— Po co ja tu przyjechałam — rzekła. — Och, Boże! Po co?... Stefanie, ja nie jestem taką prowincjonalną gąską, jak myślisz... Ty sobie drwisz ze mnie.

— Drogi aniele — odparł Lousteau, który wziął Dinę w ramiona, podniósł z fotelu i przeprowadził wpół martwą do salonu — poświęciliśmy sobie nawzajem swoją przyszłość, ofiara za ofiarę. Podczas, gdy serce moje było w Sancerre, żeniono mnie tutaj, ale opierałem się i... wierzał! Byłem bardzo nieszczęśliwy.

— Och! jadę! — wykrzyknęła Dina, zrywając się jak szalona i robiąc dwa kroki ku drzwiom.

— Zostaniesz, Dynuśka, wszystko skończone. Ech! Ta fortuna, czyliż przychodziła mi tak tanio? Czyż nie trzeba mi było ubrać się w grubą blondynę o czerwonym nosie, córkę rejenta, *plus* teściową, która zapędziłaby w kozi róg panią Piédefer na punkcie dewocji...

Pamela wbiegła do salonu i szepnęła do ucha Stefana: „Pani Schontz!...”.

Lousteau wstał, zostawił Dinę na kanapie i wyszedł.

— Wszystko przepadło, kotuśku — rzekła loretka. — Cardot nie chce się pokłócić z żoną o zięcia. Dewotka zrobiła scenę... pierwsza klasa! Koniec końców, obecny pierwszy dependent, który był od dwóch lat drugim dependentem, bierze córkę i kancelarię.

— Podły! — wykrzyknął Lousteau. — W jaki sposób w ciągu dwóch godzin mógł się namyślić?...

— Mój Boże, to bardzo proste. Ladaco, któremu nieboszczyk zwierzył się z sekretem, pochwycawszy parę słów sprzeczki z panią Cardot, odgadł pozycję pryncypała. Rejent liczy na twój honor i delikatność, wszystko już jest ułożone. Dependent, którego prowadzenie jest bez zarzutu (ba! Hulataj chodził regularnie na mszę, skończony hipokryta!) podoba się rejencinie. Cardot pragnie zostać z tobą w dobrej przyjaźni. Ma objąć dyrekturę olbrzymiego towarzystwa finansowego, będzie ci mógł oddać jaką przysługę. Ha! Budzisz się z pięknego snu.

— Tracę fortunę, żonę i...

— Kochankę — rzekła pani Schontz z uśmiechem. — Jesteś dziś bowiem więcej niż żonaty, zrobisz się nudny, będziesz chciał wracać do domu, nie będziesz miał fantazji ani w stroju, ani w życiu; zresztą mój Artur jest bardzo dobry chłopiec, zostaną mu wierną i zerwę z Malagą... Pozwólże mi obejrzeć przez dziurkę od klucza swoją Muzę z Sancerre? — spytała loretka. — Czy nie było — wykrzyknęła — piękniejszego zwierzęcia w całej pustyni? Okradziono cię! Godne to, suche, płacziwe, brakuje jej tylko turbanu lady Dudley.

— Cóż jeszcze się stało?... — spytała pani de La Baudraye, której ucha doszedł szelest jedwabnych spódniczek i szepot kobiecego głosu.

— Stało się, mój aniele, że jesteśmy spojeni nierozłącznie... Przyniesiono mi uszną odpowiedź na list, który pisałem przy tobie, a którym zrywam moje małżeństwo...

— To była ta kolacja, z której się wymawiałeś?

— Tak.

— Och, będę więcej niż twoją żoną, oddaję ci moje życie, chcę być twoją niewolnicą... — rzekła biedna oszukana istota. — Nie przypuszczałam, abym była zdolna bardziej cię kochać!... Nie będę zatem przypadkiem w twoim życiu, będę całym twoim życiem?

— Tak, moja Dynuś, moja piękna, szlachetna...

— Przysiąż mi — rzekła — że zdoła nas rozłączyć tylko śmierć!...

Lousteau chciał upiększyć swą przysięgę najbardziej czarującymi przymilnościami. Oto czemu. Od drzwi, w których otrzymał pożegnalny całus loretki, do drzwi salonu, gdzie spoczywała Muza oszołomiona tyłoma wydarzeniami, Lousteau przypomniał sobie wąty stan pana de La Baudraye, jego majątek i to słówko Bianchona: „To będzie kiedyś bogata wdowa!”. I powiedział sobie w duchu: „Wolę sto razy za żonę panią de La Baudraye niż Felicję”. Toteż decyzja jego zapadła szybko. Postanowił odegrać na nowo miłość z cudownym artyzmem. Jego niskie rachuby i udana namiętność miały oplakane rezultaty. W czasie podróży z Sancerre do Paryża pani de La Baudraye zamyślała wziąć oddzielne mieszkanie o dwa kroki od Stefana; ale dowody miłości, jakie dawał jej kochanek, wyrzekając się pięknej przyszłości, a zwłaszcza doskonale szczęście pierwszych dni tego nielegalnego małżeństwa, nie pozwoliły jej mówić o rozłączeniu. *Nazajutrz* miało być i było świętem miłości, w którym podobna propozycja uczyniona *swemu aniołowi* byłaby straszliwym dysonansem. Ze swej strony Lousteau, który chciał zachować władzę nad Diną, utrzymywał ją w nieustannym upojeniu za pomocą ciągłych festynów. Okoliczności nie dały tedy tym dwojgu tak inteligentnych ludzi uniknąć bajora, w którym ugrzęźli, mianowicie niedorzecznej wspólności mieszkania, której niestety istnieje w Paryżu w świecie literackim tyle przykładów.

W ten sposób spełnił się w całej rozciągłości program miłości prowincjonalnej, tak szyderczo nakreślony Stefanowi przez panią de La Baudraye, ale o którym ani jedno, ani drugie nie pamiętało. Miłość jest głucha i niema od urodzenia.

Owa zima była tedy w Paryżu dla pani de La Baudraye tym, czym październik w Sancerre. Aby wtajemniczyć *swą zoneczkę* w życie paryskie, Stefan przeplatał ten nowy miesiąc miodowy wycieczkami do teatru, dokąd Dina godziła się chodzić jedynie do zasłoniętej łoży. W początkach pani de La Baudraye zachowała ślady prowincjonalnej pruderii, bała się oczu ludzi, kryła swoje szczęście. Mówiła: „Pan de Clagny, pan Gravier zdolni są przyjechać za mną!” Lękała się Sancerre w Paryżu. Lousteau, który był nadzwyczaj próżny, dopełnił wychowania Diny, zaprowadził ją do najlepszych modniarek i pokazał jej młode kobiety będące wówczas w modzie, zalecając je jako wzór do naśladowania. Toteż prowincjonalny wygląd pani de La Baudraye zmienił się szybko. Przyjaciele komplementowali Stefana za jego zdobycz. Przez ten sezon Lousteau mało zasiliał literaturę i zadłużył się potężnie, mimo że harda Dina obróciła wszystkie swoje oszczędności na tualetę, mniemając, że nie przysporzyła żadnego wydatku *swemu kotusiowi*. Po upływie trzech miesięcy Dina zaaklimatyzowała się, upoiła się muzyką we *włoskim*, znała repertuar wszystkich teatrów, znała aktorów, dzienniki i anegdoty; przyzwyczała się do tego życia ciągłych wzruszeń, do tego bystrego prądu, w którym wszystko tonie w niepamięci. Nie wyciągała już szyi, nie stawiała ogłupiała jak posąg Zdumienia na widok ustawnych niespodzianek, jakie Paryż nastęrcza obcym. Umiała wdychać powietrze tego środowiska genialnego, żywego, płodnego, w którym talent czuje się w swoim żywiole i którego niezdolny jest opuścić. Jednego ranka, czytając dzienniki (Lousteau otrzymywał wszystkie), ujrzała dwa wiersze, które przypomniały jej Sancerre i przeszłość, dwa wiersze będące nie bez związku z nią samą. Oto one:

„Baron de Clagny, prokurator trybunału w Sancerre, został mianowany zastępcą generalnego prokuratora przy najwyższym trybunale w Paryżu”.

— Jak on cię kocha, ten cnotliwy urzędnik! — rzekł, uśmiechając się, dziennikarz.

— Biedny człowiek! — odparła. — Nie mówiłam ci? Ciągnie za mną.

W tej chwili Stefan i Dina znajdowali się w najbardziej błyszczącej i doskonałej fazie miłości, w okresie, gdy jedno jest do drugiego zupełnie przyzwyczajone, a kiedy mimo to miłość zachowała swój smak. Kochankowie znają się, ale jeszcze się nie przeniknęli, nie przewędrowali wielokrotnie tych samych zaułków duszy, nie przestudiowali się w sposób pozwalający, jak później, przeczuwać myśli, słowa, gesty, z okazji największych jak i najmniejszych wydarzeń. Są wzajem pod urokiem, nie było jeszcze starć, rozbieżności, obojętnych spojrzeń. Dusze zwracają się w każdej okoliczności w jedną stronę. Toteż Dina mówiła Stefanowi te magiczne słowa, którym towarzyszyły bardziej jeszcze magiczne spojrzenia, jakie kobiety umieją znaleźć wówczas: „Zabij mnie, kiedy nie będziesz już kochał”. „Gdybyś mnie nie kochał, mam uczucie, że potrafiłabym cię zabić i siebie potem”. Na te rozkoszne przesady Lousteau odpowiadał: „Proszę jedynie Boga, abym znalazł w tobie tę stałość co w sobie. To ty mnie rzucisz!”. „Moja miłość jest bez granic”. „Bez granic!

— powtórzył Lousteau. — Pomyśl. Wyciągają mnie na kawalerską kolacyjkę, spotykam którąś dawną kochankę, podrwiwa sobie ze mnie; udaję przez próżność wolnego człowieka i wracam do domu aż rano... Czy mimo to kochałabyś mnie jeszcze?” „Kobieta jest pewna miłości mężczyzny jedynie wówczas, gdy on woli ją od innej, a gdybyś wrócił do mnie, gdybyś... Och! Dajesz mi pojęcie szczęścia przebaczenia błędu temu, kogo się ubóstwia...” „Na honor! Spotykam tedy miłość po raz pierwszy w życiu!” — wykrzyknął Lousteau. „Nareszcie zrozumiałeś!” — odparła. Lousteau poddał myśl, aby napisać listy, w którym każde z dwojga podałoby przyczyny, jakie skłoniły ich do samobójstwa; mając w posiadaniu taki list, każde z kochanków mogłoby zabić przeniwiercę. Mimo wymiany słów, żadne z nich nie napisało listu. Szczęśliwy w tej chwili, dziennikarz obiecywał sobie spokojnie oszukiwać Dinę, kiedy będzie jej miał dość, czyniąc wszakże wszystko dla ukrycia oszukaństwa. Dla niego pani de La Baudraye przedstawiała całą fortunę. Mimo to czuł ucisk jarzma. Zawierając taki związek, pani de La Baudraye okazała i szlachetność duszy, i ową godność, jaką daje szacunek dla samej siebie. W tym najpoufniejszym zbliżeniu, gdzie każdy odkłada maskę, młoda kobieta zachowała wstyd, okazała męską uczciwość i tę siłę właściwą ludziom ambitnym, która stanowiła podstawę jej charakteru. Toteż Lousteau powziął dla niej mimowolny szacunek. Stawszy się paryżanką, Dina była zresztą wyższa od najbardziej uroczej *loretki*, umiała być zabawna, strzelać conceptami jak Malaga, ale jej wykształcenie, jej narowy umysłowe, olbrzymie odczytanie pozwalały jej dać szerszą arenę dowcipowi, gdy panie Schontz i Floryny rozwijają go na terenie bardzo ograniczonym. „W Dinie — mówił Stefan do Bixiou — jest materiał na Ninon i na panią de Staël”. „Kobieta, w której znajduje się bibliotekę i seraj, jest bardzo niebezpieczna” — odpowiedział kpiarz.

Skoro raz ciąża stała się widoczna, pani de La Baudraye postanowiła nie opuszczać już domu, ale zanim się w nim zamknie, aby używać przechadzki jedynie za miastem, chciała być na przedstawieniu sztuki Natana. Ta swego rodzaju uroczystość literacka zajmowała owe dwa tysiące osób, które uważają się za cały Paryż. Dina, która nigdy nie widziała *premiery*, odczuwała bardzo naturalną ciekawość. Doszła zresztą do tego stopnia miłości do Stefana, iż chlubiła się swoim błędem; wkładała dziką siłę w to, aby stawiać czoło całemu światu, chciała mu patrzeć w twarz, nie odwracając głowy. Przygotowała czarującą toaletę, dostosowaną do jej cierpiącego wyrazu, do chorobliwej *morbidez* twarzy. Błada cera dawała jej wygląd dystygowany, czarne zaś włosy, rozdzielone w dwa grube pasma, uwydatniały jeszcze tę bladość. Błyszczące szare oczy, podkrążone znużeniem, zdawały się jeszcze piękniejsze. Ale czekało ją straszliwe przejście. Trafem dość pospolitym łoża, jaką dano dziennikarzowi na pierwszym piętrze, znajdowała się obok łoża zajętej przez Annę Grossetête. Serdeczne przyjaciółki nie przywitały się i nie zdradzały chęci poznania się wzajem. Po pierwszym akcie Lousteau opuścił łożę i zostawił Dinę samą, wystawioną na ogień spojrzeń, na blask wszystkich lornetek, gdy baronowa de Fontaine i hrabina Maria de Vandenesse, siedzące z Anną, przyjmowały kilka najwybitniejszych osobistości wielkiego świata. Samotność, w jakiej została Dina, była męką tym dotkliwszą, iż nie umiała nadrabiać swobodą, czyniąc przegląd łoż przy pomocy lornetki; daremnie przybierała szlachetną i myślącą pozę, błędziła spojrzeniem w próżni, nadto czuła się punktem skupiającym wszystkie oczy; nie mogła pokryć zmieszania, była nieco prowincjonalna, rozwinęła chusteczkę, robiła konwulsyjne ruchy, których niewłaściwość czuła sama. Wreszcie w przerwie między drugim a trzecim aktem gość jakiś kazał sobie otworzyć łożę Diny! Ukazał się pan de Clagny, pełen szacunku, lecz smutny.

— Szczęśliwa jestem, iż mogę panu wyrazić przyjemność, jaką sprawił mi jego awans — rzekła.

— Och, pani, dla kogóż przybyłem do Paryża?...

— Jak to? — rzekła. — Czyżbym odgrywała jaką rolę w pańskiej nominacji?

— Wyłączną. Z chwilą gdy pani opuściła Sancerre, Sancerre stało mi się nie do zniesienia, ginąłem tam...

— Pańska szczerza przyjaźń jest mi bardzo miła — rzekła, wyciągając rękę do prokuratora. — Jestem w położeniu, które każe mi cenić prawdziwych przyjaciół obecnie, kiedy wiem, jaka jest ich wartość. Sądziłam, iż postradałam pański szacunek, ale jego dowód, jaki mi pan daje swymi odwiedzinami, wzrusza mnie bardziej niż dziesięć lat przywiązania.

— Jest pani przedmiotem ciekawości całej sali — odparł prokurator. — Och, droga, czyż to była twoja rola? Czy nie mogła pani być szczęśliwą, a pozostać szanowaną?... Słyszałem przed chwilą, że pani jest kochanką pana Stefana Lousteau, że żyjecie pod jednym dachem!... Zerwałaś na zawsze ze społeczeństwem; przyjdzie zaś czas, kiedy, nawet gdybyś zaślubiła kochanka, będziesz potrzebowała tego szacunku, którym dziś gardzisz... Czyż nie powinna by pani być u siebie, z matką, która dosyć panią kocha, aby cię osłonić swą tarczą; przynajmniej pozory byłyby zachowane...

— Źle zrobiłam, że przyszłam tutaj — rzekła — oto wszystko. Pożegnałam się bez powrotu ze wszystkimi korzyściami, jakie świat zapewnia kobietom umiejącym pogodzić szczęście z pozorami. Abnegacja moja jest tak zupełna, że chciałabym wszystko zważyć dokoła siebie, aby uczynić z mej miłości rozległą pustynię pełną Boga, *jego* i mnie... Uczyniliśmy sobie wzajem zbyt wiele poświęceń, jesteśmy zbyt zespoleni, zespoleni wstydem, jeśli pan chce, ale nierozzerwalnie... Jestem szczęśliwa i tak szczęśliwa, że mogę pana kochać swobodnie, drogi przyjacielu, mogę użyczyć panu więcej zaufania niż niegdyś; dziś potrzeba mi przyjaciela...

W tej chwili urzędnik był naprawdę wielki, a nawet wzniosły. Na to wyznanie, w którym drgała dusza Diny, odpowiedział rozdzierającym tonem:

— Chciałem odwiedzić panią, aby się upewnić, czy pani jest kochaną... byłbym spokojny, nie trwożyłbym się już o pani przyszłość... Czy ten człowiek zrozumie wielkość twoich poświęceń i czy miłość jego umie być wdzięczną?...

— Niech pan przyjdzie na ulicę *des Martyrs*, a zobaczy pan.

— Tak, przyjdę — rzekł. — Przechodziłem już koło bramy, nie śmiejąc spytać o panią. Nie zna pani jeszcze literatury — dodał. — Zapewne istnieją w niej chlubne wyjątki, ale ci literaci wloką za sobą straszliwe nieszczęścia, a jednym z pierwszych jest rozgłos, który kała wszystko! Niech kobieta popełni błąd z...

— Prokuratorem — uśmiechnęła się baronowa.

— Przypuśćmy! Po zerwaniu jest jeszcze jakaś rada, świat nic nie wie; ale z człowiekiem mniej lub więcej sławnym, publiczność przejrzała wszystko. Ot, właśnie... jaki przykład ma pani tu, przed oczami! Siedzi pani tuż obok hrabiny de Vandenesse, która omal nie popełniła ostatnich szaleństw dla człowieka dawniejszego niż Lousteau, dla Natana¹⁹, i oto rozeszli się tak, że się nie poznają... Zaszedłszy na sam kraj przepaści, hrabina ocalała, nie wiadomo jak, nie opuściła ani męża, ani domu; ale ponieważ chodziło o sławnego człowieka, mówiono o niej całą zimę. Gdyby nie majątek, nazwisko i pozycja męża, gdyby nie zręczne postępowanie tego dyplomaty, który, powiadają, okazał się niesłychanie dobry dla żony, byłaby zgubiona: na jej miejscu żadna inna kobieta nie zdołałaby zachować szacunku świata...

— Cóż się działo w Sancerre wówczas, gdy pan je opuścił? — rzekła pani de La Baudraye, aby odmienić rozmowę.

— Pan de La Baudraye opowiedział, iż późna ciąża pani wymaga, aby połóg odbył się w Paryżu: że skłonił panią do tej podróży, chcąc jej zapewnić opiekę najgłośniejszych lekarzy — odparł pan de Clagny, zgadując dobrze, co Dina chciała wiedzieć. — Tak więc mimo hałasu, jakiego narobił pani wyjazd, aż do dziś wieczór była pani pod osłoną *legalności*.

— Och — wykrzyknęła — zatem pan de La Baudraye zachował nadzieję?...

— Mąż pani zrobił jak zawsze: obliczył.

Urzędnik opuścił łożę, widząc wchodzącego dziennikarza, skłoniwszy mu się z godnością.

— Masz większe powodzenie niż sztuka — rzekł Stefan do Diny.

Owa krótka chwila tryumfu dała tej kobiecie więcej radości, niż jej Dina zakosztowała przez całe życie na prowincji; ale wychodząc z teatru, była zamyślona.

— Co tobie, Dynus? — spytał Lousteau.

— Zastanawiam się, w jaki sposób kobieta może zawładnąć nad światem.

— Są dwa sposoby: być panią de Staël albo mieć dwieście tysięcy franków renty.

— Społeczeństwo — rzekła — trzyma nas próżnością, chęcią błyszczenia... Ba! Będziemy filozofami!

¹⁹Natan — [por.] *Córka Ewy, Stracona zbudzeniu*. [przypis tłumacza]

Wieczór ten był ostatnim błyskiem złudnego dobrobytu, w jakim pani de La Baudraye żyła od przybycia do Paryża. W trzy dni później ujrzała chmury na czole Stefana, który krążył po ogródku, paląc cygaro. Ta kobieta, której obyczaj małego de La Baudraye udzieliły miłego przyzwyczajenia, aby nigdy nic nie być dłużną, dowiedziała się, iż dom znajduje się bez grosza w obliczu dwóch rat komornego, słowem w wilię *zajęcia!* Ta rzeczywistość paryskiego życia weszła w serce Diny jak cierni; wyrzucała sobie, iż wciągnęła Stefana w rozrzutność miodowego miesiąca. Tak trudno jest przejść od przyjemności do pracy, iż szczęście pochłonęło więcej poezji, niż nieszczęście wyczarowało ich ognistymi smugami. Szczęśliwa, iż widzi Stefana bez troski, palącego cygaro po śniadaniu, wyciągniętego niby jaszczurka na słońcu, nigdy Dina nie czuła odwagi zapędzenia go do pracy. Wpadła na myśl, aby za pośrednictwem imć pana Mignon, ojca Pameli, zastawić tych niewiele klejnotów, które posiadała, i na które ciocia — zaczynała bowiem mówić gwarą dzielnicy — dała jej dziewięćset franków. Zachowała trzysta franków na wyprawkę, na kosztą połogu i wręczyła radośnie potrzebną sumę Stefanowi, który orał, bruzdał po bruzdzie lub, jeśli wolicie, wiersz po wierszu, nowelę dla jakiegoś tygodnika.

— Mój kotuśku — rzekła — kończ swoją nowelę, nie poświęcając nic dla konieczności, pracuj nad stylem, pogłębiaj przedmiot. Dość już bawiłam się w damę, teraz robię się mieszczką i wezmę się do gospodarstwa.

Od czterech miesięcy Stefan prowadził Dinę do *Café Riche*, gdzie jedli obiad w zamówionym stale gabinecie. Mieszkancka prowincji dowiedziała się z przerażeniem, że Stefan winien jest pięćset franków za ostatnie dwa tygodnie.

— Jak to, piliśmy wino po sześć franków flaszka! Najzwyklejsza ryba kosztuje pięć franków!... Bułka dwadzieścia centymów!... — wykrzyknęła, czytając rachunek i biorąc go z rąk dziennikarza.

— Ależ czy nas okrada kucharka, czy restaurator to dla nas, kawalerów, wychodzi na jedno.

— Odtąd za cenę swego obiadu będziesz żył jak książkę.

Uzyskawszy od właściciela kuchnię i dwa pokoje dla służby, pani de La Baudraye napisała parę słów do matki, prosząc ją o bieliznę i o pożyczkę tysiąca franków. Otrzymała dwie skrzynie z bielizną, srebro, dwa tysiące franków, wszystko za pośrednictwem uczciwej i nabożnej kucharki, którą posłała jej matka. W dziesięć dni po przedstawieniu, na którym się spotkali, pan de Clagny odwiedził panią de La Baudraye około czwartej, wychodząc z trybunału i zastał ją haftującą mały czapeczek. Widok tej kobiety tak dumnej, tak ambitnej, o umyśle tak wypielęgowanym, królującej tak godnie w zamku Anzy, tu zniżającej się do starań gospodarskich i szyjącej dla spodziewanego dziecka wzruszył biednego urzędnika, który wracał z rozprawy o morderstwo. Widząc ślady ukłuc na smukłych paluszkach, które niegdyś całował, zrozumiał, że pani de La Baudraye nie czyniła z tego zajęcia zabawy w miłość macierzyńską. Podczas tego pierwszego widzenia urzędnik przejrzał duszę Diny. Przenikliwość ta u rozkochanego człowieka stanowiła nadludzki wysiłek. Odgadł, iż Dina chce stać się dobrym duchem dziennikarza, pchnąć go na szlachetną drogę; trudności materialne odsłoniły jej oczom bezwład moralny. Te dwie istoty zespolone miłością, tak prawdziwą z jednej strony, a tak dobrze odgrywaną z drugiej, wymieniły w ciągu czterech miesięcy niejedno zwierzenie. Mimo pozorów, w jakie Stefan się drapował, niejedno słówko oświeciło Dinę co do przeszłości tego lekkoducha, którego talent tak bardzo zdławiła nędza, skazywał zły przykład, skrzywiły trudności przerastające jego wytrwałość. „Urośnie w szczęśliwych warunkach” — rzekła sobie. Chciała mu dać szczęście, spokój w domu dzięki oszczędności i porządkowi, zwyczajnym u mieszkańców prowincji. Dina stała się gospodynią, tak jak stała się poetką, przez rzut szlachetnej duszy ku szczytom.

— Szczęście jego będzie moim rozgrzeszeniem.

Słowo to, które wydarło się Dinie, tłumaczyło obecny stan rzeczy. Rozgłos, jaki Stefan nadał swemu tryumfowi w dzień premiery, dostatecznie obnażył w oczach pana de Clagny intencje dziennikarza. Dla Stefana pani de La Baudraye była, wedle angielskiego wyrażenia, wcale ładnym piórkim w czapeczki. Daleki od cenienia uroków nieśmiałej i szukającej cienia miłości, od ukrywania przed światem tak wielkiego szczęścia, kosztował rozkoszy parweniusza, strojąc się w pierwszą uczciwą kobietę, która zaszczycała go miłością. Mimo to prokurator dał się jakiś czas omamić troskliwości, jaką każdy mężczy-

zna rozwija dla kobiety w położeniu pani de La Baudraye, której to troskliwości Lousteau dodawał uroku dzięki swemu ujmującemu z natury obejściu. Zdarzają się w istocie ludzie, którzy mają z natury coś małpiego, u których naśladowanie najbardziej uroczych przejawów uczucia jest tak naturalne, że staje się nieświadome; naturalne zaś talenty dziennikarza wielce się rozwinęły w środowisku, w którym żył dotąd. Między kwietniem a lipcem, na który spodziewała się połogu, Dina odgadła, czemu Lousteau nie zwyciężył nędzy: był leniwy i nie miał woli. Zapewne, iż mózg posłuszny jest jedynie własnemu prawom, nie uznaje ani konieczności życia, ani nakazów honoru; nie pocznie się pięknego dzieła dlatego, że żona umiera, dla zapłacenia hańbiących długów lub wyżywienia dzieci; mimo to nie ma wielkiego talentu bez wielkiej woli. Te dwie bliźniacze siły niezbędne są do wzniesienia olbrzymiego gmachu sławy. Ludzie wybrani utrzymują swój mózg w zdolności tworzenia, jak niegdyś rycerz miał ryszunek zawsze w gotowości. Zwalczają lenistwo, unikają drażniących przyjemności lub poddają się im jedynie w mierze wskazanej przez granice ich natury. Tak tylko jest do pojęcia Walter Scott, Cuvier, Wolter, Newton, Buffon, Bayle, Bossuet, Leibnitz, Lope de Vega, Calderon, Bokacjusz, Aretino, Arystoteles, słowem wszyscy ludzie, którzy bawią, uczą lub prowadzą epokę. Wola może i powinna być przedmiotem dumy o wiele bardziej niż talent. Jeżeli źródłem talentu jest wrodzony dar wypielegnowany hodowlą, wola jest to nieustanne zwycięstwo nad instynktami, nad ujarzmionymi i zdławionymi upodobaniami, nad zachceniami, przeszkodami, nad bohatersko zwyciężonymi trudnościami wszelkiego rodzaju. Nadużycie cygar podtrzymywało lenistwo Stefana. Jeżeli tytoń usypia troski, obciąża w zamian nieodzownie energię. Wszystko to, co cygaro gasiło w sensie fizycznym, krytyka, jaką uprawiał, unicestwiała w sensie moralnym u tego człowieka tak podatnego pokusom. Krytyka zgubna jest dla pisarza jak krętaćstwo dla adwokata. W tym rzemiośle umysł się paczy, inteligencja traci swą prostolinijność i jasność. Pisarz istnieje jedynie przez swoje myśli. Toteż należy rozróżnić dwie krytyki, tak samo jak w malarstwie rozróżnia się sztukę i rzemiosło. Krytykować jak większość dzisiejszych felietonistów, to znaczy wyrażać jakie bądź sądy w sposób mniej lub więcej dowcipny, jak adwokat broni przed trybunałem najsprzecznějších spraw. Dziennikarz-rzemieślnik zawsze znajdzie jakiś temat do rozwinięcia w dziele, które analizuje. Dzięki temu zawód ten odpowiada umysłom leniwym, ludziom pozbawionym szczytnej zdolności tworzenia lub którzy, posiadając ją, nie mają wytrwałości, aby ją uprawić. Każda sztuka teatralna, każda książka, staje się pod ich piórem tematem, który nie kosztuje żadnego wysiłku wyobraźni, a z którego sprawozdanie pisze się drwiąco lub poważnie, stosownie do nastroju chwili. Co do sądu, jak bądź wypadnie, zawsze da się jakoś obronić, dzięki gibkości francuskiego umysłu cudownie umiejącego stanąć na każdym punkcie widzenia. Sumienie tak małą gra w tym rolę, owym kondotierom pióra tak mało zależy na ich sądzie, że chwałą w *foyer* teatru dzieło, które szarpia w recenzjach. Widywano takich, którzy przechodzili w potrzebie z jednego dziennika do drugiego, nie troszcząc się o to, że nowe ich zapatrywania muszą być krańcowo sprzeczne z dawnymi. Co więcej, pani de La Baudraye uśmiechała się nieraz, widząc, jak Lousteau kreśli artykuł z tendencją legitymistyczną, a drugi z tendencją dynastyczną o jednym i tym samym wydarzeniu. Przyklaskiwała maksymie, jaką wygłaszał: „Jesteśmy adwokatami opinii publicznej!...”. Druga krytyka jest całą wiedzą, wymaga pełnego zrozumienia dzieł, jasnego poglądu na kierunki epoki, wprowadzenia systemu, wiary w pewne zasady: jest to niby wiedza prawna, sprawozdanie, wyrok. Krytyk staje się wówczas apostołem idei, cenzorem swego wieku, spełnia kapłaństwo; gdy tamten jest akrobatą, który fika koziołki, aby zarobić na życie, póki nie zerwie nóg. Między Klaudiuszem Vignon a Stefanem Lousteau istniała przepaść, jaka dzieli rzemiosło od sztuki. Dina, której umysł *odrdzewił* się łatwo i której inteligencja umiała patrzeć z wysoka, rychło osądziła pod względem literackim swoje bóstwo. Widziała Stefana, jak pracuje w ostatniej chwili, pod naciskiem najtrywialniejszych potrzeb i jak *puszcza* swoją pracę, wedle wyrażenia malarzy o dziele, któremu brak jest *faktury*; ale usprawiedliwiała go, mówiąc: „To poeta!”, tak bardzo potrzebowała usprawiedliwić go we własnych oczach. Odgadując ową tajemnicę literackiego życia wielu pisarzy, zrozumiała, że pióro Stefana nie będzie nigdy podwalać bytu. Miłość pchnęła ją wówczas do kroków, do których nigdy nie byłaby się zniżyła dla siebie. Nawiązała przez matkę rokowania z mężem, aby uzyskać pensję, ale bez wiedzy Stefana, którego drażliwość trzeba było w jej pojęciu oszczędzać! Kilka dni przed końcem lipca Dina zmięła

z gniewu list, w którym matka przesłała jej ostateczną odpowiedź męża: „Pani de La Baudraye nie potrzebuje pensji w Paryżu, skoro ma najpiękniejszą w świecie egzystencję w zamku swoim w Anzy: niech wraca!”. Lousteau podniósł list i przeczytał go.

— Pomszczę cię — rzekł do pani de La Baudraye tym złowrogim tonem, który tak podoba się kobietom, skoro schlebia ich antypatiom.

W pięć dni później Bianchon i Duriau, słynny położnik, rozgościli się u Stefana, który od czasu odpowiedzi pana de La Baudraye roztaczał swoje szczęście i paradował publicznie połogiem Diny. Pan de Clagny i spiesznie przybyła pani Piédefefer mieli być chrzestnymi rodzicami spodziewanego dziecka, bo przewidujący urzędnik lękał się, aby Lousteau nie popełnił jakiego groźnego nietaktu. Pani de La Baudraye powiła chłopca do pozazdrosczenia dla każdej królowej pragnącej następcy tronu. Bianchon w towarzystwie pana de Clagny udał się do merostwa, aby zapisać dziecko jako syna pana i pani de La Baudraye, bez wiedzy Stefana, który ze swej strony pobiegł do drukarni, gdzie kazał odbić ten bilecik:

Baronowa de La Baudraye powiła szczęśliwie syna, o czym p. Stefan Lousteau ma zaszczyt zawiadomić.
Matka i dziecko mają się dobrze.

Lousteau wysłał już pierwszą partię tych biletów w liczbie sześćdziesięciu, kiedy pan de Clagny, zaszedłszy dowiedzieć się o zdrowie położnicy, spostrzegł listę osób z Sancerre, którym Lousteau zamierzał przesłać to osobliwe zawiadomienie, tuż pod listą sześćdziesięciu paryżan, którzy je już otrzymali. Prokurator pochwylił listę i resztę biletów, pokazał je najpierw pani Piédefefer, zaklinając, aby nie pozwoliła dziennikarzowi powtórzyć tego ohydneho konceptu i skoczył w dorożkę. Oddany urzędnik zamówił u tegoż samego drukarza inny bilet, ułożony w ten sposób:

Baronowa de La Baudraye powiła szczęśliwie syna, o czym p. baron de La Baudraye ma zaszczyt zawiadomić.
Matka i dziecko mają się dobrze.

Zniszczywszy odbitki, układ, wszystko, co mogło świadczyć o istnieniu pierwszej redakcji, pan de Clagny puścił się na wyławianie już wysłanych zawiadomień; wiele zdążył zamienić u odźwiernych, uzyskał zwrot jakich trzydziestu; wreszcie po trzech dniach gonitwy istniało już tylko jedno zawiadomienie, pod adresem Natana. Kiedy zażądawszy widzenia z Natanem, pan de Clagny przybył na schadzkę, anegdota o bileciku obiegła cały Paryż. Jedni widzieli w tym jedno z owych dowcipnych oszczerstw, owej plagi, której podlegają wszystkie „sławy”, nawet ulotne; drudzy twierdzili, że czytali bilecik i że oddali go przyjacielowi rodziny La Baudraye; wiele osób wymyślało na niemoralność dziennikarza, tak iż ten ostatni istniejący bilet stał się rodzajem osobliwości. Floryna, z którą żył Natan, pokazywała go ze stemplem pocztowym, zaadresowany pismem Stefana. Toteż kiedy prokurator zaczął mówić o tej sprawie, Natan uśmiechnął się.

— Oddać panu ten pomnik lekkomyślności i błazeństwa? — wykrzyknął. — Autograf ten jest jedną z owych broni, jakiej atleta w cyrku nie powinien się pozbywać. Bilet ten dowodzi, że Lousteau jest człowiekiem bez serca, bez smaku, bez godności, który nie zna ani form świata, ani moralności publicznej, który znieważa samego siebie, skoro nie wie już, kogo znieważać... Jedyne mieszczański synek, przybyły z Sancerre, aby zostać poetą, i który zostaje siepaczem pierwszego z brzegu świstka, zdolny jest wysłać podobne zawiadomienie! Niech pan sam przyzna? To nieodzowny dokument do archiwów naszej epoki... Dziś Lousteau czuli się do mnie, jutro może zażądać mojej głowy. Och! Przepraszam za ten zwrot, zapomniałem, że pan jesteś prokuratorem. Kochałem wielką damę stojącą o tyle wyżej od pani de La Baudraye, ile pańska delikatność stoi wyżej od ulicznikostwa pana Lousteau; ale byłbym zginął raczej, niżbym wymówił jej imię... Kilka miesięcy jej słodkich oczu i minek kosztowały mnie sto tysięcy franków i przyszłość; ale nie znajduję, bym je opłacił zbyt drogo!... I nie skarżyłem się nigdy!... Niech kobiety zdradzają sekrety swoich miłostek, to ostatnia ofiara ich serca; ale żebyśmy my... na to trzeba być takim Lousteau! Nie, za tysiąc talarów nie oddałbym tego świstka.

— Panie — rzekł wreszcie urzędnik po półgodzinnej walce na słowa — obiegiem w tej sprawie kilkunastu ludzi pióra; byłżebyś pan jeden niedostępny uczuciom honoru?... Nie

chodzi tu o pana Lousteau, ale o kobietę i o dziecko, oboje nieświadomych krzywdy, jaką im ktoś wyrządza w ich mieniu, przyszłości, honorze. Kto wie, czy kiedy nie będzie pan zmuszony szukać u Sprawiedliwości jakich względów dla przyjaciela, dla osoby, na której czci będzie panu zależało więcej niż na własnej? Sprawiedliwość może wówczas przypomnieć sobie, że byłś nieubłagany... Czyż człowiek taki jak pan może się wahać? — rzekł urzędnik.

— Chciałem panu dać uczuć całą wartość mojej ofiary — odparł Natan i oddał bilet, myśląc o stanowisku urzędnika i przyjmując ten rodzaj układu.

Naprawiwszy w ten sposób błazeństwo dziennikarza, pan de Clagny poszedł wypalić mu kazanie w obecności pani Piédefer; ale zastał Stefana bardzo wzburzonego tymi ostrożnościami.

— To, co zrobiłem, szanowny panie — odparł Lousteau — było zrobione z rozmysłem. Pan de La Baudraye ma sześćdziesiąt tysięcy franków renty i odmawia żonie pensji; chciałem mu dać uczuć, że jestem panem dziecka.

— Dobrze pana tedy odgadłem — odparł urzędnik. — Toteż pospieszyłem przyjmując ojcostwo chrzestne małego Polidora; zapisany jest w księgach stanu cywilnego jako syn barona i baronowej de La Baudraye. Jeżeli pan masz serce ojca, powinieneś być rad, wiedząc, iż dziecko to jest spadkobiercą jednego z najpiękniejszych majoratów we Francji.

— Ech, panie, zatem matka ma umierać z głodu?

— Niech pan będzie spokojny — rzekł gorzko urzędnik, wycisnął bowiem z serca dziennikarza wyznanie, którego od tak dawna oczekiwał — podejmuję się porozumieć w tej sprawie z panem de La Baudraye.

I pan de Clagny wyszedł ze śmiercią w duszy. Dina, jego bóstwo, kochana była dla interesu! Czyż nie za późno będzie, gdy przejrzy? „Biedna kobieta!” — powiadał sobie urzędnik, odchodząc. Oddajmy mu sprawiedliwość, komuż bowiem ją oddać, jeśli nie prokuratorowi? Nadto szczerze kochał Dinę, aby widzieć w poniżeniu tej kobiety środek do tryumfowania nad nią kiedyś; był cały współczuciem, cały poświęceniem: kochał.

Starania, jakich wymagało karmienie, krzyki dziecka, spokój potrzebny matce w pierwszych dniach, obecność pani Piédefer, wszystko spiknęło się tak skutecznie przeciw pracy literackiej, iż Lousteau zagospodarował się w trzech pokojach wynajętych na pierwszym piętrze dla starej dewotki. Dziennikarz, zmuszony chodzić na premiery bez Diny i przeważnie z nią rozdzielony, znalazł urok w odzyskanej swobodzie. Niejeden raz pozwolił się ująć pod ramię i zaciągnąć na jakąś wesołą hulankę. Niejeden raz znalazł się u *loretki* któregoś z przyjaciół, w dawnej „paczce” cyganerii. Znow widział kobiety tryskające młodością, wspaniale ubrane, patrzące na wszelką oszczędność niby na zaprzeczenie swej młodości i władzy. Dina, mimo cudownej piękności, jaką zajaśniała od trzeciego miesiąca karmienia, nie mogła wytrzymać porównania z tymi kwiatami więdnącymi tak rychło, ale tak pięknymi przez czas, który żyją w przepychach i dostatku. Mimo to życie domowe miało dla Stefana wielkie powaby. W trzy miesiące matka i córka, z pomocą kucharki przybyłej z Sancerre oraz małej Pameli przeobraziły zupełnie mieszkanie. Dziennikarz miał w domu obiad, śniadanie podane z pewnym wykwinem. Dina, piękna i ładnie ubrana, starała się uprzedzać zachcenia drogiego Stefusia; czuł się królem domu, gdzie wszystko, nawet dziecko, było poddane, można rzec, jego egoizmowi. Czułość Diny przejawiała się w najdrobniejszych rzeczach, niepodobna tedy było Stefanowi poniechać przymilnych szalbierstw udanej miłości. Mimo to w trybie życia, w jaki Lousteau dawał się wciągnąć, Dina przewidywała źródło ruiny i dla swej miłości, i dla domu. Po dziesięciu miesiącach karmienia odłączyła syna, przeniosła matkę do apartamentu Stefana i przywróciła to współżycie, które spaja w nierozzerwalny sposób mężczyznę z kobietą, kiedy kobieta jest kochająca i rozumna. Jednym z najbardziej uderzających rysów opowieści stworzonej przez Benjamina Constant i jednym z objaśnień opuszczenia Eleonory, jest ten brak codziennej lub, jeśli wolicie, conocnej zażyłości między nią a Adolfem. Każde z kochanków ma swoje środowisko; oboje poddali się wymaganiom świata, zachowali pozory. Eleonora, wciąż opuszczona, zniewolona jest do olbrzymich wysiłków, aby spłoszyć marzenia o wolności, jakie nawiedzają Adolfa z dala od niej. Ustawiczna wymiana spojrzeń i myśli we wspólnym życiu dają taką broń kobiecie, iż, aby ją rzucić, mężczyzna zmuszony jest podać nieodparte przyczyny, których ona, dopóki kocha, nie da mu w ręce nigdy. Był to zupełnie nowy okres dla Stefana i Diny. Dina chciała być potrzebna, chciała wrócić

energię temu człowiekowi, którego słabość była jej na rękę, gdyż widziała w niej rękomię: znajdowała mu tematy, szkicowała kanwę i w potrzebie pisała zań całe rozdziały: zasyciła żyły tego zamierającego talentu świeżą krwią, dała mu swoje myśli i poglądy. Napisała dwie książki, które miały powodzenie. Niejeden raz ocaliła miłość własną Stefana, zrozpaczonego jałowością swej wyobraźni, dyktując mu, poprawiając lub kończąc jego felietony. Sekretu tego współzawodnictwa strzeżono pilnie: nawet pani Piédefer go nie znała. Ten galwanizm moralny spotkał się z nagrodą w postaci zwiększonych dochodów, które pozwoliły stadłu żyć dostatnio aż do końca roku 1838. Lousteau przyzwyczajał się do tego, iż Dina odrabiała jego pensa, i wypłacał się, jak mówi lud w swoim energicznym języku, *psim swędem*. Te nakłady poświęcenia stają się skarbem, do którego szlachetne dusze przywiązują się; im więcej pani de La Baudraye dawała, tym więcej kochała Stefana; jakoż niebawem przyszedł moment, iż zbyt wiele ją kosztował, aby mogła się go kiedykolwiek wyrzec. Ale zaszła po raz drugi w ciążę. Rok był straszliwy do przebycia. Mimo starań obu kobiet Lousteau zabrnął w długi: nadużył sił, aby pokryć pracą wydatki w czasie połogu Diny, której Stefan wydał się heroiczny, tak dobrze go znała! Po tym wysiłku, przerażony, iż ma dwie kobiety, dwoje dzieci, dwie służące, uczuł się niezdolnym, aby walczyć piórem dla utrzymania rodziny, skoro on sam nie mógł zeń wyżyć. Pozwolił tedy sprawom iść na los szczęścia. Ten okrutny rachmistrz podwoił w domu komedię miłości, aby mieć więcej swobody na zewnątrz. Harda Dina dźwigała sama ciężar tej egzystencji. Ta myśl: „on mnie kocha!” dawała jej nadludzkie siły. Pracowała, jak pracowały najtęższe talenty współczesne. Narażając się na utratę świeżości i zdrowia, Dina była dla Stefana tym, czym panna Delachaux dla Gardane’a we wspaniałej powiastce *To nie bajka* Diderota. Ale poświęcając samą siebie, popełniła ten szczytny błąd, iż poświęciła swoją toaletę. Dawała farbować suknie, ubierała się już tylko czarno. *Cuchnęła czarnym*, jak mówiła Malaga, która podrwiwała sobie mocno ze Stefana. Pod koniec roku 1839 Stefan, na wzór Ludwika XV, doszedł przez niedostrzegalne kompromisy sumienia do tego, iż stworzył różnicę między swoją sakiewką a pieniędzmi *domu*, jak Ludwik XV odróżniał tajemny skarbczyk od swojej „szkatuły”. Oszukiwał Dinę co do sumy swych dochodów. Sposstrzegając te podłostki, pani de La Baudraye przechodziła straszliwe męki zazdrości. Chciała podtrzymać równocześnie życie światowe i życie literackie, towarzyszyła dziennikarzowi na wszystkie premiery i podchwytywała u niego odruchy zranionej miłości własnej, czerń bowiem jej toalety rzucała na niego posępny odcień, chmurzyła mu fizjonomię i czyniła go niekiedy brutalnym. Odgrywając w tym pożyciu rolę kobiety, miał wszystkie jej okrutne wymagania; wyrzucał Dinie zaniedbanie stroju, korzystając równocześnie z tego poświęcenia, które tyle kosztuje kochankę; zupełnie jak kobieta, która, kazawszy ci przejść przez ściek dla ocalenia jej honoru, powiada, kiedy zeń wychodzisz: „Nie lubię błota!”. Dina musiała silniej ująć luźne cugle panowania, jakie wszystkie sprytne kobiety wykonują nad mężczyznami bez woli. Ale przy tej czynności straciła wiele ze swego moralnego blasku. Podejrzenia takie, skoro raz wypłyną, wciągają kobietę w owe sprzeczki, w których zaczyna się brak szacunku, ile że ona sama schodzi z wysokości, na jakiej się postawiła pierwotnie. Następnie poczyniła ustępstwa. Stefanowi wolno było przyjmować przyjaciół, Natana, Bixiou, Blondeta, Finota, których zachowanie, rozmowy, zetknięcie, oddziaływały deprawująco. Próbowano wytłumaczyć pani de La Baudraye, że jej zasady, uprzedzenia były resztką prowincjonalnych przesądów; wmawiano w nią kanony „kobiety wyższej”. Niebawem zazdrość dostarczyła broni przeciw Dinie. W karnawale roku 1840 przebiegała się, szła na bal Opery, uczestniczyła w paru kolacyjkach z loretkami, aby towarzyszyć Stefanowi we wszystkich jego rozrywkach. W dzień *Mi-carême* lub raczej nazajutrz, o ósmej rano, Dina przebrana wracała z balu, aby się położyć. Wybrała się szpiegować Stefana, który w mniemaniu, że jest chora, oddał ten wieczór pannie Fanny Beaupré. Dziennikarz, uprzedzony przez przyjaciela, zachował się w sposób zdolny oszukać biedną kobietę, która niczego nie pragnęła więcej niż być oszukaną. Wsiadając z dorożki, Dina spotkała pana de La Baudraye, któremu odźwierny ją wskazał. Starowina ujął żonę za ramię, mówiąc zimno:

— Czy to pani?

To widmo władzy małżeńskiej, wobec której czuła się tak mała, a zwłaszcza te słowa ścięły lodem serce biednej istoty przydybanej w kostiumie majtka. Aby tym lepiej oszukać Stefana, Dina wybrała strój, pod którym nie mógłby się jej domyślić. Skorzystała z tego,

że była jeszcze w masce, aby umknąć bez odpowiedzi, poszła się przebrać i udała się na piętro do matki, gdzie czekał na nią pan de La Baudraye. Mimo swej wyniosłej miny zaczerwieniła się w obliczu małego staruszka.

— Czego pan sobie życzy ode mnie? — rzekła. — Czyż nie rozstaliśmy się na zawsze?...

— Faktycznie tak — odparł pan de La Baudraye — ale prawnie nie.

Pani Piédefer dawała córce znaki, które Dina wreszcie spostrzegła i zrozumiała.

— Jedynie własny interes może tu pana sprowadzać — rzekła z goryczą.

— Nasze interesy — odparł chłodno człeczyna — mamy bowiem dzieci... Wuj pani, Silas Piédefer, umarł w Nowym Yorku, gdzie, zrobiwszy i straciwszy kilka razy majątek w rozmaitych krajach, zostawił, ostatecznie, jakieś siedem do ośmiuset tysięcy franków, mówią nawet milion dwakroć; ale chodzi o to, aby spieniężyć towary... Jestem głową rodziny, wykonywam pani prawa.

— Och! — wykrzyknęła Dina. — We wszystkim, co się tyczy interesów, mam zaufanie jedynie do pana de Clagny; on zna ustawy, niech się pan z nim porozumie; co on postanowi, będzie dobrze.

— Nie potrzebuję pana de Clagny — rzekł pan de La Baudraye — aby pani odebrać *moje* dzieci...

— Pańskie dzieci! — wykrzyknęła Dina. — Pańskie dzieci, na które nie dałeś ani szeląga! Pańskie dzieci!...

Słowom tym towarzyszył jedynie głośny atak śmiechu; ale postawa pana de La Baudraye zmroziła ten wybuch.

— Matka pokazała mi je właśnie, są śliczne, nie chcę rozstawać się z nimi i zabieram je do Anzy — rzekł pan de La Baudraye — choćby dlatego, aby im oszczędzić oglądania matki przebranej tak, jak się przebierają...

— Dosyć! — rzekła stanowczo pani de La Baudraye. — Czego pan sobie życzył ode mnie, przybywając tutaj?

— Pełnomocnictwa dla podjęcia spadku po wuju...

Dina wzięła pióro, napisała słówko do pana de Clagny i powiedziała mężowi, aby wrócił wieczór. O piątej generalny prokurator — pan de Clagny doczekał się awansu — oświecił pani de La Baudraye położenie; ale podjął się ułożyć wszystko, załatwiając rzecz ugodowo z małym staruszką, którego sprowadziła jedynie chciwość. Pan de La Baudraye, któremu pełnomocnictwo żony było potrzebne, aby mógł swobodnie działać, kupił je na następujących warunkach: najpierw zobowiązał się wypłacać żonie pensję dziesięciu tysięcy franków tak długo (było powiedziane w akcie), jak długo spodoba się jej żyć w Paryżu; ale w miarę jak dzieci dojdą sześciu lat, mają przejść w ręce pana de La Baudraye. Wreszcie urzędnik uzyskał wypłatę z góry jednego roku pensji. Mały de La Baudraye, który bardzo dwornie przyszedł pożegnać się z żoną i dziećmi, ukazał się ubrany w jasny gumowy paltocik. Trzymał się tak dobrze na nogach i tak był podobny do siebie z roku 1836, że Dina zwątpiła, aby kiedykolwiek doczekała się pogrzebu tego strasznego karła. Z ogródka, gdzie palił cygaro, dziennikarz ujrzał pana de La Baudraye, gdy ten owad mijał dziedziniec; ale to wystarczyło Stefanowi: wydało mu się oczywistym, iż mały człeczyna chce zniweczyć wszystkie nadzieje, jakie śmierć jego mogła budzić w baronowej. Ta przelotna scena wiele zmieniła w duszy dziennikarza. Pałac drugie cygaro, Stefan zaczął się zastanawiać nad swą pozycją. Wspólne życie, jakie prowadził z baronową de La Baudraye, kosztowało go dotychczas tyleż pieniędzy, co ją. Aby się posłużyć handlowym wyrażeniem, bilans ich wyrównywał się. Zważywszy swoje skromne zasoby, trudność, z jaką zarabiał, Lousteau uważał się moralnie za wierzyciela. Niewątpliwie godzina była sposobna, aby rzucić tę kobietę. Znużony odgrywaniem od trzech lat komedii, która nigdy nie staje się nawykiem, maskował ustawicznie zdudzenie. Ten człowiek, przyzwyczajony nic nie udawać, nakładał sobie w domu uśmiech podobny temu, jaki ma dłużnik wobec wierzyciela. Przymus ten stawał się z każdym dniem uciążliwszy. Aż dotąd olbrzymie nadzieje, jakie budziła w nim przyszłość, dodawały mu sił; ale kiedy ujrzał małego de La Baudraye puszczającego się do Stanów Zjednoczonych równie lekko, co gdyby chodziło o przejażdżkę statkiem do Rouen, zwątpił o przyszłości. Przeszedł z ogrodu do wytwornego saloniku, gdzie Dina pożegnała się właśnie z mężem.

— Stefanie — rzekła pani de La Baudraye — czy wiesz, co mój pan i władca mi oznajmił? Iż w razie, gdybym chciała mieszkać w Anzy przez czas jego nieobecności, wydał rozkazy w tej mierze; ma nadzieję, że roztropne rady matki skłonią mnie do powrotu z dziećmi.

— Doskonała rada — odparł sucho Lousteau, który dosyć znał Dinę, aby wiedzieć, jakiej namiętnej odpowiedzi pragnęła i żebrała zresztą wzrokiem.

Ton, akcent, obojętne spojrzenie, wszystko to ugodziło tak twardo kobietę, która żyła tylko swą miłością, iż bez słowa odpowiedzi dwie grube łzy potoczyły się jej po twarzy. Lousteau spostrzegł się dopiero w chwili, gdy wzięła chustkę, aby otrzeć te dwie perły boleści.

— Co tobie, Dynus? — zapytał tknięty w serce tą wrażliwością mimozy.

— W chwili, gdy ja byłam szczęśliwa, iż zdobyłam na zawsze naszą swobodę — rzekła — za cenę mego majątku, sprzedając to, co matka ma najdroższego, własne dzieci!... odbiera mi je bowiem od szóstego roku i aby je widzieć, trzeba by wracać do Sancerre! Męka! Och! Boże! Com ja uczyniła!

Lousteau przysiadł u kolan Diny i ucałował jej ręce, obsypując ją najtkliwszymi pieszczotami.

— Nie rozumiesz mnie — rzekł. — Zdaję sobie sprawę z siebie, niewart jestem wszystkich tych poświęceń, drogi aniele. Ja jestem, mówiąc po literacku, człowiekiem bardzo drugorzędnym. W dniu, w którym nie będę mógł już brylować w odcinku dziennika, przedsiębiorcy cygaństw publicznych zostawią mnie niby stary pantofel, który porzuca się na rogu ulicy. Pomyśl, my biedne linoskoczki, my nie mamy emerytury! Za wielu utalentowanym ludziom trzeba by wypłacać pensje, gdyby państwo puściło się na tę filantropię! Mam czterdzieści dwa lata, zrobiłem się leniwy jak suseł. Czuję to: miłość moja — ucałował bardzo tkliwie jej rękę — może ci być tylko nieszczęściem. Żyłem, wiesz o tym, mając dwadzieścia dwa lata, z Floryną, ale to, co jest zrozumiałe za młodu, co wówczas wydaje się ładne, urocze, staje się wstydlive w czterdziestym roku. Do dziś dzieliliśmy ciężar egzystencji; od półtora roku nie jest ona najpiękniejsza. Przez poświęcenie dla mnie chodzisz wciąż czarno, co mi nie przynosi zaszczytu... — Dina uczyniła w tym miejscu wspaniały gest, wymowniejszy niż wszystkie słowa... — Tak — ciągnął Stefan — wiem o tym, poświęcasz wszystko dla mnie, nawet swoją piękność. A ja, z sercem zużytym w walkach, z duszą pełną złych przeczuć co do mej przyszłości, nie wynagradzałem twojej słodkiej miłości równym uczuciem. Byliśmy przez długi czas bardzo szczęśliwi, bez chmurki... Nie chciałbym, aby tak piękny poemat miał się brzydko zakończyć, czy to źle z mojej strony?

Pani de La Baudraye tak kochała Stefana, iż ten rozsądek, godny pana de Clagny, sprawił jej przyjemność i osuszył łzy.

„Kocha mnie tedy bezinteresownie!” — rzekła sobie, spoglądając nań z uśmiechem w oczach.

Po czterech latach współżycia miłość tej kobiety zjednoczyła w końcu wszystkie odcienie odkryte przez naszego ducha analizy i stworzone przez nowożytne społeczeństwo; jeden z najwybitniejszych ludzi tego czasu, którego świeża strata okrywa jeszcze żałobą piśmiennictwo, Beyle (Stendhal), pierwszy scharakteryzował je doskonale. Lousteau wywierał na Dinę to żywe oddziaływanie tłumaczące się magnetyzmem, które zagarnia wszystkie siły ciała i duszy i niszczy u kobiet wszelki pierwiastek oporu. Jedno spojrzenie Stefana, ręka położona na ręce Diny, czyniły ją zupełnie posłuszną. Słodkie słowo, uśmiech tego człowieka rozkwitały w duszy biednej kobiety, wzruszonej lub osmuconej pieszczotą lub chłodem jego oczu. Kiedy ujmowała go pod ramię, idąc zgodnie z jego krokiem na ulicy lub na bulwarach, była tak zupełnie roztopiona w nim, iż traciła świadomość swego *ja*. Oczarowana dowcipem, urzeczona wzięciem tego człowieka, widziała jedynie lekkie wady w jego przywarach. Lubiała kłęby tytoniowego dymu, jakie wiatr przynosił jej z ogrodu do pokoju, skradała się, aby je wdychać bez najlżejszego skrzywienia, kryła się, aby się nimi napawać. Czuła nienawiść do księgarza lub redaktora, gdy odmawiali Stefanowi pieniędzy, powołując się na ogromne już pobrane sumy. Dochodziła nawet do zrozumienia tego, że ów niepoprawny cygan pisze nowelę, za którą ma dostać gotówkę, zamiast oddać ją dla umorzenia dawnych zaliczek. Taką jest niewątpliwie prawdziwa miłość, obejmuje wszystkie sposoby kochania: miłość sercem, głową, miłość

przez zmysły, miłość z kaprysu, miłość z empatii, wedle określeń Beyle'a. Dina kochała tak, iż w pewnych chwilach, gdy jej zmysł krytyczny, tak trafny, tak nieustannie ćwiczony od czasu pobytu w Paryżu, kazał jej czytać jasno w duszy Stefana, uczucie brało górę nad rozsądkiem i podsuwało jej usprawiedliwienia.

— A ja — odparła mu — czym jestem? Kobieta, która postawiła się poza społeczeństwem. Kiedy ja depcę honor kobiety, czemuż byś ty nie miał dla mnie poświęcić nieco honoru mężczyzny? Czy nie żyjemy poza wszelką ramą? Czemu nie miałbyś przyjąć ode mnie tego, co Natan przyjmuje od Floryny? Policzymy się, kiedy się będziemy rozchodzić, a... ty wiesz!... Śmierć tylko nas rozłączy. Twój honor, Stefanie, to moje szczęście, jak moim jest moja stałość i twoje szczęście. Jeśli nie jesteś ze mną szczęśliwy, wszystko skończone. Jeżeli zrobię ci jedną przykrość, skaz mnie. Długi splecione, mamy dziesięć tysięcy franków renty, a zarobimy przecież we dwoje osiem tysięcy rocznie... *Będę pisała sztuki!* Mając półtora tysiąca franków na miesiąc, czyż nie będziemy bogaci jak Rotszyldy? Bądź spokojny. Teraz będę miała cudowne toalety, będziesz się mógł mną pysznić, jak wtedy, w dzień premiery Natana...

— A matka twoja, która chodzi co dzień na mszę, która chce ci sprowadzić księdza i wyrwać cię z twego życia!

— Każdy ma swoją słabostkę. Ty palisz, ona mnie katechizuje, pocziwa kobieta! Ale za to dba o dzieci, prowadzi je na spacer, jest całkowicie oddana, ubóstwia mnie; chcesz jej zabronić płakać?...

— Co powiedzą o mnie?

— Ależ my nie żyjemy dla świata! — wykrzyknęła, unosząc Stefana i sadzając go przy sobie. — Zresztą pobierzemy się kiedyś, kto wie, mamy za sobą szanse morskiej podróży...

— Nie myślałem o tym — wykrzyknął naiwnie Lousteau, który rzekł sobie w duchu: „Będzie zawsze czas zerwać po powrocie męża”.

Począwszy od tego dnia, Lousteau żył wystawnie; Dina mogła na premierach walczyć z najlepiej ubranymi kobietami w Paryżu. Kołysany domowym szczęściem, Lousteau odgrywał wobec przyjaciół przez próżność rolę człowieka gnębionego, znudzonego, zrujnowanego przez panią de La Baudraye. „Och! Jakżeby był wdzięczny przyjacielowi, który by mnie uwolnił od Diny! Ale nikomu by się to nie powiodło — mówił — kocha mnie tak, iż byłaby się zdolna rzucić oknem, gdybym jej rzekł słowo”. Dziennikarz kazał się żałować, ubezpieczał się od zazdrości Diny, kiedy go wyciągano na jakąś hulankę. Zdradzał ją zresztą bezwstydnie. Kiedy pan de Clagny, szczerze zrozpaczony że widzi Dinę w tak niegodnym położeniu wówczas, gdy mogła być tak bogata, tak wysoko postawiona, tak bliska ziszczenia dawnych ambicji, przyszedł jej powiedzieć: „On panią oszukuje!”. Odparła: „Wiem o tym!”.

Urzędnik osłupiał. Odzyskał mowę, aby uczynić jakąś uwagę.

— Czy kocha mnie pan jeszcze? — spytała pani de La Baudraye, przerywając za pierwszym słowem.

— W piekło poszedłbym dla pani!... — wykrzyknął, zrywając się na nogi.

Oczy biednego człowieka płonęły jak pochodnie, drżał jak liść, uczuł, iż krtań mu zmartwiała, włosy zadrzały u samych korzeni; uwierzył przez chwilę, iż bóstwo jego weźmie go za mściciela i ta mizerna nadzieja uczyniła go niemal szalonym ze szczęścia.

— Czemuż więc pan się dziwi — rzekła, sadzając go z powrotem — oto, jak ja kocham.

Urzędnik zrozumiał wówczas ten argument *ad hominem*. I lzy stanęły mu w oczach, jemu, który dopiero co skazał człowieka na śmierć! Przesyt Stefana, to okropne zakończenie pożycia *na wiareg*, objawiał się w tysiącu drobnych rzeczy, będących niby ziarnka piasku rzucane w szyby zakłętego pałacyku, w którym się snuje marzenia miłości. Te ziarnka piasku, które stają się żwirem, Dina spostrzegła dopiero wówczas, gdy doszły rozmiarów kamienia. Pani de La Baudraye osądziła w końcu trafnie Stefana. „To — mówiła do matki — poeta bez żadnej obrony przeciw nieszczęściu, słaby z lenistwa, a nie przez brak serca, zbyt mało odporny na pokusy rozkoszy; słowem to kot, którego nie można nienawidzić. Cóż by się z nim stało beze mnie? Zniweczyłam jego małżeństwo,

nie ma już przyszłości. Talent jego przepadłby w nędzy”. „O, moja Dino — wykrzyknęła pani de Piédefer — w jakimż ty piekle żyjesz?... Jakie uczucie da ci siłę wytrwania?...”

— Będę jego matką! — rzekła.

Istnieją okropne położenia, w których człowiek zdobywa się na determinację dopiero wówczas, kiedy przyjaciele spostrzegą naszą hańbę. Łudzimy samych siebie, póki uchodzimy oczu cenzora. Pan de Clagny, niezręczny jak typowy *patito*, stał się katem Diny! „Aby ocalić mą miłość, będę tym, czym była pani de Pompadour dla ocalenia władzy” — rzekła sobie, skoro pan de Clagny odszedł. To słowo dostatecznie objaśnia, iż miłość zaczynała być Dinie ciężka do dźwigania i że miała być pracą zamiast przyjemnością.

Nowa rola przybrana przez Dinę była straszliwie bolesna, a Lousteau nie czynił jej łatwą. Kiedy chciał wyjść po obiedzie, improwizował cudowne scenki, obsypywał Dinę słowami naprawdę pełnymi czułości, szarpał łańcuch swej ofiary, kiedy zaś dosyć ją udręczył, królewski niewdzięcznik mówił wśród tej kaźni: „Czy zrobiłem ci przykrość?”. Te kłamliwe pieszczoty, te maskarady miały niekiedy ubliżające następstwa dla Diny, która wierzyła w nawroty czułości. Niestety! *matka* ustępowała z hańbiącą łatwością miejsca *Dynuśce!* Czuli się zabawką w rękach tego człowieka, aż rzekła sobie w końcu: „Więc dobrze! Chcę być jego zabawką!”, znajdując w tym jakąś piekącą przyjemność, rozkosze potępienia. Kiedy ta kobieta o umyśle tak męskim zajrzała myślą w otchłań samotności, uczuła, iż odwaga jej słabnie. Wolała przewidywane, nieuniknione męki tego okrutnego współżycia niż wyrzeczenie się słodczy tym rozkoszniejszych, iż rodziły się wśród wyrzutów, wśród straszliwych walk ze samą sobą, wśród *nie* zmieniających się w *tak!* Była to w każdej chwili kropla słonawej wody znaleziona w pustyni, pita z większą rozkoszą, niż podróżnik zakosztował jej kiedy, smakując najlepsze wina przy książęcym stole. Kiedy Dina mówiła sobie o północy: „Czy wróci?”, odżywała dopiero na tak dobrze znany odgłos chodu Stefana, poznawała jego sposób dzwonienia. Często próbowała się posługiwać rozkoszą jak wędzidłem, znajdowała podniecie w tym, aby walczyć z rywalkami, aby im nic nie zostawić w tym nasyconym sercu. Ileż razy odgrywała tragedię *Ostatniego dnia skazańca*, mówiąc sobie: „Jutro rozstaniemy się!”. I ileż razy słowo, spojrzenie, pieszczota nacechowana szczerością wtrącały ją na nowo w miłość! To było często straszne! Niejeden raz krążyła blisko samobójstwa, kręcąc się dokoła tego paryskiego trawnika, z którego wznosiły się blade kwiaty!... Słowem, nie wyczerpała olbrzymiego skarbu poświęcenia i miłości, jaki kochające kobiety mają w sercu. Powieść o *Adolfie* była jej Biblią, studiowała ją; ponad wszystko inne bowiem nie chciała być Eleonorą. Unikała łez, strzegła się wszystkich owych goryczy tak przenikliwie opisanych przez krytyka, któremu zawdzięczamy analizę tego przejmującego dzieła i którego komentarz wydawał się Dinie niemal wyższy od książki. Toteż odczytywała często wspaniały artykuł jedyne go krytyka²⁰, którego posiadała „*Revue des deux Mondes*”, artykuł pomieszczony na czele nowego wydania *Adolfa*. „Nie — mówiła sobie, powtarzając nieszczęsne słowa — nie, nie uczynię z moich próśb nakazu, nie będę się chwytała łez niby pomsty, nie będę sądziła uczynków, które uznawałam niegdyś bez kontroli, nie będę ścigała ciekawym okiem jego kroków; jeśli się wymknie, nie zastanie za powrotem despotycznych ust, których pocałunek będzie niby rozkaz bez repliki. Nie, milczenie moje nie będzie skargą, a mowa nie będzie wyrzutem!... Nie będę pospolitą” — mówiła sobie, kładąc na stoliku żółty tomik, który już ściągnął na nią tę aluzję Stefana: „*Patrzenie, czytasz Adolfa?*”. „Choćbym miała tylko jeden dzień, w którym pozna moją wartość, w którym sobie powie: «Nigdy nie słyszałem krzyku mej ofiary!» To dosyć! Zresztą inne mają tylko chwile, a ja będę miała całe jego życie!”

Uważając, iż postępowanie żony uprawnia go do ukarania jej sądem domowym, pan de La Baudraye miał tę delikatność, iż okradł Dinę dla dokończenia wielkiego przedsięwzięcia uprawienia tysiąca dwustu hektarów karczowisk, na które od 1836 obracał swoje dochody, żyjąc jak nędzarz. Manipulował tak dobrze walorami zostawionymi przez Silasa Piédefer, iż zdołał sprowadzić urzędową likwidację do ośmiuset tysięcy, przywożąc w rzeczywistości milion dwakroć. Nie uwiadomił żony o powrocie; ale gdy ona cierpiała niewysłowione męki, on wznosił folwarki, kopał rowy, sadził drzewa, rzucał się na śmiałe karczowania, które zyskały mu reputację jednego z najwybitniejszych agronomów. Czteryście tysięcy franków zagarnięte żonie wsiąkły w trzy lata w tę operację, dzięki której

²⁰jedyne go krytyka, którego posiadała „*Revue des deux Mondes*” — Sainte-Beuve. [przypis tłumacza]

Anzy miało w danej chwili przynosić siedemdziesiąt dwa tysiące na czysto, po opłaceniu podatku. Co do ośmiuset tysięcy franków, umieścił je w rencie na cztery i pół od sta, stojącej po osiemdziesiąt dzięki przesileniu finansowemu, jakie sprowadziło ministerium tzw. *Pierwszego Marca*. Zapewniając w ten sposób czterdzieści osiem tysięcy franków swojej żonie, uważał się z nią za skwitowanego. Czyż nie mógł jej wykazać miliona dwakroć z chwilą, gdy renta przekroczy sto? Znaczenie jego w Sancerre przerastała jedynie powaga najbogatszego posiadacza ziemskiego we Francji, którego stawał się rywalem. Liczono go na sto czterdzieści tysięcy franków renty, z tego dziewięćdziesiąt w gruntach tworzących majorat. Obliczywszy, iż ze swoich dochodów opłaca dziesięć tysięcy franków podatku, trzy tysiące kosztów, dziesięć tysięcy franków żonie i tysiąc dwieście teściowej, powiedział na licznych zebraniach w Towarzystwie Literackim: „Utrzymują, że jestem skąpy, że nic nie wydaję, a ja i tak wydaję dwadzieścia sześć tysięcy pięćset franków na rok. A jeszcze będę miał na głowie wychowanie moich dwóch chłopców! Może się to nie podoba Milaudom z Nevers, ale druga linia La Baudraye ma przed sobą drogę równie piękną, jak miała pierwsza. Pojadę prawdopodobnie do Paryża, przedłożyć królowi prośbę o tytuł hrabiego (pan Roy jest hrabią); żonie zrobi przyjemność zostać hrabiną”. Wszystko to było powiedziane z tak doskonale zimną krwią, że nikt nie śmiał żartować sobie z małego człowieczka. Jedyne prezydent Boirouge odpowiedział: „Na pańskim miejscu czułbym się szczęśliwy dopiero wówczas, kiedy bym miał córkę...” „Hm — rzekł baron — niedługo będę w Paryżu...”

Z początkiem roku 1842 pani de La Baudraye, czując, iż ciągle odgrywa rolę kopcuszka, znów uczyniła z siebie ofiarę dla dobrobytu Stefana: wróciła do czarnych sukien; ale tym razem była to żałoba, szczęście jej bowiem zmieniło się w wyrzuty. Zbyt często wstydziała się samej siebie, aby nie czuć niekiedy ciężaru swego łańcucha. Nieraz matka zaszła ją w owych chwilach głębokiej zadumy, w której wizja przyszłości pograża nieszczęśliwych w rodzaju odrętwienia. Idąc za radą spowiednika, pani Piédefer czyhała na chwilę znużenia, którą ksiądz przepowiadał; wówczas starała się przemawiać w interesie dzieci. Zadowolona się żądaniem rozdziału mieszkania, nie wymagając rozdziału serc. W rzeczywistości tego rodzaju naprężone sytuacje nie kończą się jak w książkach śmiercią lub zręcznie ułożoną katastrofą; kończą się o wiele mniej poetycznie, niesmakiem, skażeniem wszystkich kwiatów duszy, trywialnością przyzwyczajenia, ale często także innym uczuciem, odzierającym kobietę z owego zainteresowania, jakim otacza się ją z nawyku. Owóż, kiedy zdrowy rozsądek, kiedy konwenans społeczny, interes rodziny, kiedy wszystkie czynniki tego, co nazywano za Restauracji moralnością publiczną, przez odrazę do słowa *religia katolicka*, schodzą się z poczuciem ran nazbyt dotkliwych, kiedy znużenie poświęceniem doszło prawie do wyczerpania i kiedy w tym położeniu jakiś cios zbyt gwałtowny, jedna z owych nikczemności, jakie mężczyźni odsłaniają jedynie kobietom, których czują się panami, doprowadzi do szczytu niesmak, rozczarowanie, wówczas nadeszła godzina dla przyjaciela podejmującego kurację. Pani Piédefer niewiele tedy miała trudu, aby zdjąć bielmo z oka córki. Posłała po naczelnego prokuratora. Pan de Clagny dokończył dzieła, upewniając panią de La Baudraye, iż gdyby się wyrzekła życia ze Stefanem, mąż zostawiłby jej dzieci, pozwoliliby mieszkać w Paryżu i oddałby jej do rozporządzenia jej majątek.

— Cóż za egzystencja! — rzekł. — Biorąc się zręcznie do rzeczy, przy pomocy nabożnych i miłosiernych osób, mogłaby pani mieć salon i odzyskać pozycję. Paryż to nie Sancerre!

Dina zdała w ręce pana de Clagny troskę o przeprowadzenie transakcji z karzełkiem. Pan de La Baudraye dobrze sprzedał wino, sprzedał wełnę, wyciął przeznaczoną na to część lasu i przybył, nic nie mówiąc żonie, do Paryża, aby ulokować dwieście tysięcy franków, kupując przy ulicy *des Arcades* śliczny pałacyk, dzięki likwidacji jakiejś nadwerężonej arystokratycznej fortuny. Będąc członkiem rady generalnej departamentu od roku 1826 i płacąc dziesięć tysięcy franków podatku, podwójnie dopełniał warunków wymaganych przez nowe prawo o parostwie. Na jakiś czas przed powszechnymi wyborami w 1842 zgłosił swoją kandydaturę, w razie gdyby go nie mianowano parem Francji. Żądał również tytułu hrabiego i komandorii Legii Honorowej. W kwestii wyborów wszystko, co mogło wzmocnić nominacje dynastyczne, było w oczach ministrów sprawiedliwe; owóż w razie, gdyby pan de La Baudraye wszedł do rządu, Sancerre stawało się bar-

dziej niż kiedykolwiek zaprzędane nowemu kursowi. Pan de Clagny, którego zdolności i skromność oceniano coraz bardziej, poparł pana de La Baudraye; wskazał, iż wyniesienie tego dzielnego agronoma stałoby się rękojmnią użyzoną materialnym interesom. Pan de La Baudraye raz mianowany hrabią, parem Francji i komandorem Legii, miał tę próżność, aby zapragnąć reprezentacji w żonie i domu prowadzonym na wielką stopę: „Chcę — powiadał — używać życia”. Zwrócił się tedy do żony w liście, podyktowanym przez naczelnego prokuratora, z prośbą, aby zamieszkała jego pałac, umeblowała go, rozwinęła w nim ów smak, którego dowody zachwycaly go, powiadał, w zamku Anzy. Świeży hrabia zwrócił uwagę żony, że gdy wspólne interesy majątkowe nie pozwalają mu opuszczać Sancerre, wychowanie synów wymaga, aby ona pozostała w Paryżu. Uprzejmy mąż upoważniał tedy pana de Clagny, aby wręczył hrabinie sześćdziesiąt tysięcy franków na wewnętrzne urządzenie pałacu La Baudraye, polecając wmurować nad bramą płytę z napisem: *Pałac de La Baudraye*. Następnie, zdając sprawę żonie z wyników likwidacji po wuju Piédefer, pan de La Baudraye zdeklarował lokatę (na cztery i pół od sta) ośmiuset tysięcy franków przywiezionych z Nowego Yorku i przyznał Dinie tę rentę na jej wydatki, licząc w to koszt wychowania dzieci. Zmuszony poniekąd przebywać w Paryżu przez część posiedzeń Izby Parów, prosił żonę, aby mu zachowała apartament w pałacu.

— Niesłychane! Robi się młody, robi się szlachcicem, robi się hojny, co z niego jeszcze będzie? To dreszcz przechodzi doprawdy — rzekła pani de La Baudraye.

— Spełnia wszystkie pragnienia, jakie pani miała w dwudziestym roku — odparł urzędnik.

Porównanie losu, jaki czekał Dinę, z jej losem obecnym było nieodparte. Jeszcze poprzedniego dnia Anna de Fontaine odwróciła głowę, aby nie widzieć serdecznej przyjaciółki z pensji. Dina rzekła sobie: „Jestem hrabiną, będę miała na powozie błękitny płaszcz parów, w salonie gwiazdy literatury... wówczas ja spojrzę na nią...!” Ta drobna satysfakcja zaważyła całym swym ciężarem w chwili decyzji, jak wzgarda świata zaciężyla niegdyś nad szczęściem Diny.

Pewnego pięknego dnia w maju roku 1842 pani de La Baudraye zapłaciła wszystkie długi domowe i zostawiła tysiąc talarów na pliku pokwitowanych rachunków. Posławszy matkę i dzieci do pałacu de La Baudraye, czekała na dziennikarza zupełnie ubrana jak do wyjścia. Skoro ekskról jej serca wrócił na obiad, rzekła:

— Zupa wykipiała, garnki są próżne. Pani de La Baudraye zaprasza cię na obiad do *Rocher de Cancalle*. Chodź.

Pociągnęła Stefana, zdziwionego niedbałym tonikiem, jaki przybrała ta kobieta, rano jeszcze uległa jego najłżejszym kaprysom: i ona bowiem grała od dwóch miesięcy komedię.

— Pani de La Baudraye *wysztafirowała* się jak na *premierę* — rzekł, posługując się skróceniem, jakim określa się w dziennikarskim żargonie pierwsze przedstawienie sztuki.

— Nie zapominaj o szacunku, jaki jesteś winien pani de La Baudraye — rzekła poważnie Dina. — Nie chcę już wiedzieć, co znaczy słowo *wysztafirowała*...

— Dynuśka się buntuje? — rzekł, ujmując ją wpół.

— Nie ma już Dynuśki, zabiłeś ją, mój drogi — odparła, uwalniając się. — Zapraszam cię na premierę hrabiny de La Baudraye.

— Więc to prawda, nasz owad jest parem Francji?

— Nominacja będzie dziś wieczór w „Monitorze”, mówił mi pan de Clagny, który sam przechodzi do trybunału kasacyjnego.

— W istocie — rzekł dziennikarz — entomologia społeczna powinna być mieć przedstawiciela w Izbie...

— Mój przyjacielu, rozchodzimy się na zawsze — rzekła pani de La Baudraye, powściągnąwszy drżenie głosu. — Odprawiłam obie służące. Za powrotem znajdziesz gospodarstwo uregulowane i bez długów. Będę miała dla ciebie zawsze, ale potajemnie, serce matki. Rozstańmy się spokojnie, bez hałasu, jak ludzie dobrze wychowani. Czy masz mi jaki zarzut do uczynienia przez tych sześć lat?

— Żadnego, chyba ten, żeś mi złamała życie i zniweczyła przyszłość. Czytałaś nieraz książkę Benjamina Constant i studiowałaś nawet ostatni artykuł, jaki o niej napisano; ale czytałaś jedynie oczami kobiety. Mimo że posiadasz wspaniałą inteligencję, która zapew-

niłaby los poecie, nie odważyłaś się wznieść do męskiego punktu widzenia. Ta książka, moja droga, ma dwie płcie. Pamiętasz?... Ustaliliśmy swego czasu, że istnieją książki męskie i żeńskie, książki-brunetki i blondynki... W *Adolfie* kobiety widzą jedynie Eleonorę, młodzi ludzie widzą Adolfa, mężczyźni dojrzały Adolfa i Eleonorę, myśliciele widzą życie społeczne! Uwolniłaś się od trudu wchodzenia w duszę Adolfa, jak ów krytyk zresztą, który widział tylko Eleonorę. Co zabija tego chłopca, moja droga, to to, że zmarnował dla kobiety swą przyszłość; że nie będzie niczym, mogąc wprzód być wszystkim, ani ambasadorem, ani ministrem, ani szambelanem, ani poetą, ani człowiekiem bogatym. Oddał sześć lat energii, porę, w której mężczyzna może poddać się próbom jakiegokolwiek terminu, dla spódnicy, którą uprzedził tylko na drodze niewdzięczności, kobieta bowiem, która mogła rzucić pierwszego kochanka, musiała prędzej czy później puścić kantem drugiego. Wreszcie Adolf to niemiecki blondas, który nie czuje siły do oszukania Eleonory. Istnieją Adolfowie, którzy oszczędzają swojej Eleonorze upokarzających sprzeczek, skarg; powiadają sobie: „Nie będę mówił o tym, com utracił! Egoizmowi, któremu się poddałem, nie będę wciąż pokazywał uciętej pięści”, jak czyni Ramorny w *Ładnej dziewczynie z Perth*; ale tych, moja droga, tych się rzuca... Adolf jest chłopcem z dobrego domu, młodym arystokratą, który chce wrócić na drogę zaszczytów i odzyskać swoje wiano społeczne, swą naruszoną reputację. Ty grasz w tej chwili obie osobistości naraz. Odczuwasz ból, jaki sprawia stracona pozycja, i czujesz się w prawie opuścić biednego kochanka, który na swoje nieszczęście uważał cię za kobietę wyższą, zdolną zrozumieć, że o ile u mężczyzny serce winno być stałe, zmysły mogą sobie pozwalać na kaprysy.

— Czy sądzisz, że nie będę pracowała nad tym, aby ci zwrócić przyszłość, której cię pozbawiłam? Bądź spokojny — odparła pani de La Baudraye spiorunowana tą tyradą — twoja Eleonora nie umiera, a jeśli Bóg użyje jej życia, jeśli zmienisz postępowanie, jeśli się wyrzekniesz loretek i aktorek, znajdziemy dla ciebie coś lepszego niż Felicję Cardot.

Zmarkotnieli oboje: Lousteau udawał smutek, chciał się okazać suchy i zimny; gdy Dina naprawdę smutna nadsłuchiwała wyrzutów swego serca.

— Czemu byśmy nie mieli — rzekł Lousteau — skończyć tak, jak należało zacząć: ukryć oczom wszystkich naszą miłość i widywać się potajemnie?

— Nigdy! — odparła świeża hrabina lodowatym tonem. — Czy nie czujesz, że my jesteśmy, ostatecznie, ludzie skończeni? Uczucia nasze wydają się nam nieskończone mocą przedsmaku niebios, jaki w nas mieszka; ale tu, na ziemi, mają one granice w sile naszych organizacji. Istnieją miękkie i podatne natury, które mogą otrzymać nieskończoną ilość ran i wytrwać; ale są inne, z twardszego kruszcu, które łamią się w końcu pod uderzeniem. Byłeś...

— Och! dosyć — rzekł — nie mówmy do druku!... Twój felieton jest bezcelowy, skoro możesz się usprawiedliwić jednym słowem: *Już nie kocham!*

— A! Więc to ja już nie kocham?... — wykrzyknęła oszołomiona.

— Z pewnością. Obliczyłaś, że przynoszę ci więcej zgryzot, więcej kłopotów niż przyjemności i opuszczasz swego współnika...

— Ja opuszczam!... — wykrzyknęła, wznosząc obie ręce.

— Czyż nie powiedziałaś przed chwilą: *Nigdy?*...

— A więc tak! *Nigdy* — odparła z siłą.

To ostatnie *nigdy*, podyktowane obawą popadnięcia znów pod władzę Stefana, on wytłumaczył sobie jako koniec swego panowania z chwilą, gdy Dina pozostała nieczuła na jego wzgardliwe sarkazmy. Dziennikarz nie mógł wstrzymać łzy: tracił przywiązanie szczerze, nieograniczone. Znalazł w Dinie najsłodsza La Vallière, najmilsza Pompadour, jakiej egoista, który nie jest królem, mógł pragnąć; i jak dziecko, które spostrzeża, iż tak długo dręczyło chrząszczyka, aż go zabiło, Lousteau zapłakał. Pani de La Baudraye wypadła z saloniku, zapłaciła obiad i pomknęła na ulicę *des Arcades*, łając samą siebie i wyrzucając sobie okrucieństwo.

Dina, która uczyniła ze swego pałacyku model komfortu, przeobraziła i własną osobę. Ta podwójna metamorfoza kosztowała trzydzieści tysięcy ponad przewidywania młodego para Francji. Nieszczęsny wypadek, który pozbawił Orleanów dziedzica tronu, spowodował zwołanie Izby Parów w sierpniu 1842; wcześniej tedy, niż mniemał, mały La Baudraye miał sposobność przedstawić swoje tytuły szlacheckiej Izbie i ujrzał wówczas dzieło żony; był tak zachwycony, iż wyłożył trzydzieści tysięcy franków bez słowa, jak niegdyś dał

osiem tysięcy, aby urządzić La Baudraye. Wracając z Luksemburga, gdzie wedle zwyczaju przedstawili go dwaj parowie, baron de Nucingen i margrabia de Montriveau²¹, świeży hrabia spotkał starego księcia de Chaulieu, jednego ze swych dawnych dłużników, pieszo, z parasolem w rękę, gdy on sam rozpierał się w zgrabnym powoziku, na którego drzwiczkach błyszczał jego herb i widniało godło: *Deo sic patet fides et hominibus*. Porównanie to wlało w serce jego porcję owego balsamu, jakim upaja się mieszczaństwo od roku 1840. Pani de La Baudraye przeraziła się, widząc męża w lepszym zdrowiu niż w dzień ślubu. Upojony najwyższą radością wyskrobek puszył się w sześćdziesiątym czwartym roku życia, którego mu zaprzeczano, rodziną, której piękny Milaud de Nevers mu bronił, żoną, która tego dnia przyjmowała u siebie na obiedzie oboje państwa de Clagny, proboszcza parafii i dwóch *ojców chrzestnych* świeżego para. Popieścił dzieci z uroczą próżnością ojcowską. Wykwint zastawy zyskał jego pełne uznanie.

Mimo iż żarta głęboką melancholią, powściąganą z siłą kobiety obecnie naprawdę *wyższej*, Dina była urocza, przemiła, a zwłaszcza wydawała się odmlodzona w swojej żalobie serdecznej.

— Można by rzec — wykrzyknął mały de La Baudraye do pana de Nucingen, pokazując żonę — że hrabina nie ma trzydziestu lat!

— A! *Bani jezd gobitą drzyciestoletnią?* — podchwycił baron, który posługiwał się uświęconymi konceptami, widząc w nich rodzaj liczmanów konwersacji.

— W całym tego słowa znaczeniu — odparła hrabina — mam bowiem lat trzydzieści pięć, a należy przypuszczać, że chowam w sercu jakąś małą pasyjkę...

— Tak, żona zrujnowała mnie na garczki, chińszczyzny.

— Wcześniej objawiła pani ten smak — rzekł, uśmiechając się, margrabia de Montriveau.

— Tak — odparł mały La Baudraye, patrząc zimno na margrabiego, którego znał z Bourges — wie pan, że w latach 25, 26 i 27 zebrała za więcej niż za milion osobliwości, które robią z Anzy istne muzeum...

„Cóż za tupet!” — pomyślał pan de Clagny, znajdując prowincjonalnego skąpiturowa w wysokości nowej pozycji.

Skąpcy mają nagromadzonego kapitał wszelakiego rodzaju oszczędności. Nazajutrz po uchwaleniu przez Izbę prawa regencji, mały par Francji pospieszył na winobranie do Sancerre i wrócił do swoich przyzwyczajęń.

W zimie roku 1842 hrabina de La Baudraye, wspierana przez prokuratora najwyższego trybunału, próbowała stworzyć sobie towarzystwo. Oczywiście wybrała dzień, uczyniła wybór między *slawami*, chciała przyjmować jedynie ludzi poważnych i dojrzałych wiekiem. Próbowała rozerwać się, uczęszczając do *Włoskiego* i do Opery. Dwa razy na tydzień prowadziła tam matkę i panią de Clagny, którą urzędnik zmusił do utrzymywania stosunków z panią de La Baudraye. Ale mimo swego dowcipu i wdzięku, mimo pozorów modnej kobiety Dina czuła się szczęśliwa jedynie przez dzieci, na które przeniosła wszystkie swoje zawiedzione czułości. Niezrównany pan de Clagny werbował kobiety do towarzystwa hrabiny i udawało mu się! Ale o wiele lepiej powodziło mu się z dewotkami niż z modniami. „Nudzą ją!” — myślał ze zgrozą, patrząc na swoje bóstwo dojrzałe przez nieszczęście, pobladłe od wyrzutów, wówczas w całym blasku piękności odzyskanej dzięki dostatniemu życiu i dzięki macierzyństwu. Oddany urzędnik, wspierany w swoim dziele przez matkę i proboszcza, cudowny był w obmyślaniu sposobów. Co śródę dostarczał drogiej hrabinie jakiejś sławy z Niemiec, Anglii, Włoch lub Prus; zachwalał ją jako kobietę *nieporównaną* ludziom, do których Dina nie odzywała się ani dwóch słów, ale których słuchała z tak głęboką uwagą, iż odchodzili przeświadczeni o swej wyższości. Dina zwyciężyła w Paryżu milczeniem, jak w Sancerre gadatliwością. Od czasu do czasu, cięta uwaga lub podkreślenie jakiejś śmieszności odsłaniały kobietę przywykłą obracać się w świecie myśli i która cztery lata temu odmlodziła felieton Stefana. Epoka ta była dla miłości biednego urzędnika tym, czym okres zwany *babim latem* dla roku bez słońca. Przybrał pozory sędziwszego, niż był w istocie, aby mieć prawo być przyjacielem Diny, nie narażając jej: jak gdyby był młody, piękny, niebezpieczny, pan de Clagny usuwał się na bok niby człowiek obowiązany kryć swe szczęście! Starał się pokrywać najgłębszą ta-

²¹ margrabia de Montriveau — [por.] *Księżna de Langeais*. [przypis tłumacza]

jemnicą drobne starania, małe podarki, które Dina pokazywała publicznie. Silił się dawać niebezpieczne znaczenie najbliższymi postępkiem.

— Bawi się w namiętność — mówiła hrabina, śmiejąc się. Żartowała z pana de Clagny w jego obecności, urzędnik zaś mówił sobie: „Zajmuje się mną!” — Robię tak wielkie wrażenie na tym biednym człowieku — mówiła, śmiejąc się, do matki — że, gdybym powiedziała *tak*, sądzę że on by powiedział *nie*.

Pewnego wieczora pan de Clagny odwoził w towarzystwie żony swą drogą hrabinę głęboko zadumaną. Wszyscy troje byli na premierze *Prawej i lewej ręki*, pierwszej sztuki Leona Gozlan.

— O czym pani myśli? — spytał urzędnik, przerażony melancholią swego bóstwa.

Wytrwały smutek, ukryty, ale głęboki, pożerający hrabinę stanowił główną chorobę, której urzędnik nie umiał zwalczać, prawdziwa bowiem miłość jest często niezręczna, zwłaszcza kiedy jest bezwzajemną. Prawdziwa miłość zapożycza formy od charakteru. Otóż godny urzędnik kochał na sposób Alcesta, gdy pani de La Baudraye pragnęła być kochaną na sposób Filinta²². Podłości miłości bardzo się licho godzą z prawością Mizantropa. Toteż Dina strzegła się otworzyć serce przed swoim *patito*. Jak się odważyć przyznać, iż żalowała niekiedy dawnego bagna? Czula w światowym życiu olbrzymią pustkę, nie miała do kogo odnieść swoich powodzeń, tryumfów, strojów. Niekiedy wspomnienia jej udęczeń wracały zmieszane z wspomnieniem palącej rozkoszy. Czula chwilami żal do Stefana, że nie zajmuje się nią, byłaby pragnęła dostawać oden listy tkliwe lub wściekle. Ponieważ Dina nie odpowiadała, urzędnik powtórzył pytanie, ujmując hrabinę za rękę i tuląc tę rękę z nabożnym skupieniem w swoich.

— Chce pan prawą czy lewą? — odparła z uśmiechem.

— Lewą — odpowiedział — bo przypuszczam, że pani mówi o kłamstwie i prawdzie.

— A więc, widziałam go — odparła, mówiąc w ten sposób, aby być słyszaną jedynie przez prokuratora. — Widząc go smutnym, zniechęconym, pomyślałam sobie: „Czy ma cygara? Czy ma pieniądze?”

— Ech, jeżeli pani chce prawdy, powiem pani — wykrzyknął pan de Clagny — że żyje pod jednym dachem z Fanny Beaupré. Wydziera mi pani to zwierzenie; nie byłbym pani nigdy tego powiedział, mogłaby pani przypuszczać we mnie jakieś niezbyt szlachetne uczucia.

Pani de La Baudraye uściśnęła rękę prokuratora.

— Ma pani za męża — rzekła do swej *przyzwoitki* — jednego z najrzadszych ludzi. Ach! Czemuż...

Wtulila się w kącik karety, patrząc przez szyby; ale nie dokończyła zdania, którego urzędnik się domyślił: „Czemu Lousteau nie posiada trochę szlachetności pana de Clagny!...”

Bądź co bądź, wiadomość ta rozproszyła melancholię pani de La Baudraye, która rzuciła się w życie światowe; chciała mieć powodzenie i zdobyła je, ale w świecie kobiet czyniła słabe postępy, z trudnością przychodziło jej zająć tam miejsce. W marcu księża zaprzyjaźnieni z panią Piédefer i z naczelnym prokuratorem popełnili wielki zamach, zdobywając dla hrabiny de La Baudraye zaszczyt kwestowania w dziele dobroczynnym, stworzonym przez panią de Carcado. Wreszcie przeznaczono ją do zbierania na Dworze darów na rzecz ofiar trzęsienia ziemi w Gwadelupie. Margrabina d'Espard, której pan de Canalis czytał w Operze nazwiska kwestujących pań, rzekła, słysząc nazwisko hrabiny: „Od dawna żyję na świecie, ale nie przypominam sobie czegoś piękniejszego niż wysiłki podjęte dla ratowania honoru pani de La Baudraye”.

Podczas dni wiosennych, które kaprys naszej planety rozświecił nad Paryżem od samego początku marca 1843, okrywając Pola Elizejskie wczesną zielonością, nieraz już kochanek Fanny Beaupré spostrzegł w czasie przechadzki panią de La Baudraye, nie będąc przez nią widziany. Niejeden raz ukąsił go w serce ów odruch zazdrości i zawiści, dość zwyczajny ludziom urodzonym i wychowanym na prowincji, kiedy oglądał dawną kochankę wykwintnie rozpartą w ładnym powoziku, dobrze ubraną, z marzącym wyrazem oczu i z dwojgiem dzieci po bokach. Widok ten poruszał go tym bardziej, ile że sam pasował się wówczas z najdokuczliwszą ze wszystkich nędz, nędzą ukrytą. Był on, jak

²²*Alcest, Filint* — postaci z *Mizantropa* Moliera. [przypis tłumacza]

wszystkie natury próżne i lekkie, niewolnikiem osobliwego punktu honoru, który polega na tym, aby nie spaść w oczach publiczności; tego samego honoru, który każe graczom giełdowym popełniać legalne zbrodnie, byle ich nie wypędzono ze świątyni *agio*; który daje niektórym zbrodniarzom siłę do aktów cnoty. Lousteau chodził na śniadanka i obiady, palił tak, jak gdyby był bogaty. Nie byłby ani za cenę sukcesji wyrzekł się kupowania najdroższych cygar dla siebie, jak i dla kolegi, z którym wstąpił do trafiki. Dziennikarz paradował w lakierowanych bucikach, ale lękał się *zajęcia*, które, wedle wyrażenia komorników, otrzymało już wszystkie święcenia. Fanny Beaupré nie posiadała już nic do zastawienia, a gaża jej była w areszcie! Wyczerpawszy możliwą sumę zaliczek w tygodniakach, dziennikach i u księgarzy, Stefan nie wiedział, gdzie się obrócić. Domy gry, tak nie w porę skasowane, przestały być jak niegdyś deską ratunku dla stracenców. Wreszcie dziennikarz doszedł do takiej nędzy, iż pożyczył od najbiedniejszego z przyjaciół, od Bixiou, którego nigdy o nic nie prosił, sto franków! Najbardziej martwiło Stefana nie to, iż winien był pięć tysięcy, ale że ujrzy się odartym ze swej elegancji, ze swego urzędnia nabytego za cenę tylu wyrzeczeń, wzbogaconego przez panią de La Baudraye. Owóż 3 kwietnia żółty afisz zerwany przez odźwiernego po krótkim pobycie na ścianie domu oznajmiał sprzedaż pięknego umeblowania na następną sobotę, uprzywilejowany dzień sądowych licytacji. Lousteau przechadzał się, paląc cygara i szukając jakiej myśli; w Paryżu bowiem myśli są w powietrzu, uśmiechają się do człowieka na rogu ulicy, pryskają spod kół kabrioletu ze strumieniem błota! Leń szukał już od miesiąca konceptu do artykułów i tematów do noweli; ale spotykał jedynie przyjaciół, którzy ciągnęli go na obiad, do teatru i którzy upijali jego strapienie, powiadając, iż wino szampańskie go natchnie.

— Uważaj — rzekł jednego wieczora okrutny Bixiou, który zdolny był dać koledze sto franków i równocześnie przeszyć mu serce zabójczym słówkiem — kładąc się co dzień spać pijany, obudzisz się pewnego dnia z rozmiękczeniem mózgu.

W wilię fatalnego dnia, w piątek, nieszczęśliwy mimo nawyku nędzy, był zgnębiony niby skazaniec. Niegdyś byłby sobie powiedział: „Ba! Mebelki zużyły się trochę, trzeba je odświeżyć”. Ale czuł się niezdolny rozpocząć na nowo cyrkowe sztuki literackie. Księgarstwo toczone bezprawnymi przedrukami płaciło mało. Dzienniki wyzyskiwały wyczerpane talenty, jak czynią dyrektorzy teatru z tenorami, którzy spadli o nutę. I biedak szedł przed siebie, patrząc mętnie w tłum, a nie widząc nic, z cygarem w ustach, rękami w kieszeniach, z twarzą wewnątrz skrzywioną boleśnie, a z fałszywym uśmiechem na ustach. W tej chwili ujrzał panią de La Baudraye mijającą go w powozie; jechała w stronę bulwarów przez *Chaussée d'Antin*, aby się udać do Lasku. „Już tylko to jedno” — powiedział sobie. Wrócił do domu, aby się wypięknąć. Wieczorem o siódmej podjechał w dorożce pod dom pani de La Baudraye i poprosił odźwiernego, aby oddał ten bilecik:

„Czy pani hrabina zechce uczynić panu Lousteau tę łaskę, aby go przyjąć na chwilę i w tej chwili?”

Bilecik ten zapieczętowany był pieczątką, która niegdyś służyła kochankom. Pani de La Baudraye kazała wyryć na prawdziwym krwawniku wschodnim: *Bo tak!*... Wielkie słowo, słowo kobiet, słowo, które może wytłumaczyć wszystko, nawet stworzenie świata. Hrabina kończyła tualetę, aby się udać do Opery, piątek był dniem jej abonamentu. Zbladła, widząc pieczątkę.

— Proszę zaczekać! — rzekła, wkładając bilecik za gors.

Miała tę siłę, by ukryć pomieszenie, i poleciła matce, aby ułożyła dzieci. Kazała prosić Stefana i przyjęła go w buduarze obok salonu, przy otwartych drzwiach. Miała iść po teatrze na bal, włożyła właśnie rozkoszną jedwabną suknię w pasy usiane bladoniebieskimi kwiatami. Bogato oszyte rękawiczki odsłaniały piękne ramiona. Lśniła się od koronek i wszystkich drobiazgów wymaganych przez modę. Uczesanie *à la Sevigné* podkreślało delikatność rysów. Sznur pereł spoczywał na piersi niby na płacie śniegu.

— Co z panem? — rzekła hrabina, wysuwając spod sukni stopę, aby przyciągnąć aksamitną poduszkę — sądziłam, miałam nadzieję, iż jestem już zupełnie zapomniana...

— Gdybym powiedział *nigdy*, nie uwierzyłaby pani — rzekł Lousteau, który nie usiadł i przechadzał się, gryząc kwiaty zrywane za każdym nawrotem w żardynierach napelniających buduar balsamicznym zapachem.

Zapanowała chwila milczenia. Pani de La Baudraye, przyglądając się Stefanowi, znalazła go ubranym ze starannością najskrupulatniejszego dandysa.

— Pani jedna możesz mnie wspomóc i podać mi rękę... topię się i połknąłem już nie jeden lyk... — rzekł, zatrzymując się przed Diną niby pod naporem ostatecznego wysiłku. — Jeżeli mnie pani widzi, to znak, że interesy moje stoją diabelnie лихо.

— Dość! — rzekła. — Rozumiem...

Nastąpiła nowa pauza, podczas której Lousteau odwrócił się, wziął chustkę i siłą się obetrzeć łzę.

— Ile ci trzeba, Stefanie? — podjęła macierzyńskim głosem. — Jesteśmy w tej chwili jak dwaj starzy koledzy, mów do mnie tak, jakbyś mówił... do... do... Bixiou.

— Aby wstrzymać publiczną sprzedaż mebli jutro w południe, tysiąc osiemset franków! Aby pospłacać długi przyjaciółom, tyleż! Trzy raty gospodarzowi, którego pani zna... *Ciocia* żąda pięciuset franków...

— A ty, aby żyć?...

— Och! Mam swoje pióro!...

— Ciężkie jest do wprowadzenia w ruch... czego by nikt nie odgadł, czytając pana... — rzekła z subtelnym uśmiechem. — Nie mam w tej chwili sumy, której żądasz. Przyjdź jutro o ósmej, komornik zaczeka chyba do dziewiątej, zwłaszcza jeżeli go weźmiesz z sobą po zapłatę. — Czuliła potrzebę wyprawienia Stefana, który udał, że nie ma siły spojrzeć na nią; ale ona przepelniona była współczuciem zdolnym rozwiązać wszystkie gordyjskie węzły, jakie zaplata społeczeństwo. — Dziękuję! — rzekła, wstając i podając rękę Stefanowi. — Zaufanie twoje ucieszyło mnie!... Och! dawno już nie czułam takiej radości...

Lousteau ujął jej rękę, przyciągnął do serca i przycisnął tkliwie.

— Kropla wody na pustyni, i... z ręki anioła!... Bóg zna się na reżyserii!...

To było powiedziane pół żartobliwie, a pół z rozczuleniem; ale, wiercie mi, jako gra sceniczna, to było równie piękne, jak Talma w słynnej roli Leicestera, gdzie wszystko rozgrywa się w odcieniach tego rodzaju. Dina czuła bicie jego serca przez sukno; było z przyjemności, ponieważ dziennikarz uchodził szponów sądowego jastrzębia; ale było także z bardzo naturalnego pragnienia na widok Diny odmłodzonej i odnowionej zbytkiem. Pani de La Baudraye, przyglądając się ukradkiem Stefanowi, ujrzała fizjonomię w harmonii ze wszystkimi kwiatami miłości, które odradzały się dla niej w tym bijącym sercu; spróbowała zatopić oczy, jeden raz, w oczach tego, którego tak kochała; ale burzliwy potok krwi runął w jej żyły i zamącił jej w głowie. Wymienili wówczas to samo *krwiste* spojrzenie, które na wybrzeżu Cosne dało dziennikarzowi śmiałość zgniecenia organtynowej sukni. Cygan przyciągnął Dinę, policzki ich zetknęły się.

— Schowaj się, matka idzie! — wykrzyknęła Dina przestraszona. I pobięła naprzeciw pani Piédefer. — Mamusi! — rzekła (to słowo było dla surowej pani Piédefer pieszczotą, która nie chybiała nigdy celu) — Czy chcesz mi zrobić wielką przyjemność? Weź powóz, pojedź sama do naszego bankiera, pana Mongenod, z bilecikiem, który ci dam do niego, aby wypłacił sześć tysięcy franków. Chodź, chodź, idzie o dobry uczynek, chodź do mego pokoju.

I pociągnęła matkę, która wyraźnie miała ochotę zajrzeć, z kim córka rozmawia w buciarze.

W dwa dni później pani Piédefer odbyła wielką naradę z proboszczem. Wysłuchawszy lamentacji starej matki w rozpacz, ksiądz rzekł poważnie:

— Wszelkie odrodzenie moralne, nieoparte wielkim uczuciem religijnym i niedokonane na łonie Kościoła wspiera się na piasku... Wszystkie owe praktyki, tak drobniagowe, a tak mało zrozumiane, jakie nakazuje katolicyzm, to tamy potrzebne, aby powściągnąć burzę złego ducha. Wpłynij pani na córkę, aby spełniała obowiązki religijne, a ocalimy ją...

W dziesięć dni po tej naradzie pałac de La Baudraye zamknięto. Hrabina wraz z dziećmi, matka, słowem cały dom, który powiększył się o nauczyciela, udał się do Anzy, gdzie Dina zamierzała spędzić całe lato. Była, powiadają, bardzo dobra dla hrabiego. W ten sposób Muza z Sancerre wracała po prostu na łono Rodziny i Małżeństwa; ale wedle pewnych złośliwych języków była zmuszona na nie wrócić, ponieważ pragnienia małego para Francji ziszczą się niewątpliwie: oczekuje córki!... Wreszcie Kajcio i pan Gravier otoczyli piękną hrabinę niewolniczymi staraniami i nadskakiwaniami. Syn prezydenta,

który podczas długiej nieobecności pani de La Baudraye udał się do Paryża, aby tam brać lekcje szyku, miał, jak szeptano w *Towarzystwie Literackim*, widoki zyskania łask tej kobiety *wyższej* odartej ze złudzeń. Inni zakładali się za korepetytorem, a pani Piédefer przemawiała za religią.

W roku 1844, w połowie czerwca hrabia de La Baudraye, przechadzając się po promenadzie w Sancerre w towarzystwie dwóch ładnych chłopaczków, spotkał pana Milaud, generalnego prokuratora, przybyłego do Sancerre za interesami i rzekł doń:

— Kuzynie, oto moje dzieci!...

— A, *nasze* dzieci... — powtórzył złośliwy prokurator.

Paryż, czerwiec 1844 — sierpień 1844.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-muza-z-zascianka>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, *Komedia ludzka*, *Muza z Zaścianka*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Biblioteka Boy'a, Wydawnictwo Alfa, Warszawa

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0071-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).